



23
11.



Zaginiony w grotach Ojcowa.

ZAGINIONY
W GROTYCH OJCOWA.

NAPISAL

Stefan Sebarski

z 15-ma rysunkami L. Flinicza.



WARSZAWA.

Nakładem Księgarni

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1896.



Zbiory specjalne

УНИОНІАЛ

Р. В. О. С. Л. О. М. А. Р. Т. О. Р. Я. В.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 1 7 6 4 3 2

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 11-го Января 1895 года.



89 696

Druk Józefa Sikorskiego. Warszawa, Warecka 14.

K-46/78/89696



ROZDZIAŁ I.

Gorący dzień sierpniowy chylił się już ku zachodowi; pałace słońce zniżyło się nad ciemnym borem i z każdą chwilą łagodniało, stygło, roztaczając perłowo-złote smugi światła na błękitnym tle nieba. Już nie gorąco, lecz łagodny, rzeźwiący powiew tchnął niejako od jego złotem i purpurą jaśniejszego majestatu.

Wierzchołki potężnego boru, opromienione blaskami zachodu, stały nieporuszone. Jakiś błogi spokój owładnął niebem i ziemią. Na zarumienionej zorzą zachodniej stronie nieba, jak stado łabędzi, wypłynęły lekkie białe obłoki i snuły się w oddali, to niknąc, to powstając.

Sine wzgórze, pola i lasy otulał jakby do snu mrok szary, od ziemi powstający. Nad łąkami i wodami powstały lekkie, przejrzyste, białe mgły i unosiły się w powietrzu.

Pogodny letni wieczór roztoczył dokoła wszystkie swoje czary i piękności.

O, jakże dobroczynnym jest wieczór taki dla podróżnych, znużonych całodziennem siedzeniem na trycz-

S. Gębarski.—Zaginiony.

ce, albo w wagonie drogi żelaznej, wśród sierpniowego upału!

Czują oni wtedy wielkie ukojenie, wielką ulgę, gdyż świeże powietrze, nasycone aromatem łąk, pól i lasów, piją wtedy jakby orzeźwiający napój.

To samo też prawie odczuwała gromadka podróżnych, jadąca po kamienistej drodze, wązkim pasem wijącej się od Olkusza do Ojcowa. Wózek, na którym siedzą, obszerny, w tak zwanych „półkoszkach,“ zaprzężony w parę okrągłych chłopskich koni, rażno się posuwa. Podróżni, siedzący na wózku, tworzą obrazek bardzo miły. Siwiuteńki, o dobroliwym wyrazie twarzy staruszek, prosto się jednak jeszcze trzymający, siedzi obok dorodnego, dziewiętnastoletniego młodzieńca, w którego czarnych oczach rozum, dobroć i siłę charakteru łatwo wyczytać można. Naprzeciw nich siedzi jedenastoletni chłopczyk, o twarzy bladej, oczach niebieskich, spokojnie i z zaufaniem w świat patrzących.

Jasne włosy bujnie wiją mu się nad czołem, a on je co chwila lekko ręką odgarnia, rozglądając się ciekawie i z zajęciem wielkiem po nieznaney sobie okolicy.

— Janku, czy nie czujesz się bardzo znużonym? — pyta chłopczyka staruszek, ogarniając go wzrokiem pełnym pieczołowitości.

— Bynajmniej, drogi panie Kalasanty; powiem nawet, że jest mi obecnie bardzo dobrze. Tak pięknej okolicy nie widziałem jeszcze nigdy w mojem życiu.

Staruszek uśmiechnął się zadowolony.

— Masz słuszność, mój chłopcze! Jest to rzeczywiście cudowna okolica. Cóż, czy nieprawda, Pawełku? — dodał, zwracając się w stronę siedzącego obok siebie młodzieńca.

Ten wstrząsnął głową i rzekł:

— I tak i nie. Piękna, bo krajobrazy pełne są jakiegoś nieokreślonego uroku, jakiejś oryginalnej malowniczości, różnej od widzianej na obrazach nawet wielkiej sławy malarzy; ale, jak wiesz, drogi mój panie, mnie samo zewnętrzne piękno nie zadawalnia. Ja pragnę, ażeby ta okolica i glebę miała urodzajną, a co za tem idzie: mieszkańców zadowolonych, pewnych chleba powszedniego.

Staruszek znowu się uśmiechnął.

— To bardzo dobrze, bardzo uczciwie myślisz, mój Pawełku! Zachwycaj się więc, ile ci się podoba, bo mogę ci zaręczyć, że tutejsza ludność nie ma powodu uskarżać się na niedostatek.

Rozmowa urwała się na chwilę, gdyż wózek dojeżdżał do wioski.

— Patrzcie — rzekł staruszek, — oto wioska przed nami. Jedna z takich, jakich pełno w tych okolicach.

Młodzi spojrzeli na chaty, pokryte słomianemi strzechami, pełnemi świergotu wróbla i jaskółek, — na wysokie topole i lipy rozłożyste, na niskie wierzby przydrożne, jakby dobre gosposie, jedna obok drugiej siedzące.

Staruszek, zwany panem Kalasantym, chwycił za rękę swego młodego sąsiada.

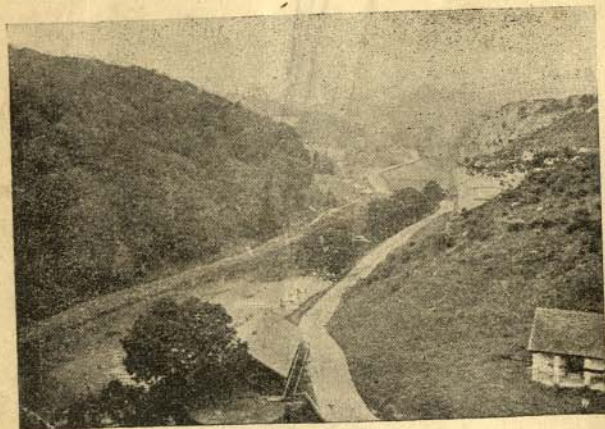
— Patrz, Paweł, jak to po naszych wielkowiejskich dzielnicach uroczym wyglądem ta wioska. Te dwa rzędy chat, opasanych zielenią drzew; ten kościółek z błyszczącym krzyżem i drewnianą dzwonnica; ten strumyk na łące, a za nim dwór z błyszczącymi oknami; te pola, rozsiłane jak różnobarwny kobierzec... czyż nie piękny przedstawiają widok? No, a ten cmentarz z wieńcem

smagłych topoli i brzoź białych, wśród których pochylają się drewniane krzyże... Czy widzisz to wszystko?

Młodzieniec nic nie odrzekł, tylko spojrzał wymownie w twarz staruszka.

W spojrzeniu tem łatwo było wyczytać:

— Nie tylko widzę, lecz i czuję, że to, o czem mówisz, jest piękne.



Zaraz po wyjeździe z wioski okolica przybrała inny charakter.

Wtem siedzący w milczeniu najmłodszy z grona naszych podróżnych zawołał z podziwem:

— O, co to takiego?

— Gdzie?

— O, tam!

Chłopczyk wskazał oczyma na południowe krańce widnokregu, gdzie rzeczywiście niezwykle można było ujrzeć obraz.

Zaraz po wyjeździe z wioski okolica przybrała inny charakter. Zamiast szerokich równin wznosiły się falujące wzgórza zielone, ciemnymi lasami pokryte. Właśnie na tle tych borów najmłodszy z naszych znajomych spostrzegł zjawisko, które go tak zajęło:

Oto na jednym wzgórzu stały dziwnym jakimś urokiem otoczone ruiny, jakoby skamieniałego miasta, ze skalistemi, wyszczerbionemi ścianami i wysokimi basztami, które, jakby w cudownej bajce, przed oczyma naszych podróżnych wyrosły.

W miarę posuwania się wózka ruiny owe zmieniały kształty, poruszały się, jak cienie, osłonięte napół lekką mgłą wieczorną i mrokiem. Wtem naraz, gdy bryczka z góry raźniej toczyć się poczęła, znikły bezpowrotnie.

— Panie Kalasanty—prosił, ożywiony niezwykłym widokiem, jasnowłosy chłopczyk, zwracając ku staruszkowi podziwu pełne oczy,—wytłómacz-że nam, powiedz, co to było? Miraż może?

— Bynajmniej, mój chłopcze; nie miraż, mój Janku. To skały. Przecież mówiłem wam, że będziemy oglądali bardzo piękną okolicę, jedną z najpiękniejszych. Tu na każdym kroku spotkacie cuda natury. To, niby z czarodziejskiej baśni odtworzone skamieniałe miasto, któreście przed chwilą widzieli, to nagromadzone i najnie spodziewanej wieńczące tutejsze wzgórza odłamy i olbrzymie bryły skaliste, pokryte mchami i rdzą odwieczną. Jeszcze nie jedno takie zaklęte miasto wśród wzgórz tutejszych ujrzemy, zanim usłyszymy dźwięczny szmer wód Prądnika, toczącego swe srebrzyste fale środkiem uroczej doliny Ojcowa.

Chłopczyk z podziwem kręcił głową.

— Doprawdy, nie spodziewałem się ujrzeć czegoś podobnego! — szeptał z uśmiechem zadowolenia.

— Ho! ho! paniczek tu więcej jeszcze zobaczy — odezwał się chłopek powożący. — Tutaj, w naszej olkuskiej okolicy, to często takie dziwne skały i zwaliska zobaczyć można. Wszystko to przecież niczem jest wobec tego, co się wewnątrz ziemi tutejszej znajduje. Starzy ludzie powiadają, że jakie tylko są skarby na świecie, takie w głębi tutejszych skał i gór ukryte leżą. Tam oto, daleko — mówił, odwracając głowę, — jeszcze po dziś dzień są wielkie kopalnie cynku i węgla kamiennego, gdzie setki ludzi ma zajęcie i zarobek. Złota jeno i srebra kopać nie można, bo się zapadły te kopalnie głęboko w ziemię i naderemnieby człowiek siłił się wydobyć je stamtąd. Raz jeden górnik, stary Roch Ostatni, którego ludzie tutejsi dobrze znają, próbował odnaleźć te kopalnie. On umie chodzić lochami jak kret, ale nic nie mógł znaleźć. Ten Roch to jest dziwny człowiek...

— Cóż w nim tak dziwnego? — zapytał pan Kalasanty, którego zajęła gawęda chłopka.

— A juścić dziwny, proszę wielmożnego pana, bo on więcej w lochach i grotach tutejszych przesiedzi, niż na powierzchni ziemi.

— A czegóż on chce od tych grot?

— Ano w tem właśnie zagadka... Jedni mówią, że on tam skarbów szuka; drudzy, że robi to z przyzwyczajenia, gdyż za młodu był górnikiem; trzeci, że on tam, w tych podziemiach i lochach ogromnych, znalazł wielkie skarby i pilnuje ich po całych tygodniach, ba! nawet miesiącach, siedząc jak kret w ziemi.

— A to rzeczywiście dziwny człowiek.

— A juści dziwny.

— A jak on wygląda? — zapytał najmłodszy z podróżników, jasnowłosy Janek, którego opowiadanie poczciwego i gadatliwego chłopka o starym dziwaku Rochu i jego fantastycznych wyprawach podziemnych mocno zajęło.

— Dobrze tego nie wiem — odparł chłopek, — bom go jeno raz w życiu widział, jak szedł przez pola ku skalom. Było to nad wieczorem, mgła opadała, więc mi go raz po raz zasłaniała. To jeno wiem, że był wysoki, barczysty, lecz przez wiek pochylony ku ziemi; w rękę trzymał długi kij góralski, a długą siwą brodę i włosy wiatr mu rozwiewał. Było to coś przed rokiem. Ja byłbym wtedy nie wiedział, co to za człowiek, ale mój szwagier, z którym jechałem, powiada: „Patrz, to Roch Ostatni, idzie skarbów pilnować!”

Chłopek urwał swe zajmujące opowiadanie, gdyż droga stała się skalistą i wymagała baczości ze strony powożącego.

Podróżne grono pograżyło się w milczeniu i wydawało się, że oczekuje dalszego ciągu opowiadania o fantastycznym górniku i jego podróżach podziemnych.

Tymczasem konie zwolniły nieco biegu. Droga pięła się pod górę. Wieczór już zapadł, cichy, pogodny. Na niebo wysuwał się księżyc, tu i owdzie złota gwiazda zabłysła na horyzoncie. Dokoła piętrzyły się zielone, okrągłe wzgórza, zlekka oświetlone promieniami księżyca.

— Proszę państwa, Ojców niedaleko; za dobre „Zdrowaś Marya“ ujrzymy go.

— Jakto, już jesteśmy blisko Ojcowa? — zawołali młodzi, ożywiając się.

— A juści blisko — powtórzył chłopek. — Szkoda jeno, że mrok zapadł, a księżyc jeszcze nie dość wysoko i jasno świeci.

— A gdzie te góry i skały, gdzie jaskinie ciemne, o których nam tyle razy pan Kalasanty opowiadał? — pytał Janek. — Bo jeśli już blisko Ojcowa jesteśmy, to wyznam szczerze, iż nic podobnego nie spostrzegłem.

— Powoli, powoli, mój chłopcze! — odrzekł staruszek,



W istocie czarodziejska panorama leżała przed nimi.

uśmiechając się dobrotliwie. — Nie zapominaj, że jesteśmy w krainie cudów natury. Niespodzianek tu mnóstwo.

Chłopczyk umilkł, wyteżając wzrok w stronę wznoszącego się wciąż wzgórze, na które wiodła wązka i stroma drożyna i na które właśnie wjeżdżali.

W kilka chwil dosięgli szczytu — i nagle, spoglądając przed siebie, Janek z podziwem i radością zawołał:

— A więc to jest urocza dolina Ojcowa!

Na ten okrzyk wszyscy się ożywili.

W istocie czarodziejska panorama leżała przed nimi. Wzrok dość nacieszyć, nadziwić i napić się nią nie mógł.

Po obydwóch stronach miękkiej, rozkosznej doliny wznosiło się zakłete miasto ręką natury wzniesionych świątyń, pałaców i ruin. Rozłożyste konary osłaniały te, jakoby białym marmurem świecące fasady, kolumny i gzemsy nieprzejranych, dumnie piętrzących się budowli. Gdzieś tam tylko strzelił w górę ostry szczyt jak gdyby od pioruna strzaskanej opoki. Wszystko to zamknęły dokoła szerokie, wyniosłe wzgórze, ciemnym świerkowym otulone lasem, kryjąc zawistnie przed okiem widza ten gród czarodziejski.

Wartkie wody Prądnika, który wśród rozkosznej doliny wil się, wspinał, szumiał i białą pianą świecił, wyglądały jak błyszcząca srebrna wstęga, z którą światło księżyca igrało.

Stare brzozy i wierzby przyglądały się spokojnie tym igraszkom swego ulubieńca, opuściwszy ku niemu drobne, drżące gałązki.

Trzy czy cztery wysokie wille, kilka chat wieśniaczych i dworów bielilo się wśród zieleni u stóp fantastycznie rozrzuconych olbrzymich pałaców i ruin. Ponad tym czarodziejskim grodem wznosiły się cicho tajemnicze błękitny letniego nieba, podobne do modrego, półkolistego namiotu, zdobnego milionem gwiazd i srebrnym księżycem. Lekki, orzeźwiający wietrzyk chodził od drzewa do drzewa i budził każde z nich, unosząc gałązki i szeluszcząc niemi. Drzewo, jak człowiek, budziło się, mrugało listkami, zadrzało, zaszumiało, a wiatr-psoptnik biegł dalej, roznosząc aromat i chłód orzeźwiający.

Podróżni nasi w niemym zachwycie przyglądali się temu, patrząc przed siebie.

Chłopak tymczasem wstrzymywał konie, które z góry biegły rażno. Wkrótce stanął przed jednopiętrowym, rześcicie oświetlonym budynkiem.

Drugi podobny budynek stał naprzeciw, również rześcicie oświetlony. Przed budynkami stały ławki, stoliki, altanki, poumieszczane w niewielkiej od siebie odległości, a opodal wznosiły się białe mostki, pod którymi szumiał i warczał Prądnik.

Mnóstwo osób różnego wieku — pań, panów, dzieci — przechadzało się, korzystając z pogodnego wieczoru.

Byli to letnicy, którzy, podobnie jak nasi znajomi podróżni, przybyli do Ojcowa na kilkotygodniowy odpoczynek po całorocznych zajęciach w zgiełkliwych miastach.

Zewsząd słyhać było gwar, śmiechy i rozmowy. Różnokolorowe lampki, pozawieszane na drzewach, słabo oświetlały przestrzeń.

Młodzi podróżni nasi żwawo zeskoczyli z bryczki, ażeby pomódz przy wysiadaniu staruszkowi, zwanemu panem Kalasantym.

— Zwolna, zwolna, moje dzieci! — prosił żwawy starzec, nie pozwalając pomagać sobie, gdyż sam zreźnie zeskoczył z niskiego stopnia bryczki. — A teraz — rzekł, zwracając się do starszego młodzieńca — idź, Pawle, wystarać się dla nas o pokój w tutejszym hotelu, a ja tymczasem zapłacę naszego poczciwego woźnicę.

Młodzieniec pobiegł wykonać myśl staruszka, lecz wkrótce wrócił zakłopotany, oświadczając, że wszystkie miejsca są zajęte.

— A więc cóż my pocniemy? — zapytał kłopotliwie Janek.

— Eh! paniczku — odezwał się woźnica, który właśnie dopiero co skończył zawiązywanie w chustkę i chowanie w zanadrze otrzymanej zapłaty, — mój paniczku, to jeszcze nie tak wielki kłopot, jak się wydaje.

— Tak sądziecie? — podchwycił pan Kalasanty

— A juścić, bo na to rada jest.

— A jaka?

— A ot, niech dobrzy panowie siadają, a ja ich podwiozę do chaty Wawrzka Kosa, mojego szwagra. On też połowę swej chaty panom na letnie mieszkanie oddaje. Wiem, że jeszcze nikt u niego nie mieszka, bo zawód ta pani, co zawsze u nich staje, zrobiła. Podobno umarła biedaczka. No, niechże panowie siadają.

Pan Kalasanty namyślał się jeszcze, słuchając słów chłopka, ale młodzi, już ucieszeni, wołali:

— Wybornie, wybornie! Co to za przyjemność mieszkać w malej chatce!

— A ślicznie jest dokoła chatynki — zachwalał chłoppek, — bo z okien całą dolinę można widzieć, a tuż zaraz wznosi się Chełmowa góra. Ptaki to tak tam śpiewają, jakby kapela jaka.

— Cóż robić! jeśli nie można inaczej, to i zgoda. Tylko musisz na nas, mój przyjacielu, poczekać, bo wygłodzeni jesteśmy i spragnieni.

— Juścić prawda. Od Olkusza spory kawał drogi.

Wkrótce podróżni nasi siedzieli w miejscowej restauracji, zjadając podane im potrawy. Gości było mnóstwo, służba we frakach kręciła się, roznosząc na tacach i półmiskach napoje i mięsiwa. Rozmowa gwarna, wy-

buchy śmiechu, przesuwanie krzeseł, szczękanie noży o talerze i nawoływanie służby niemiły tworzyło koncert, tem nieznośniejszy, że bezpośrednio nastąpił po uroczej ciszy letniej nocy.

To też znajomi nasi niezbyt długo bawili w sali restauracyjnej; przytem znużeni byli, potrzebowali spożynku.

Wkrótce więc siedzieli na ciężkim wózku, a chłoppek, popędzając konie, wioził ich do chaty swego krewniaka.

— Oryginalną i zajmującą jest ta nasza podróż! — mówił młodzieniec, zwracając się z uśmiechem zadowolenia ku starszuskowi.

— Bardzo oryginalną, tylko, jak na moje kości, nieco przydługą.

— Zaraz, zaraz będziemy na miejscu — pocieszał dobry chłoppek.

Wtem ściągnął lejce i konie wstrzymał. Na twarzy jego znać było zdziwienie i zaniepokojenie.

— Co się stało? — zapytał pan Kalasanty.

— A oto niech panowie patrzą!

Mówiąc to, wskazał ręką na wzgórze, lasem i olbrzymiemi skałami pokryte.

— Tam, na tej polance — mówił szeptem, jakby się obawiając, ażeby go ktoś obcy nie podsłuchał, czy tam panowie widzą?

Rzeczywiście podróżni nasi ujrzeli na wskazanej im niewielkiej, światłem księżycyca oświetlonej polance dziwną postać.

Był to starzec olbrzymiego wzrostu, ku ziemi wiekiem pochylony. Długą siwą brodę i włosy wiatr mu rozwiewał, a w rękę trzymał długi kij góralski. Szedł

zwolna ku skałom, cały obłany światłem księżycowem. Widocznie wskutek oddalenia, podróżnym naszym zdawało się, że ta dziwna postać nie stąpa po ziemi, lecz płynie zwolna w powietrzu.

— To on, to on! — szeptał wieśniak, gdy dziwna postać, dosięgnawszy skał stromych, niespodziewanie pośród nich jak cień zniknęła.

— Kto taki? co za on? — pytał pan Kalasanty, ochłoniawszy z pierwszego wrażenia.

— Roch Ostatni.

— Ów stary górnik, o którym nam w drodze wspominaliście?

— Tak.

Pan Kalasanty spojrział na chłopka i spostrzegł, że ten był ukazaniem się dziwnej postaci starca przerażony.

— Ale dlaczegóż takeście go się przestraszyli?

Chłoppek znowu spojrział trwożliwie na polankę, i widząc, że pusta, odzyskał nieco spokoju.

— To, proszę panów, między nami, wiejskimi ludźmi, rozmaite o tym człowieku chodzą gawędy. On pono, jak jedni mówią, jest więcej duchem, niż żywym człowiekiem; czarownik od podobno wielki; drudzy znowu mówią, że skarby znalazł wielkie i w lochach, grotach i jaskiniach tutejszych je ukrył, pilnując ich dniem i nocą. Rzadko go kto teraz widuje, a jeśli się komu pokaże, to podobno nic dobrego z tego nie będzie. Zawsze jest to człowiek nie taki, jak inni ludzie.

Rzecz łatwo zrozumiała, że nasi podróżni inaczej się nieco zapatrywali na dziwną postać starego górnika, niż zabobonny chłoppek.

To też rozmawiając w dalszym ciągu dość wesoło o zjawieniu się jego i zniknięciu na polance, przyjemnie spędzali czas krótkiej podróży.

— A gdyby tak razem udać się na tę polankę i spróbować zaznajomić się z tym błędzącym po nocy starcem!—zawołał Paweł.

— Wyborna myśl!—podchwycił mały Janek.

— Oho! to na nic — odezwał się głosem pewnym chłopiek.—Rocha nikt nie złapie wśród gór tutejszych, ani też z nikim nie będzie on rozmawiał. Zniknie, jak cień... To rzecz pewna.

— Ale gdzie?

— A Bóg go tam raczy wiedzieć. Pewnie w ziemię do lochu jakiego się spuści. To jeno wiem, że niktby go nie złapał i nikt z nim nigdy nie rozmawiał.

— To dziwne!

Tymczasem konie skręciły na wąską drożynkę, tuż nad Prądnikiem leżącą, a w kwadrans później wózek stanął przed białą chatką wieśniaczą.

Tutaj znajomi nasi nadspodziewanie miłego i uprzejmego ze strony właściciela chatki doznali przyjęcia i wkrótce na posłaniu ze świeżego siana smacznym snem zasnęli.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz pogoda była prześliczna. Już słońce wzniosło się dość wysoko, gdy pan Kalasanty i jego dwaj towarzysze wyszli na podwórze gościnnego chłopka.

Gospodarz i jego żona dawali rady małemu chłopięciu, gdzie ma paść stadko owiec, które właśnie wypędzono z podwórka na drogę.

— Wypędzisz dzisiaj owce za Prądnik, tam, gdzie zeszłego roku sadziliśmy kartofle—radził chłopiek.

— Wiesz, tam za skały—dodała matka.

Pastuszek kiwał głową i głośno odpowiadał:

— A toć wiem, wiem, matusiu!

Był to może dziesięcioletni chłopczyk, dobrze zbudowany, czerstwy, o śmiałym spojrzeniu czarnych oczu i dobrodusznym, nigdy nieniknącym uśmiechu ust rumianych. Na głowie miał niewielki słomiany kapelusz, a w rękę trzymał bat i fujarkę drewnianą. Tuż przy nim stał ładny pies podwórzowy, o czarnej, lśniącej sierści. Widać, że pies i pastuszek w wielkiej z sobą byli zażyłości, bo z przyjemnością spoglądali na siebie. Gdy pan Kalasanty i jego młodzi towarzysze znaleźli się na po-

dwórku, chłopek i jego żona pokłonili im się zaraz, pytając o zdrowie.

Pan Kałasanty zbliżył się do nich i zaczął z nimi rozmowę, pragnąc dowiedzieć się o ich zamożności i powodzeniu w gospodarstwie.

Jak chłopek, imieniem Grzegorz, tak i jego żona Grzegorzowa, chętnie prowadzili rozmowę, co chwila kłaniając się i głośno odpowiadając:

— Chwalić Pana Boga, nieźle; wszystko jakos idzie na nasz pożytek i chwałę Boską.

Tymczasem młodzi towarzysze pana Kałasantego, Janek i Paweł, zbliżyli się do kłopotliwie przyglądającego im się pastuszka.

Janek zaczął głaskać lśniąca sierść psa, a Paweł zapytał chłopięcia:

— Mój drogi, jak ci na imię?

Chłopczyk roześmiał się, ukazując szereg białych jak perły zębów.

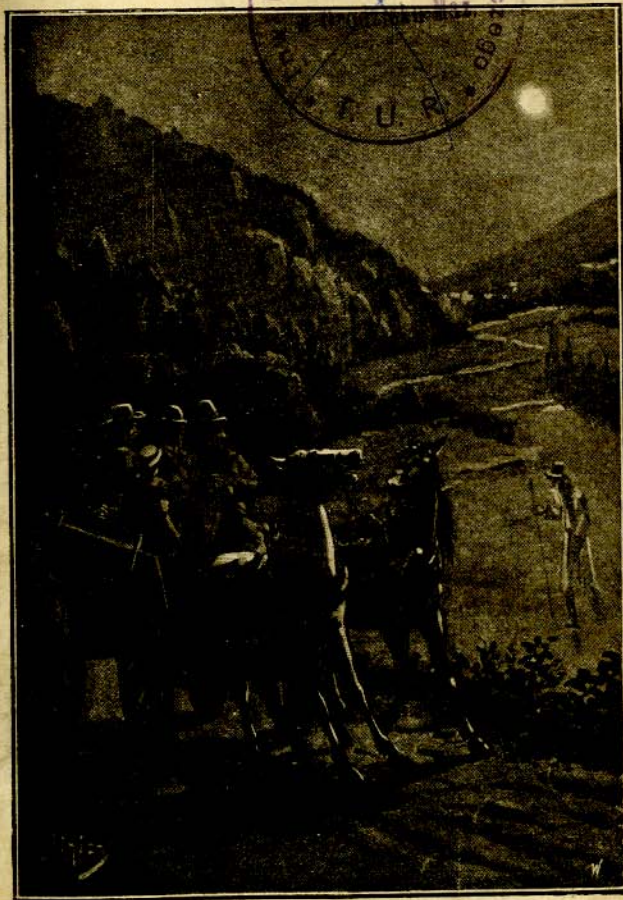
— Czegóż się śmiejesz? — zapytał młodzieniec, również mimowolnie uśmiechając się i jeszcze bliżej podchodząc do pastuszka.

— Ano, bo panicz pyta, tak jakby panicz nie wiedział — odparł mały, zwracając już zupełnie śmiałe spojrzenie na pytającego.

— Dobry sobie jesteś, mój mały! Więc ty mnie masz, że ja wiem, jak ci na imię?

— A przecież tu mnie wszyscy znają; tu nawet małe dziecko wie, co ja za jeden.

— To jeszcze nie dowód, ażebym i ja miał cię znać. Ja przyjechałem z Warszawy, dużego miasta, i pierwszy raz cię dopiero widziałem.



— To on!.. to on!.. — szeptał wieśniak.

— Pierwszy raz... a ja pana już kilka razy widziałem.

— Gdzie i kiedy? Zdaje ci się, moje dziecko.

— A nie. Wczoraj widziałem pana przez okno w izbie, kiedy pan do nas przyjechał. Dziś rano drugi raz pana widziałem, jak pan jadł śniadanie, bo matusia, wchodząc, dość szeroko drzwi otworzyła; a teraz już trzeci raz pana widzę i znam pana.

Młodzieniec z przyjemnością słuchał rozmownego chłopca.

— No, a czy wiesz, jak mi na imię?

— A wiem.

— Więc jak?

— Panu jest Paweł, paniczowi Jankowi Janek, a panu siwemu pan Ka... ka...

— Kalasanty.

— A juści tak.

— Wybornie, mój mały! Lecz skąd wiesz o tem?

— A zaraz się dowiedziałem, jak tylko panowie z bryczki zeszli, od mojego krewnego, który panów przywiózł z Olkusza. Mnie się panowie zaraz spodobali, a najbardziej to panicz Jasio.

Jasnowłosa Jasio uśmiechnął się z zadowoleniem i, wyciągając swą białą rękę ku pastuszkowi, rzekł wesoło:

— I ty mi się podobasz bardzo. Będziemy przyjaciółmi podczas tegorocznych wakacyi, lecz proszę cię, powiedz nam, jak ci na imię.

— A toć Grzesz... Grzesz... tak, jak i mojemu tatusiowi!

— A więc Grzesz.

— To ładne imię — mówili panicze, gdy tymczasem pastuszek naiwnie przyglądał im się, jakby sobie chciał dobrze zapamiętać ich rysy i wyraz twarzy.

— Ja to jestem bardzo rad — zaczął znowu, — że panicze w naszej chacie zamieszkali na lato, a nie ta pani, co tu zwykle mieszkała, dlatego, że ona bardzo się rozbójników i złodziei bała, i jak tylko było wieczorem przejść koło jej okna, albo, czego broń Boże, zajrzeć przez nie do izby, to zaraz taki gwałt uczyniła, jakby się ziemia rozstąpiła.

— Taka była bojaźliwa?

— A juści.

— To biedna.

Dalszą pogadankę z rozmownym pastuszkim prze-
rwał Pan Kalasanty, który zbliżył się do młodego grona.

— O czemże taka ożywiona rozmowa? — zapytał.

— A o tem, że panicze nie wiedzieli, co ja za jeden i jak mi na imię — odparł pastuszek.

— To bardzo naturalne.

— Ale ja wiedziałem, jak paniczom na imię.

— Nie może być!

— A tak!

— Toś ty bardzo rozumny, mój chłopcze!

— Bo ja tam wiem... ale panów lubię.

— I my ciebie lubimy i lubić będziemy, bylebyś tylko zawsze był dobrym i pracowitym. Dokądże pędzisz to stadko owiec?

— O, daleko, daleko... aż hen! za Prądnik i za skały.

— I długo tam paść je będziesz?

— Aż do wieczora.

— A obiad?

— Matusia włożyła mi chleba i sera do kieszeni, to się pożywię, a gorącej strawy dopiero na wieczór dostanę.

— Tak?

— A juści tak.

— A czy ci się nie przykrzy samemu w polu?

— Ha! cóż robić. Chociaż rzadko mi się przykrzy. Widzi pan, w tem stadzie to jest taki zabawny baranek. O... o... ten biały. On na nas już patrzy. Żeby pan wiedział, jaki on zabawny! Jak na niego zawołałam: „Maciuś!“ zaraz leci i zaczyna ze mną figlować. Kruczek też zawsze przy mnie leży i patrzy się na mnie, albo lata i muchy goni. To bardzo zabawny piesek. Mam też fujareczkę... coś tam na niej wygrać umiem, to sobie i gram, aż czasami inni pastusi, co z daleka owce i bydło pasą, do mnie przychodzą i słuchają.

— To dzielny chłopczyk z ciebie. Umiesz sobie czas uprzyjemnić.

— To tam jeszcze ze trzy lata i ze trzy zimy tak będzie.

— A później?

— Później nie będę owiec pasał, tylko pójdę do koni. Będę w polu pracował.

— A któż wtenczas owce będzie pasał?

— A mały Józiek.

— Twój brat?

— Tak. O, on tam za stodołą stoi i na nas wygląda. Onby tu przyszedł, ale się bardzo panów boi. On jest nieśmiały, bardzo nieśmiały.

— O, przecież nie jesteśmy tacy straszni. Ehej! chłopczyk, co tam za stodołą stoisz, zbliż-no się do nas.

— Ale on się nie zbliży. O, o! jak już ucieka — mówił pastuszek, pokazując ręką zmykającego przez łąkę bojaźliwego Józka.

— Uciekł... on zawsze taki; ale jutro to już panów polubi.

— Daj Boże! — odparł z uśmiechem pan Kalasanty. — Teraz zaś zabierzmy się do roboty. My pójdziemy przygotowywać sobie kije góralskie do wycieczek w góry, a na ciebie, mój dzielny chłopcze, pewnie czas na łąkę, bo ten biały baranek Maciuś, o którego figlach przed chwilą wspomniałeś, zaczyna się niecierpliwić. Widzisz, jak nóżkami tupie.

Pastuszek roześmiał się.

— On zawsze taki! — zawołał.

— A więc do widzenia, Grzesiu!

— Do widzenia! do widzenia! — wołał mały, zdejmując kapelusz i kłaniając się nim nisko do ziemi.

Wkrótce wypędził swoje stadko na strome wzgórze i znikł z nim na załame drogi. Tylko głosy fujarki, na której przygrywać sobie zaczął, wskazywały, że nie jest jeszcze zbyt daleko od domu.

To też matka, której się widać coś przypomniało, wybiegła za nim, i przyłożywszy rękę do ust, zawołała:

— A wracaj, Grzesiu, wcześniej, bo dzisiaj przed wieczorem będę miała dużo do roboty. Grzesiu! słyszysz?...

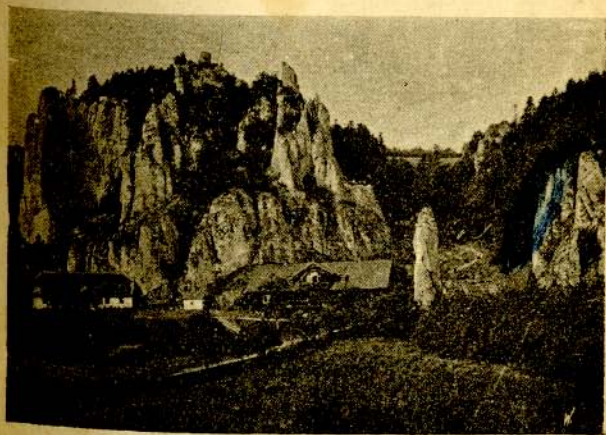
Tony fujarki ucichły.

— Do-o-brze! — zabrzmiała natomiast donośna odpowiedź chłopczyka, który głos matki, choć z daleka, usłyszał i rozpoznał.

ROZDZIAŁ III.

Gdy echo ostatnich słów pastuszka przebrzmiało w dolinie, pan Kalasanty i jego młodzi towarzysze, wzięwszy do rąk długie góralskie kije, udali się na pierwszą wycieczkę w głąb uroczej miejscowości.

Szli środkiem doliny, nad brzegiem wartkiego Prądnika. Dokoła nich piętrzyły się pośród zieleni lasów na-



Dokoła nich piętrzyły się pośród zieleni lasów nagie, wysokie szczyty skal.

gie, wysokie szczyty skał, tworząc fantastyczne jakieś baszty, wieżyce, to znowu pomniki i posągi o dziwnych kształtach, którym się znajomi nasi ze zdumieniem przyglądali.

— Dokąd zmierzamy?—zapytał Janek.

Pan Kalasanty uśmiechnął się.

— Nasamprzód — odrzekł — pójdziemy wszędzie i nigdzie, to jest bez celu.

— To bardzo dobrze — rzekł Paweł, — gdyż tym sposobem swobodnie rozejrzemy się dokoła tej uroczej doliny.

Szli więc, patrząc ciekawie i z podziwem, gdyż coraz to piękniejsze widoki odsłaniały się przed nimi.

Spoglądając po wysokich szczytach skał, pan Kalasanty mówił, wzrokiem wskazując wybitniejsze:

— Oto góra, Rękawicą zwana. Przypatrzcie jej się, a ujrzycie najwyraźniej kształty pięciu olbrzymich palców, które jej szczyty tworzą. Ta góra wygląda, jakby kto olbrzymią rękawicę z ręki zdjął i wprost ją na ziemi postawił.

— W istocie tak jest — potwierdzili młodzi, przypatrując się dziwnej skale.

— A oto tutaj, gdzie dolina jednym ramieniem w bok zdaża, stoją naprzeciw siebie dwie bramy, tworząc wnętrze jakiejś świątyni. Czy widzicie?—pytał staruszek.

— Widzimy i przejęci jesteśmy zdumieniem, jakim sposobem coś podobnego mogło bez przyłożenia ręki ludzkiej powstać — mówił zdziwionym głosem Paweł. — Wysokie kolumny i ściany, obeliski i jakieś tajemnicze pomniki natury, wznoszące się na tle tej majestatycznej, ku niebu sięgającej ściany wzgórz zielonych, szumiącej

prastaremi drzewami, są dla mnie niezrównanie pięknem i zdumiewającym zjawiskiem.

— A proszę tutaj spojrzeć—zawołał mały Janek,— jaka to dziwna skała sterczy. Wygląda tak, jakby jej ktoś wyrzeźbił nos, oczy i ogromną zieloną brodę przypawił.

W istocie nad Prądnikiem wznosiła się taka fantastycznie przez naturę, jakby posąg ludzki, wyrzeźbiona skała.

— Przypomina mi ona — mówił Paweł — owe tyle przez cały świat podziwiane sfinksy egipskie.

— A mnie—dodał z uśmiechem Janek—wiesz, kogo przypomina?

— Ciekawym:

— Wczorajsze zjawisko, które tak przeraziło naszego woźnicę, że aż wstrzymał swe okrągłe koniki.

— Owego dziwnego starca?

— Tak, zwanego Rochem Ostatnim.

— Jak ty dobrze wszystko pamiętasz! Co do mnie, to ów stary dziwak i legendy doń przyczerpione już zupełnie uleciały mi z głowy.

— W każdym razie—dodał pan Kalasanty—Janek ma słuszną rację, gdyż ta skała bardzo przypomina owego wysokiego, o długiej siwej brodzie starca, przez wiek w pół zgietego.

— To prawda; nawet zdaje mi się, że to w tem miejscu zniknął nam wczoraj.

— Tak, jestem pewny, że to tutaj, bo oto polanka, na której go spostrzegliśmy — mówił, ożywiając się, Janek.

— Mam wielką ochotę zwiedzić podnóże tej skały. Jestem pewny, że jest tam jakiś loch lub grotka, gdyż

w ten tylko sposób dałoby się wytłómaczyć nagle zniknięcie tego starca.

— A idźcie i przekonajcie się — rzekł pan Kalasanty; — ja tu odpocznę.

Młodzi pobiegli szybko na wzgórze, żywo z sobą rozmawiając.

Wzgórze było dość wysokie, to też dobrze się zmęczyli, zanim dosięgli brzegu miękką trawą pokrytej polanki, okalającej dziwną skałę, wielce przypominającą postać ludzką. Przez chwilę spoczywali, goniąc wzrokiem wysoki szczyt skały, poczem zaczęli skwapliwie szukać mniemanego otworu jaskini, gdzie prawdopodobnie ukrywał się tajemniczy starzec.

— Gdybyśmy tak znaleźli ów otwór, dopieroby to była rozrywka co się zowie! — mówił Janek, rozgarniając rękami gęste jałowce, głogi i leszczyne.

— Ja zaraz wszedłbym do kryjówki owego starca, aby się przekonać, dlaczego ten dziwak ukrywa się, jak kret, w głębi ziemi.

— Wchodzimy oba, bo i ja poszedłbym z tobą — powiedział Janek, spoglądając na starszego brata; — wchodzimy, i cóż widzimy? Oto podziemny pałac, pełen szpetnych karlików, zaklętych królewien, smoków o siedmiu głowach i o żelaznych luskach na ciele... pełen złota, srebra i drogich kamieni, a nad tem wszystkim panuje ponury, tajemniczy geniusz podziemi: Roch Ostatni... Nieprawdaż, Pawle?

Paweł śmiał się wesoło z rozbawionego brata.

— Nie wiedziałem — mówił, — że masz tak bogatą fantazyę. Teraz widzę, że nie nadaremnie z takim zajęciem czytywałeś zawsze baśnie czarodziejskie w rodzaju tych, co noszą tytuł „Tysiąca i jednej nocy.“

Chłopczyk śmiał się wesoło i prawił dalej:

— Wchodzimy więc do groty, albo raczej podziemnych pałaców Rocha Ostatniego, a on nas pyta: „Coście wy za ludzie?“ Ja jestem Janek, uczę się niezłe, miałem tylko jedną dwójkę z łaciny w ciągu roku; a to mój brat, który już się łaciny nie uczy, bo do szkół wyższych uczęszcza. Nieprawdaż, mój Pawle, że byłoby to arcyzabawne?

— O ile jest nieprawdziwe.

W podobny sposób rozmawiając, dwaj bracia posuwali się w głąb gęstych zarośli, mając nadzieję, że w końcu natrafią na otwór, prowadzący do kryjówki staroego włóczęgi.

Ale nadaremne były ich poszukiwania; nigdzie ani najmniejszego śladu istoty ludzkiej nie spostrzegli. Wrócili więc z nieukontentowaniem do oczekującego na nich u podnóża góry pana Kalasantego, gdy naraz stanęli jak wryci.

Tuż z za boku wysokiej, prostopadłej skały padał na jasno oświetloną promieniami słońca polankę cień dziwnego kształtu.

Cień ten sprawił, że obaj bracia wstrzymali się i z podziwem nań patrzyli. I rzeczywiście było się czemu dziwić, gdyż cień taki mógł padać tylko od postaci tego, którego zwano Rochem Ostatnim.

Był dość długi, gdyż słońce nie wzbilo się jeszcze wysoko na niebie, i wyraźnie rysował się na polance. Widać było brodę, kapelusz, ręce, kij długi i plecy pochylone.

— To on!

— Tam, za tą skałą jest niezawodnie — szeptał młodzi.

Starszy, opanowawszy dziwne wrażenie przestrachu, któremu uległ mimowolnie, rzucił się naprzód, a za nim pośpieszył i młodszy.

Lecz, dziwna rzecz, zanim dobiegli do boku stromej skały, cień poruszył się, skurczył i zniknął.

Młodzieńcy jak najspieszniej przeszukali sąsiednie skały, lecz nigdzie ani śladu starca-włóczęgi nie znaleźli.

— Nic niema.

— A przecież cień był.

— Gdzież się więc podział?

— Zniknął.

— Dziwna rzecz.

— Tem dziwniejsza, że zaraz przeszukaliśmy wszystkie kąty.

— Szukajmy jeszcze.

Szukali, ale na próżno.

— Niepojęta rzecz, bo przecież najwyraźniej widziałem poruszający się cień na oświetlonym tle polanki!—mówił ze zdziwieniem Paweł.

— A więc sprawdza się, co o tym starcu opowiadał nam chłopek, wioząc nas z Olkusza—dorzucił Janek.

— Czy prawda, czy nie, to w każdym razie dziwnie ta postać nasuwa nam się przed oczy. Ten cień, który tak niespodzianie ukazał nam się i zniknął, zdumiewa mnie.

— Pójdźmy i opowiedzmy o tem panu Kalasantemu.

— Pójdźmy, gdyż zdaje mi się, że, chociażbyśmy w tem miejscu szukali do jutra, nic nie znajdziemy.

— Ale ja jeszcze raz przejrzę te zarośla — dodał maly Janek i począł skwapliwie rozchyłać gałązki krzewów, zaglądnąjąc, gdzie się tylko dało.

— E! wszystko na próżno!—zawołał wreszcie zniechęcony i pobiegł za bratem, schodzącym już ze wzgórza.

Wkrótce stanęli przed staruszką, który zaczął się niecierpliwie ich dłuższą nieobecnością.

Opowiedzieli mu o dziwnej przygodzie z cieniem.

Pan Kalasanty uśmiechnął się.

— Przywidziało wam się, nic więcej.

— Ależ nie, zapewniam pana!—mówił Paweł.

— W takim razie, drodzy chłopcy, nie umiecie się szybko oryentować wśród skał tutejszych i dlatego osoba, której cień widzieliście, ukryła się przed wami.

Młodzi stali zamyśleni.

— Ależ, moje dzieci, nie zaprzatajcie sobie niepotrzebnie głowy tem, o czem niema co myśleć. Cóż to dziwnego, że jakiś włóczęga był zręczniejszy w ucieczce i w ukryciu się w znanej sobie miejscowości, niż w dogonieniu go i wyśledzeniu jego kryjówki?

— To prawda—mruknął Paweł.

— Ale, w każdym razie, to dziwne! — dodał maly Janek.

— A ja jeszcze raz wam powtarzam, że niema o czem myśleć. Ot, lepiej chodźcie ze mną na Chełmową górę. Niepotrzebnie przerwaliśmy sobie naszą piękną przechadzkę.

Paweł nic nie odpowiedział, udając się machinalnie za panem Kalasantym, lecz w duchu postanowił sobie, bądź-co-bądź, odkryć tajemnicę, która osłaniała życie starca-włóczęgi, zwanego Rochem Ostatnim.

— Dziś jeszcze wieczorem — myślał sobie, — gdy pan Kalasanty i Janek udadzą się na spoczynek, przyjdę tu do tej dziwnej skały o głowie starca, na tę polankę, gdzie mi się dwa razy tajemnicza postać ukazała, i muszę przekonać się, co to wszystko znaczy. To trudno, mam taką naturę, że nie lubię, ażeby cośkolwiek było dla mnie zagadkowym, niezrozumiałem. Może ten starzec-włóczęga opieki potrzebuje, może mu będę mógł przyjść z pomocą. Jednym słowem, muszę tę tajemniczą osobistość poznać.

Uczyniwszy takie postanowienie, młodzieniec z właściwą sobie swobodą zapytał pana Kalasantego:

— Więc teraz udamy się na szczyt góry Chelmowej?

— Mam ten zamiar, ale nie wiem, czy starczy nam czasu na tę wycieczkę jeszcze przed obiadem.

— Ależ wystarczy... dopiero dziesiąta godzina.

— Więc chodźmy.

Szli zatem, wdychając aromatyczne powietrze łąk i lasów, i pieszcząc wzrok uroczymi widokami natury.

— Nawet ci, którzy majestatyczne Alpy widzieli i karmili, wyobraźnię ich widokami, zapewniają, że Dolina Ojcowa równie wielkie sprawiła na nich wrażenie. Jest ona jedynie piękną w swoim rodzaju. Nie darmo też nosi nazwę: „Doliny najpiękniejszej, a pod względem rzadkich roślin najbogatszej“ — mówił staruszek, pan Kalasanty, a młodzi w skupieniu słuchali, tuż obok niego postępując.

Tymczasem ścieżynka, po której szli, skręciła w bok i nagle przed oczami naszych znajomych odsłoniła się duża piętrowa willa, u stóp wysokiej, gęstym borem pokrytej góry.

Na drodze, niedaleko od ścieżyny leżącej, i na wzgórzach ukazywać się poczęli chciwi pięknych widoków turyści, a wkoło słychać było śpiew ptasząt i szum niedalekiego młyna.

Teraz pan Kalasanty i młodzi jego towarzysze co chwila spotykali gromadki letników, żywą zajętych roz-



Przed oczami naszych znajomych odsłoniła się duża piętrowa willa.

mową. Dzieci, panie, młodzieńcy i panowie starsi trzymali długie kije, ostro żelazem okute na końcu, i wspinali się po stromych ścieżynach, ciesząc się pięknnością widoków, zielenią lasów, świeżością pól i łąk.

— Zjazd widocznie w tym roku bardzo liczny — zauważył Paweł.

— Nic dziwnego — odparł pan Kalasanty, — gdyż ja co rok przyjeżdżałbym do tej niezwykle pięknej miejscowości.

— I ja także — dodał Janek.

— Bardzo też jesteśmy wdzięczni panu za przywiezienie nas tutaj, a przede wszystkim za wyjednanie na to pozwolenia rodziców.

— Za kilka tygodni i rodzice przybędą tutaj.

— Dopiero to będzie radość! — zawołał Janek, klaszcząc w ręce.

Rodzice naszych młodych znajomych mieszkali stale w Warszawie. Ojciec ich był urzędnikiem w jednej ze znacniejszych instytucji krajowych. Pan Kalasanty, stary przyjaciel i niegdyś nauczyciel Pawła, a obecnie Janka, cieszył się ich nieograniczonym zaufaniem, a blizkim był ich serca z powodu swych wielkich zalet charakteru.

Podróż tegoroczną do Ojcowa młodzieńcy słusznie zawdzięczali starszemu, gdyż on to głównie podał jej projekt i pracował nad jego urzeczywistnieniem.

Głośną zajęci rozmową, ani się spostrzegli, jak tuż przed willą zagrodziła im przejście obszerna werenda, więcej do namiotu podobna, niż do dopiero co wymienionej części domostwa.

Na tej obszernej, słońcem oblanej werendzie leżało mnóstwo rozpostartych siatek nicianych, na siatkach zaś starannie porozkładana niezliczona liczba ziół, kwiatów, motyli, much, muszek, ślimaków i t. p.

Metalowe końce szpilek, któremi każdy przedmiot starannie był do siatki przypięty, błyszczały na słońcu, jak isierki ognia.

— Doprawdy, to cud! — zawołał Janek. — Któż to tu tyle ziół i owadów nagromadził? kto je tak starannie poukładał?

— A czy widzisz tam na stole, w rogu werendy, jakieś dziwne przedmioty leżą... — zauważył Paweł.

I znajomi nasi przystanęli na chwilę, ciekawie przyglądając się porozkładanym zbiorom.

Naraz w półotwartych drzwiach, do wnętrza willi wiodących, ukazał się mężczyzna słuszny, w słomianym lekkim kapeluszu na głowie. W ręku trzymał sporą wiązkę paproci.

Gdy go Paweł zoczył, wykrzyknął radośnie i pobiegł szybko ku niemu.

Był to znany mu dobrze zapalony miłośnik i badacz przyrody — Bonifacy Dołęga.

Pan Bonifacy, ujrawszy Pawła, położył na siatce pęk paproci i serdecznie go przywitał, wołając:

— Kochany Pawełek! jakże się cieszę, że cię oglądam! Więc przybyłeś do Ojcowa? To dobrze, to bardzo dobrze! Ale widzę, że nie sam jesteś — dodał, postępując ku panu Kalasantemu i Jankowi, którzy ciekawie przyglądali się jego zbiorom.

— To mój brat, Janek, a to czcigodny nasz opiekun, pan Kalasanty — mówił szybko Paweł, ucieszony niespodziewanym spotkaniem.

Przywitanie się pana Bonifacego z panem Kalasantem i małym Jankiem było także, jakby się już od dawna znali.

Po chwili rzekł pan Kalasanty:

— Obfite zbiory zgromadził szanowny pan tutaj. Z przyjemnością oglądamy je i podziwiamy.

Pan Bonifacy uśmiechnął się, widocznie zadowolony.

— To jeszcze nie wszystkie—rzekł z ożywieniem;— mam ja zamiar o wiele cenniejsze okazy zdobyć w tej uroczej dolinie.

— Więc to są okazy tutejszej miejscowej flory i fauny?

— Tak, ale, jak rzekłem, niezupełny to zbiór, bo, trzeba wiedzieć, że rosną tu zioła, jakich na próżno szukalibyśmy w innych okolicach kraju, ba! nawet za granicą. Niektóre rośliny, tym stronom właściwe, tylko na niebotycznych wyżynach alpejskich znaleźć można. Tak, szanowni państwo, błogosławiona to pod wielu względami dolina.

Mówiąc to, pan Bonifacy wprowadził pana Kalasantego i jego towarzyszy na werendę.

— Bardzo mi będzie miło — mówił z przyjaznym uśmiechem — pokazać panom wszystkie moje zbiory. Włócząc się nieraz dnie całe nad Prądnikiem, albo wspinając się po górach, zebrałem tę skromną kolekcję ziół i owadów, daleką od nazwy doskonałej. Czy dacie państwo wiarę, że jestem oczarowany tutejszą okolicą? Samych paproci znalazłem 14 odmian. Istne skarby, gotowe rozbudzić entuzjazm w najchłodniejszym nawet obserwatorze dziwów przyrody.

I włożywszy okulary na nos, czcigodny pan Bonifacy zaczął ciekawie przysłuchującym mu się gościom pokazywać swoje cenne zbiory.

— Oto — mówił, wskazując na niewielką roślinę — niezmiernie rzadko pojawiające się w naszym kraju odmiany paproci, jak na przykład: „*Scolopendrium officinale*,” następnie „*Asplenium*“ i „*Aspidium*.” Tutaj oto mają panowie okazy bzu kolorowego, zwanego „*Sum-*

bucus,” na pochyłościach gór tutejszych rosnącego. Albo to... czy nie wielce piękny okaz Ostnicy pierzastej, zwanej po łacinie „*Stipa pennata*?” Mnóstwo jej rośnie w pobliżu jaskiń i grot tutejszych. A oto rzadkie i piękne okazy: „*Conyza squarrosa*,” „*Atropa belladona*“ i wiele innych, których wyliczaniem nie będę nużył moich szanownych gości; to tylko dodam, że są to rośliny bardzo niepospolite, niekiedy jedynie w cieplarniach hodowane.

Pan Bonifacy przerwał na chwilę swe opowiadanie, lecz widząc, że obecni słuchają go z zajęciem, poprawił swe wielkie okulary i szybko zaczął:

— A oto rzadkie, bardzo rzadkie okazy owadów, jak na przykład gatunki z rodzaju „*Chryzomela*,” „*Cryptocephalus*,” a z świerzycowatych różne, mało jeszcze znane pasikoniki i osoblive rzadkie skoczki z rodzaju „*Cixia*.” Słowem, powiadam państwu, że okolica tutejsza różni się pod względem bogactwa flory i fauny od reszty kraju, a nawet i od wielu krajów europejskich. Ja obecnie poszukuję rzadkiego owadu, zwanego „*Molytes fuscomaculatus*.” Po wielkiej powodzi, która nie dawno nawiedziła Ojców, owady te zniknęły z powierzchni traw, lecz mam nadzieję, że ja je odnajdę, przynajmniej kilka okazów. *Molytes* tutejszy jest największy ze znanych w Europie. Ach! co ja się naszukam tego drogiego owadu! Panowie, dla których podobne zbiory są obojętne, ani się domyślacie, czem mógłby być dla mnie ten owad, gdybym go znalazł.

— Usługi nasze ofiarujemy szanownemu panu — rzekł Paweł. — Owadu tego wspólnie z nim poszukiwać będziemy.

— Dziękuję ci, drogi Pawełku!

Pan Kalasanty niezmiernie był ucieszony z związanej z panem Bonifacym znajomości. Zamiłowanego w studyach nad przyrodą uczonego od razu polubił i, co za tem idzie, rad byłby przestawać w jego towarzystwie.

To też przy pożegnaniu serdecznie ścisnął jego rękę, obiecując, o ile tylko będzie można, odwiedzać go i wspólne z nim w góry odbywać wycieczki.

Mały Janek i Paweł również serdecznie ścisnęli dłoń przyrodnika, dziękując mu za pokazanie cennych zbiorów i udzielenie o nich objaśnień.

ROZDZIAŁ IV.

Pożegnawszy się z panem Bonifacym, znajomi nasi udali się na szczyt góry Chełmowej. Po drodze znowu spotykali głośnie zajętych rozmową panów i panie, jużto wracających doswych willi z rannych wycieczek, już też na niskich wieśniaczych wózkach udających się na zwiedzenie dalszych okolic uroczej miejscowości.

Było już około godziny dwunastej, gdy pan Kalasanty i jego towarzysze spoczęli na niskiej ławce przed młynem, którego kołom wody Prądnika ruch nadawały. Młyn stał cicho, przyczepiony, jakby ptak, do stóp olbrzymiego wzgórza.

— Tu nieco odpoczniemy—mówił pan Kalasanty,— a następnie zabierzemy z sobą przewodnika, gdyż inaczej nie trafilibyśmy na szczyt góry.

Wkrótce we drzwiach młyna ukazał się dziarski chłopiec, około dwudziestu lat mieć mogący, i pokłoniwszy się przybyłym, rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!—odrzekli chłopcy.

— Panowie zapewne nasze skały chcą zwiedzić — mówił dalej.—Ja jestem Antek Kowalczyk i góry tutejsze

bardzo dobrze znam. Na którą tylko panowie sobie życzą, poprowadzić ich mogę.

— A na Chelmową trafisz, mój chłopcze?—zapytał łagodnie pan Kalasanty.

— Dlaczegożbym miał nie trafić, wielmożny panie? Ja tu wszystkie góry, doliny, skały, ba, nawet jaskinie i grotty znam, jak oto ten nasz młyn, w którym się urodziłem, wychowałem, żyję i, daj Boże, abym do śmierci mógł pozostawać.

Ostre, ale pociągające spojrzenie chłopaka, jego zręczne ruchy i postawa silna, o ramionach szerokich, budziły w naszych znajomych pewność, że za takim przewodnikiem wszędzie udać się można.

Wkrótce też podążyli za zręcznym Antkiem Kowalczykiem na jeden z najwyższych szczytów, otaczających dolinę Ojcowa.

Szli z początku wąską drożyną wśród olbrzymich drzew i sterczących między niemi skalistych urwisk. Coraz to nowy widok uderzał ich zdziwione oczy. Szczyty skał, wznoszące się hardo ku niebu, znajdowały się teraz u ich stóp, albowiem góra Chelmowa o wiele je przewyższała. Nareszcie dosięgli polanki, pośrodku której wznosił się prosty i silny krzyż żelazny. Tę cichą polankę, przystrojoną w wianuszki kwiatków leśnych, pokrytą z boków smętnie szumiącymi sosenami, brzożami i leszczyną, otaczała z jednej strony przepaść, której czarną czelusć zasłaniały miękkie bujnej roślinności firanki.

Wspaniały widok roztaczał się stąd na całą okolicę. Mimowolny okrzyk radości wyrwał się z piersi młodych zwiedzających. Pan Kalasanty stanął, podparł się na swym długim kijem góralskim, i wdychając lekkie, prze-

jęte wonią lasów powietrze, napawał oczy cudownym widokiem.

Ta polanka, stanowiąca szczyt góry, zwanej Chelmową, godna jest pamięci zwiedzających, gdyż widoki z niej przedstawiające się mają sobie właściwie tylko piętno przedziwnego uroku.

U stóp widza leży cały Ojców. Drzewa i bujna roślinność tak przybrały skały, wzgórze i doliny, że widzowi zdaje się, jakby się naraz znalazł na wątej łodzi, rzuconej na rozbujające zielone fale morza, pośrodku których gdzieś sterczą harde urwiska i skały.

W milczeniu spoglądali Janek z Pawłem na liczne wsie, wioski i miasta, które w oddali błyszczały krzyżami kościołów, czerwonymi dachówkami kamienic i białymi ścianami chatek.

W południowej stronie horyzontu, daleko, bardzo daleko, widać było sine pasmo wysokich, niebotycznych gór, które co chwila nikły w błękitnej mgłę oddalenia.

— To Tatry i Karpaty widać — objaśnił młody przewodnik, wyciągając rękę w stronę gór.

Janek chciał posunąć się o kilka kroków na przód, jak gdyby przez to łatwiej mógł przypatrzeć się czarownej panoramie, gdy naraz został przytrzymany w miejscu silną ręką młodego przewodnika.

— Paniczu, ani kroku dalej, bo śmierć! Z tej strony szczyt góry stromy; przed nami przepaść, na setki łokci głęboka.

Janek spojrział przed siebie przerażony i czempredziej cofnął się pod krzyż, gdzie stał Paweł wraz z panem Kalasantym.

— Proszę cię, mój chłopcze—mówił Paweł do zbliżającego się przewodnika, — czy nie mógłbyś mi powie-

dzieć, jak się nazywają te wybitne szczyty gór, które pośrodku doliny, na drodze do ruin, leżą przed nami?

— Owszem, wiem. Oto przed nami widać płaski szczyt Janaszówki. Na tę, jakby z trzech stron ręką ludzką ociosaną górę wstęp z czwartej strony jest dość wygodny. To też zawsze na niej pełno zwiedzających. Widok z niej bardzo ładny. Tam znowu dalej widać górę, którą nazywają Skalą Twardowskiego, bo to na niej podobno ów czarownik swoje praktyki odbywał. Tamta znowu Kozieniec, tamta Latarnia, dalej Iglica, Ławki, góra... Kłasztorna i wiele innych jeszcze stąd widać, ale one już mniej ważne.

Podobną rozmową zajęci, znajomi nasi ani się spostrzegli, że dobrą godzinę czasu spędzili na szczycie góry, i dopiero głód przypomniał im o obiedzie i powrocie do domu. Wrócili więc i, przebrawszy się, poszli do miejscowej restauracji, gdzie wspólnie z innymi gośćmi Ojcowa spożyli posiłek.

Paweł z niecierpliwością oczekiwał nocy. I gdy resztę dnia pan Kalasanty spędził w chatce, porządkując wraz z Jankiem książki, kajety, ołówki i farby, gdyż obaj bardzo lubili rysunki i malarstwo, on projektował, jakim sposobem zdemaskuje starego włóczęgę Rocha i jakim przez to wobec młodszego brata okryje się urokiem nieustraszoneści.

Młodzieńca, pożądanego żywszych wrażeń, bawiła i pociągała zagadkowa postać starego górnik.

— Ciekawym, co mi powie, jak się wobec mnie zachowa?—myślał Paweł i z niecierpliwością spoglądał na zniżające się właśnie ku zachodowi słońce i na długie cienie, które padały od drzew i wzgórz na jasną polankę, pośrodku której stała chata Wawrzyńca Ko-

— Nie, nie wilk — odrzekł Wawrzyniec. — Ślepie wilcze nigdy się tak nie świecą. To coś innego.

— Cóż więc być może? Ja najwyraźniej widzę dwa palające płomyki.

Rzeczywiście widać było o kilkanaście kroków dwa płomyki, jakby od dwóch świec zapalonych pochodzące.

— To dziwna rzecz! — odezwał się Paweł, którego mowę głuszył wicher i plusk deszczu. Jakimże sposobem podczas takiej ulewy może się ogień palić?

— Juścić to dziwna rzecz! — mruknął stary Wawrzyniec. — Ślepie wilka, albo innego jakiego drapieżnego zwierza, nie błyszczałyby tak jasno. To wygląda tak, jakby ktoś dwie świece zapalił.

— Może zły człowiek jaki, zbój może! — szepnął Grzegorz.

— W takim razie wiatr i deszcz zagasiłby mu światło, którego przedewszystkiem nie miałby najmniejszego powodu zapalać — tłumaczył Paweł.

Uwaga ta wydała się bardzo słuszną, więc na chwilę wszyscy zamilkli.

Stary Wawrzyniec, który był człowiekiem niecierpliwym, wysunął się na przód i głośno krzyknął:

— Kto tam? Co to za światło?

Ale nagły błysk piorunu i huk przerażający zagłuszył jego wołanie.

Widocznie w pobliżu gdzieś piorun uderzył. Przy sinem świetle błyskawic, które co chwila teraz przerzyły ciemności burzy i nocy, można było przez sekundę przynajmniej widzieć groźne urwiska skał, wśród których stali poszukujący zaginionego pastuszka. Deszcz ulewny i wicher niepowstrzymany dokuczyły im tak, że za jakąbądź cenę pragnęli schronić się gdziekolwiekby, z

chociażby nawet do Wilczej jamy. W miarę posuwania się w głąb skał, światelka powiększały się. Już nawet można było rozpoznać, że były one zapalone ręką ludzką w jakimś zacisznym miejscu i że wydobywały się przez jakiś otwór w skałach, gdyż w przeciwnym razie wicher i ulewa zgasiłyby je.

— To w Wilczej jamie ktoś światło pali!—zawołał nagle Grzegorz. — Przez szczeliny stamtąd je widać.

— A więc zobaczmy, kto je tam zapalił — rzekł Wawrzyniec, posuwając się szybko w stronę skał stromych.

Szedł na przód śmiało, a za nim posuwali się Paweł i Grzegorz. Teraz dokładnie widać było dwa otwory, ręką natury w skałe utworzone, przez które wydobywały się czerwone promienie światła.

„Dziwna rzecz, kto tam ogień pali?“—myślał Paweł, postępując za starym Wawrzyniecem, który był już blisko owego otworu i właśnie nachylił się, aby zajrzeć do wnętrza, rzęsiście oświetlonego.

Lecz naraz stała się rzecz niewytłomaczona z odważnym, pełnym siły starcem. Oto zaledwie zajrzał do wnętrza, zachwiał się, ręką za czoło się chwycił, a drugą, jakby w największym przerażeniu, przed siebie nerwowo wyciągnął.

— Duch!.. upiór! — krzyczał przeraźliwie, i odwróciwszy się, jakby jakąś niepojętą siłą pędzony, uciekać począł, krzyząc i jęcząc.

Za nim pobiegł i Grzegorz, wołając:

— Matko Przenajświętsza! Jezus, Marya!

Znowu grom błysnął, zagrzmiotało, wicher silniejszy wionął—i zanim Paweł ochłonął z niespodzianego wrażenia, już przy nim obydwóch chłopków nie było.

— Zabobonni tchórze!—szepnął młodzieniec i śmiało zbliżył się do otworu, w którym przed chwilą coś tak niezwykłego ujrzał stary Wawrzyniec i syn jego.—Duch!.. upiór! — powtarzał. — Biedni, którzy w podobne brednie wierzą.

Staął przed skałą i skwapliwie zajrzał przez szczelinę do wnętrza, rzęsiście oświetlonego.

Spojrzał i szybko odskoczył, jakby niewidzialną siłą odepchnięty. Gdyby kto na niego spojrział w tej chwili, ujrzałby w oczach jego wielkie zdziwienie i przerażenie.

Opanował się jednak i znowu śmiało zajrzał przez oświetlony otwór, gdzie znajdowało się owo tajemnicze zjawisko, które tak przerażało jego współtowarzyszy.

I rzeczywiście, to, na które patrzył, nie mogłoby być nigdy zaliczone do rzędu zwykłych.

Oto pośrodku niewielkiej pieczary, którą jeden z wieśniaków nazwał Wilczą jamą, palił się suty ogień, smolnem łuczywem podniecany, a przed nim siedział starzec o wyniosłej postawie, z wielkim kijem góralskim w ręku. Długa siwa broda i długie włosy spadały mu w nieładzie na piersi i ramiona. Wzrok zimny, wybladły, utkwiony miał w ognisku, jakby go w niem rozgrzać, ożywić usiłował, a cały był tak nieruchomy, jak posąg kamienny.

— Roch Ostatni... to on!—szeptał Paweł, w którym odżyła myśl zbadania losów tajemniczego starca.

Ten siedział wciąż tak nieruchomie, że zdawało się, iż nie żyje. Przed nim, z drugiej strony ogniska, stały dwie białe jak śnieg kozy i, przytulone jedna do drugiej, wpatrywały się w tajemniczego starca. Czerwone światło ognia igrało po wybladłej i jakby z wosku ulepionej twarzy jego, odbijało się w zimnych, przygasłych

oczach jego i padało na skaliste ściany groty, wilgotną rosą pokryte. Po za ogniskiem leżały dwa wielkie kamienie, ciemną swą masą przypominające cielska dwóch wielkich niedźwiedzi, a dalej wznosiły się ostre urwiska, na które od czasu do czasu padało to słabsze, to znowu silniejsze światło ognia—i wówczas zdawało się, że w jaskini jakieś postacie się ukrywają, że lada chwila wyjdą i biada będzie śmiarkowi, który ich spokój zakłócił.

Jakkolwiek Paweł nie należał do ludzi bojaźliwych i łatwo się przejmujących, jednakże nie mógł się oprzeć jakiemuś niewytłómaczonemu uczuciu trwogi, które, w miarę jak patrzył na dziwne zjawisko w grocie, coraz to silniej opanowywało jego serce. Wicher zrzucił mu kapelusz z głowy, ulewa przemoczyła go zupełnie, chłód przebiegał po nim, a on schylony stał z głową w jasnym otworze groty i patrzył, patrzył.

Wtem wyprostował się, ręką przetarł czoło i oczy, a następnie śmiało posunął się pomiędzy skaliste urwiska, pragnąc dotrzeć do wnętrza jaskini.

Udało mu się to z łatwością, bo z jednej strony było dość wygodne przejście. Lecz gdy właśnie miał przekroczyć wejście do kryjówki, dał się słyszeć syk i trzask, słup iskier i dymu buchnął do góry, napelniając sobą wnętrze jaskini, a następnie grobowa ciemność zapanowała dokoła.

— Jezus, Marya! — krzyknął młodzieniec i cofnął się przed duszącym go dymem.

Wybiegł z groty szybko, kalecząc ręce o ostre skały, i zatrzymał się dopiero, gdy świeżem powietrzem oddetchnął. Stał chwil kilka, ciężko oddychając, aż nareszcie uspokoił się nieco. Deszcz ulewny, błyskawice i grzmoty,

zdawało się, że nie skończą się nigdy — przeciwnie, że zwiększą niż dotąd siłą zawładnęły niebem i ziemią.

Jednakże Paweł nie zwracał uwagi na straszliwą burzę, będąc odurzonym, obezwładnionym tem wszystkim, czego niedawno był świadkiem.

Naraz zerwał się i znowu pobiegł między skaliste załamy, szukając między nimi wejścia do tajemniczej kryjówki niezwykłego starca.

Ale jak w baśniach czarodziejskich na skinienie czarownika giną lasy, wody i góry, tak i kryjówka owa przepadła bez śladu. Dym tylko duszący, przez ulewę rozbity, czuć było wkoło; ogniska zaś, starca i kóz jego białych Paweł już znaleźć nie mógł. Błądził więc przez chwilę wśród groźnych urwisk, korzystając z oślepiających błysków piorunów, które właśnie jeden za drugim padały na kamienne szczyty groźnych, nieugiętych opok, strzegących uroczej doliny Prądnika.

Wtem zdało mu się, że coś białego przebiegło tuż obok niego. Spojrzał uważniej i gdy nagle błyskawica sinem światłem oblała okoliczne wzgórza, ujrzał starca, przez wiek pochylonego, z długim kijem góralskim w ręku, tuż niemal przed sobą. Za starcem biegła druga, biała jak śnieg koza, gdyż pierwsza właśnie dopiero co przebiegła przodem. Zjawisko trwało zaledwie sekundę i zniknęło wraz z błyskawicą. Paweł porwał się na przód, nerwowym, szybkim ruchem wyciągnął ręce przed siebie, pragnąc schwytać tajemniczego starca, lecz naraz poczuł, że czyjeś chłodne, żelaznej siły dłonie ujęły go za ramiona, tak, że nawet drgnąć nie mógł i tuż nad sobą usłyszał wymówione przytłumionym głosem, którego dźwięk niemile go uderzył, następujące wyrazy:

— Śmiałku, strzeż się mnie kiedykolwiek dotykać, bo sam zginiesz...

Po słowach tych niemiły śmiech: cha! cha! cha!.. jak głos puszczyka, rozległ się w powietrzu i jednocześnie żelazne dłonie uniosły przerażonego młodzieńca do góry, jakby leciuchne piórko, i następnie opuściły na dół.

Znowu niemiły śmiech rozległ się, lecz już z dala, i Paweł poczuł, że jest wolnym.

Przerażony, przemokły, z głową pełną najdziwniejszych myśli, stał chwilkę odważny młodzieniec, nie wiedząc, co z sobą począć.

Tymczasem burza szalała, drzewa szumiały, a po nagich, groźnych szczytach okolicznych co chwila, jak ogniste źmije, przebiegały zygzakowato krwawe błyskawice.

Przekonawszy się, że dalsze poszukiwania byłyby bezowocne, i czując wielkie znużenie, Paweł z wolna udał się w stronę domostwa Kosów, z trudnością posuwając się na przód wśród burzliwej, ciemnej nocy i nieznanej sobie okolicy.

ROZDZIAŁ V.

Gdyby nie światło, które paliło się w obu izbach domostwa Wawrzyńca Kosa, Paweł z pewnością przez całą ową pamiętną w jego życiu, burzliwą noc byłby się błąkał po dolinie Ojcowskiej, i okolicznych skałach. Ale owo światło i głos szczekającego głośno Kruczka sprawiły, że już po północy, zziębnięty, przemokły, stanął w progu niespokojnie oczekującego nań pana Kalasantego.

Staruszek polecił Jankowi udać się na spoczynek; sam wziął swą małą, na długim, czarnym cybuchu osadzoną fajkę, i usiadłszy na krzeselku, palił ją, puszczać w górę raz mniejsze, to znowu większe kółka sinego dymu.

Widocznie, że myśli jego nie były spokojne, bo co chwila wstawał, i przykładając twarz do szyb okna, patrzył w ciemną, burzliwą przestrzeń nieba i ziemi.

Światło błyskawic i odgłos burzy, z taką gwałtownością szalejącej wśród skał i urwisk okolicznych, tu, wśród czterech białych ścian izdebki—małały, milkły.

Pomimo to, pan Kalasanty coraz to stawał się niespokojniejszym.

Niepokój jeszcze się bardziej wzmógł, gdy naraz na podwórzu przed domem dało się słyszeć głośniejsze niż zwykle szczekanie psa, a po chwili drzwi gwałtownie się otworzyły i w nich ukazał się Paweł. Był blady, bez kapelusza, przemokły i gniewny. Ujrawszy go, starszek odłożył na bok fajkę i z trwogą zapytał:

— A tobie co się stało?

Młodzieniec z przymusem uśmiechnął się i, starając się o spokój, odrzekł:

— Eh! nic... przemokłem tylko...

Mówiąc to, unikał wzroku staruszka, jakby go się wstydził.

— Pawełku, co tobie? — zapytał tenże, ale już z wielkiem zaniepokojeniem.

— Zaraz, zaraz opowiem, tylko pierwszej przebrać się muszę.

Tymczasem na podwórzu znowu dało się słyszeć głośne ujadanie Kruczka i uspokajający je głos gospodyni domu.

Wkrótce w sieni słyszeć się dały stapania kilku osób i pan Kalasanty wyszedł dowiedzieć się, co by to miało znaczyć.

— To pewnie stary Wawrzyniec i Grzegorz przyszli z wycieczki w góry — mówił Paweł, zmieniając przemokłe ubranie.

— Tak, to oni — potwierdził pan Kalasanty, wracając z sieni, — ale sami, bez chłopca... Biedni ludzie... trzeba się będzie zająć nimi, pośpieszyć im z pomocą.

— Bez chłopca — powtórzył machinalnie Paweł, i biorąc staruszkę za rękę, usiadł wraz z nią na ławce.

— Drogi panie — zaczął, patrząc na niego z synowskim przywiązaniem, — musisz mi dopomóc twym światłym, doświadczonym rozumem do rozwiązania wielce niezwykłych rzeczy.

— Zaciekawiasz mnie... Cóż to takiego? — pytał do brotliwie pan Kalasanty.

— Oto widzisz mnie przed sobą takim, jakim zawsze byłem — mówił Paweł: — silnym na ciele i duszy, nie łatwo dającym się uwieść jakimkolwiek pozorom, sądzącym i badającym wszystko w sposób naturalny.

— Bardzo dobrze, ale do czego to ma zmierzać?

— Oto do tego, że tam, w górach, spotkała mnie taka przygoda, jakiej nie miałem w życiu, i że, zastanawiając się nad nią, nie wiem sam, co o sobie myśleć.

— Jaktó! nie wiesz, co o sobie myśleć?

— Chyba, że było snem to, com widział wśród skał, podczas burzy.

Tu Paweł opowiedział słuchającemu go pilnie staruszkowi o całej dziwnej, no i niemiłej dla niego przygodzie z tajemniczym starcem, którego lud okoliczny zowie Rochem Ostatnim.

— Jeszcze czuję żelazny uścisk jego ręki — kończył Paweł.

Wysłuchawszy wszystkiego, pan Kalasanty wstał z ławki, wziął fajkę ze stołu, nałożył ją świeżym tytu-
niem i, zapaliwszy, przez chwil kilka zaciągał się dymem, co zwykle czynił, gdy nad czemś poważniejszym myślał.

Naraz przestał palić i, zwróciwszy się do Pawła, rzekł z uśmiechem:

— Ależ to biedny jakiś człowiek, mój Pawle, i nie więcej... człowiek, któremu, jak to mówią, brakuje w głowie piątej klepki.

— I ja do takiegoż wniosku przychodzę, tylko dziwi mnie, że dotychczas nie zabrano tego człowieka do szpitala lub do domu zarobkowego.

— Zapewne. Ale, proszę cię, cóż ci biedni gospodarze nasi robią? Zabłąkanie się ich dziecka i dziwne jest i smutne.

— Tem bardziej, że burza szaleje i ulewa huczy, jakby miał nowy potop nastąpić.

— Trzeba tam pójść do nich i uspokoić ich. Może chłopczyzna wstąpił do krewnych, których zapewne mają w Ojcowie, i tam nocuje. To rzecz możliwa.

Mówiąc to, pan Kalasanty wstał, aby udać się na drugą stronę chaty, gdzie mieszkali Kosowie, gdy naraz drzwi się otworzyły i stanęła w nich Grzegorzowa.

Kobieta, zwykle rumiana i pewna siebie, pობlađła, a w oczach jej widać było wielkie przynębienie.

— Proszę panów... — zaczęła — cóż się tam stało w górach, że mój ojciec tak się przestraszył?... Leży teraz w łóżku i ani słowa z niego wydobyć nie można.

Pan Kalasanty i Paweł na przemian opowiedzieli jej o całej przygodzie. Kobieta słuchała uważnie, a później rzekła z westchnieniem:

— Oho! to ojciec nie tak prędko podniesie się z łóżka.

— Dlaczego? — pytał Paweł. — Zmęczył się stary, więc odpoczywa.

— E... nie, panoczku, to nie zmęczenie, tylko...

— Tylko co?

— Tylko Rocha Ostatniego ojciec mój się boi. Raz też, pamiętam, późną nocą wracaliśmy z jarmarku ze Skały, aż tu naraz ojciec, co obok mnie siedział, jak nie krzyknie, jak sobie nie zakryje oczu rękami... „Duch, upiór!“ krzyczy i woła. My z mężem patrzymy, co się dzieje, a tu Roch Ostatni przez pola idzie. To on tak ojca przestraszył.

— Dziwne, bardzo dziwne! — mówił sam do siebie Paweł — bo, o ile mi się zdaje, stary Wawrzyniec bynajmniej nie należy do ludzi tchórzliwych lub bojaźliwych.

— To prawda, że nie — dodała kobieta, która tę uwagę młodzieńca usłyszała — ależ cóż począć, kiedy go to strasydło Roch zawsze tak przerazi, że później leży w łóżku jak bez duszy.

— Dziwne, bardzo dziwne, bo chyba mężowi waszemu nic nie jest? — pytał pan Kalasanty.

— A juścić nic. On nawet znowu poszedł w góry szukać naszego Grzesia.

— Poszedł?

— Juścić poszedł; ale ja myślę sobie: może mój Grześ wstąpił do krewnych naszych, co mieszkają z drugiej strony doliny.

— To przypuszczenie jest wielce prawdopodobne — podchwycił żywo pan Kalasanty.

— Właśnie przyszłam też prosić panów, żeby tam do izby naszej, gdzie leży ojciec, zajrzeli od czasu do czasu, bo ja może dopiero nad ranem lub później wrócę.

Paweł i pan Kalasanty chętnie przyrzekli we wszystkim, w czym tylko będzie można, przychodzić w pomoc biednym ludziskom.

Gdy Grzegorzowa wyszła, pan Kalasanty rzekł do Pawła:

— Ty idź spać, chłopcze, a ja będę czuwał. Gdybym poczuł zbyt wielkie znużenie, to cię obudzę i z kolei będziesz musiał czuwać.

Młodzieniec chętnie się zgodził na taką umowę i strudzony, wrażeniami dnia wyczerpany, wkrótce zasnął.

ROZDZIAŁ VI.

Burza, która z taką gwałtownością nad Ojcowem przez całą prawie noc szalała, nad ranem przycichła; a gdy blada smuga światła zajaśniała na wschodzie, ostatnie, dalekie odgłosy gromów przebrzmiały w okolicznych wąwozach.

Jak stada pierzchliwego ptactwa, tak na dalekich krańcach horyzontu znikaly strzępy chmur ciemnych, odsłaniając spokojny, jasny błękit nieba.

Gdy na wschodzie blade światła świtu zaróżowiły się, gdy, jakby rumieńcem pokryło się blade-niebieskie niebo, a z za skał i gór okolicznych, jak złote strzały, rozbiegły się na wszystkie strony promienie wschodzącego słońca, — już o strasznej, gromami zbrojonej burzy, tylko wspomnienie pozostało w uroczej dolinie Ojcowca.

Dzień się zbudził i wstał — pogodny, piękny dzień letni.

Drożyną stromą i ścieżynami, zygzakowato z gór prowadzającymi, szło dwoje ludzi, kierując się w stronę domostwa Wawrzyńca Kosa.

Oboje byli smutni, oboje co chwila przystawali, na wszystkie strony się rozglądając, jakby kogoś na szczytach okolicznych wzrokiem szukali. Ale szczyty były głuche i nieme.

Kobieta ocierała oczy fartuchem, a wieśniak, idąc obok niej, wołał:

— Grzesiu! Grzesiu!

Echo niesło to wołanie i stokrotnie je powtarzało.

Po każdym wołaniu wieśniak przystawał i słuchał pilnie, zwracając się to w tę, to w inną stronę.

Upragnionej jednak odpowiedzi, której oboje oczekiwali, nie otrzymywali. Szli więc dalej smutni, przygnębieni, jakby z pogrzebu, bynajmniej nie zwracając uwagi na piękności, które poranne słońce dokoła rozsiewało. Błyszcząca, jakby gwiazdy, rosa wśród zieleni traw i na gałązkach krzewów, śpiew ptasząt i szum drzew bynajmniej nie cieszyły ich, nie zajmowały. Oni byli smutni, bardzo smutni.

Czasami kobieta przystawała i, ocierając oczy, głośno łkała i wyrzekała na losy okrutne. Wówczas uspokajał płaczącą wieśniak, choć z trudem mu się to udawało.

Ta para smutna, zgnębiona—to Grzegorz i jego żona, powracający z bezowocnej wycieczki, w celu odnalezienia zaginionego syna podjętej.

— Czasami zdaje mi się, że jego jęki i wołanie o ratunek słyszę—skarżyła się biedna matka.

Grzegorz chmurnie brwi ściągnął. I on już stracił nadzieję, że ukochanemu dziecku nic niebezpiecznego się nie przytrafiło—i on poczuł w sercu boleść wielką, która mu wzrok zaciemniała.

„On mógł zginąć gdzieś na dnie przepaści“—myślał. Stanęli więc oboje i zaczęli wyrzekać, rozpaczać tak, jak jeszcze nigdy w życiu nie rozpaczali.

Wtem ucichli, bo nagle z za gór doleciał ich głos sygnaturki z pobliskiego kościoła. Srebrny ten, dźwięczny głos biegł przez pola, przez lasy, przez łąki i wody, niosąc wszystkim cierpiącym i wszystkim cieszącym się wzniosłe napomnienie: „Módlcie się, Bóg jest wszechmogący.“

I rzecz dziwna—rozpaczająca wieśniaczka i wieśniak nagle przystanęli, i przeżegnawszy się, „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“ odmawiać jęli.

Modlitwa szczerą, głęboką, którą miliony codziennie powtarzają, pokrzepiła ich i w serca, w które już gorzkie zwątpienie jad swój sączyło, otuchę wniosła. I gdy ostatnie dźwięki dzwonu przebrzmiały, wieśniacy przeżegnali się, z ufnością wzniesli oczy ku niebu, a później, spojrzawszy sobie w oczy, prawie razem rzekli:

— Bóg nas pocieszy.

I pochyleni pod ciężarem nieszczęścia, lecz już spokojniejsi, szli do rodzinnej zagrody, nawzajem dodając sobie otuchy i ufności, że może jeszcze ich ukochane dziecko marnie nie zginęło, że jeszcze, da Bóg, wróci do ich chaty.

Tak pocieszonych i uspokojonych modlitwą spotkał pan Kalasanty przed wrotami domostwa. Staruszek właśnie wyszedł podziwiać i napawać się pięknym porankiem, a zarazem dowiedzieć się, co się dzieje w rodzinie pocziwych wieśniaków.

Ucieszył się bardzo, ujrawszy zbliżających się Grzegorzów, i postąpił kilkanaście kroków na ich spotkanie.

Oni pokłonili mu się i zaczęli dziękować za okazaną im grzeczność i dobroć.

Pan Kalasanty odrzekł, że nic takiego dla nich nie robi, czegoby dla innych nie zrobił, bo przecież w nie-szczęściu każdego ratować potrzeba.

— Ale mam wam też coś ciekawego pokazać—zaczął, zwracając rozmowę na inny przedmiot.—Czy zauważyliście, że wasz pies podwórzowy jest niespokojny, że biega i węszy na wszystkie strony?

Istotnie poczciwy Kruczek dziwnie się zachowywał. Zdawało się, że chce coś wskazać, że daje wzrokiem jakieś znaki—mało brakowało, ażeby przemówił.

— Ten pies czegoś chce od nas... ale czego?—szepiała Grzegorzowa. — On nigdy tego nie robił dawniej. O, o... jakto teraz do wrót podlatuje i ciągle na nas spogląda.

Pan Kalasanty, coraz to więcej zainteresowany dziwnym zachowaniem się poczciwej psiny, poszedł za nią ku wrotom, a następnie i na drożynę. Kruczek radośnie podskakiwał i szczekał, jakby chcąc okazać, że tylko tego pragnął.

— A toć ten pies chce gdzieś prowadzić pana Kalasantego—zauważył Grzegorz.

— Może on zaprowadzi nas na ślad zaginionego Grzesia?—dodała kobieta, wychodząc za wrota.

Grzegorz potwierdził to jej przypuszczenie i zaraz pobiegł do izby, ażeby zmienić przemokłą sukmanę i następnie udać się za poczciwym Kruczkiem.

— Grześ z Kruczkiem bardzo się lubili—mówił więśniak, wychodząc na podwórze,—nic więc dziwnego, że jeden za drugim tęskni.

Istotnie pies prowadził gdzieś w pole postępujących za nim pana Kalasantego i Grzegorza.

— On nas zaprowadzi na ślad zaginionego—mówił z radością ten ostatni.

— Poczciwa psina!—dodał pan Kalasanty. Czy tylko przypomni sobie, gdzie wczoraj zostawił swego małego pana.

— Oho! to sprytny pies—wychwalał go Grzegorz.

— Juścić on bardzo sprytny — dodała jego żona, wracając do chaty, ażeby zakrzatnąć się nieco koło gospodarstwa.

śmiało koło, siwych włosów pana Kalasantego przelatywały, jakby go swymi strojnymi wachlarzykami skrzydeł od złotych promieni słońca uchronić chciały, — że staruszek, wzruszony takim pięknem natury, zdjął kapelusz i modlitwy poranne odmawiać począł. Grzegorz, widząc to, jeszcze większej nabral otuchy.

ROZDZIAŁ VII.

Z początku, gwarząc o zmyślności Kruczka, szedł pan Kalasanty z Grzegorzem nad brzegiem Prądnika, ścieżynką wąską, lecz wygodną, mając z jednej strony wysoką ścianę skał, z drugiej bujną łąkę. Szli dość szybko, bo poczciwy pies biegł przodem, raz niknąc w zieleni traw, to znowu wysuwając się na ścieżynę i oglądając się na wszystkie strony. Było to tak, jakby się namyślał, w którą stronę ma prowadzić postępującego za nim gospodarza i pana Kalasantego, albo też, jakby się czego obawiał. Gdy nazbyt wyprzedził postępujących za nim, przystawał, niecierpliwie skomląc i szczekając.

— Cicho, piesku, cicho! — uspokajał go Grzegorz, który poweselał jakoś, bo zdawało mu się, a nawet zaczął już w to wierzyć, że pies naprowadzi go na ślad zaginionego synka.

Tego samego zdania był i pan Kalasanty, który, idąc wśród bujnej zieleni drzew i krzewów, napawał się pięknym porankiem po burzliwej nocy. I istotnie czas był tak piękny, niebo i ziemia tak pełne spokoju, milego śpiewu ptasząt, zieleni i błękitu, tysiące ziół i kwiatów taką balsamiczną wonią nasycaly powietrze, a motyle tak



Pan Kalasanty napawał się pięknym porankiem po burzliwej nocy.

— Ja zawsze lubilem naszego Kruczka — mruczał sam do siebie. — To nie jest pies ladajaki, jeno taki, co rozum ma. Juścić nie ludzki, ale ma.

Zrobiwszy to spostrzeżenie, Grzegorz śmiało odgarnął z nad czoła swe płowe włosy i podniósł głowę do góry, co naturalnie oznaczało, że niedawne jego przygnębienie ustąpiło miejsca nadziei.

— Chłopiec się znajdzie—myślał i mruczał,—bo, choć mały, ale też rozum ma. Dziecko on, mój Grześ, a nieraz tak ładnie coś powie, jakby sam organista. Da Bóg, że się Grześ znajdzie. Prawda, Kruczuś?

To ostatnie zdanie powiedział poczciwy wieśniak głośno i to tak głośno, że pies przystanął, zawrócił i, łaszcząc się, począł lizać ręce łaskawemu na siebie gospodarzowi.

— No, no, dość tego, Kruczuś, dość—mówił, głaszcząc go po lśniącej szerści. — Teraz idź i prowadź nas dalej.

Pies, jakby rozumiejąc te słowa, pobiegł posłusznie na przód, skręcając nagle w chłodne wnętrze wyniosłego lasu.

Cichy lecz głęboki szum sosen, olch i leszczyny zbudził z nabożnej zadumy pana Kalasantego.

— A to bardzo miło tutejsze drzewa szumią—rzekł, zwracając się do zajętego ciągle Kruczkiem wieśniaka.

— Oj, szumią—ć one, szumią—odrzekł tenże, wzdychając,— a szumiałyby jeszcze piękniej i głośniej, gdyby ich byli przed kilkunastu laty nie wytrzebili kupcy niemiecscy. Szumiały—ć one i grały, kiedy się człowiek w głąb lasu zapuścił, to raz jakby organy w kościele, to znowu jakby kapela jaka. A było krzyknąć, to wkoło na milę i więcej echo niosło i grało, jakby się setki ludzi naraz gdzieś w głębi odezwały. Nie takim ja te lasy w dziecięcych latach poznał—mówił dalej, wskazując wzrokiem na okolice, gdzie z pomiędzy leśnych osłonek wychylały się nagie, suchymi pniami usiane wzgórza, a dalej pola i piaski olkuskie.—Pamiętam ja tartak w dolinie, przy Prądniku, gdzie ścięte odwieczne drzewa zwożono i rznieto na bale, które aż hen, za pruską granicę, pono na

maszty do okrętów odstawiano. Co prawda, nie zniszczono tych lasów do szczytu, bo po dawnemu szumią sobie i szumią, ale dawniej większe były. Lubię ja—mówił dalej Grzegorz, widząc, że pan Kalasanty z uwagą i przyjemnością go słucha,—lubię, na przykład, słuchać organów, gdy na nich grają w kościele, słyszałem już niejedną kapelę, ale takiej muzyki, jaką człowiek słyszy, gdy wiatr powionie po borze, tom jeszcze nie słyszał. Pamiętam, bywało w dzieciństwie, idę w bór gęsty, wysoki, stoję, a tu wiatr wierzchołki drzew kołysze, po liściach przełata. Słucham, szumią nasze bory, huczą, jakby chłopskie basy; szumią jodły, gęste świerki i machają dużymi gałęziami, jak basista chłop rękawem zgrzebnej sukmanny. Przy nich, jakby skrzypki, wiatr w lipach gra, brzozy i topole brzęczą, jak dzwonki, gałązkami, a wtórują im buki, modrzewie, jawory. Po nad nimi zaś, jakby kapelmistrz, stanął pośrodku dęb szeroki i wyniosły taki, że kiedy z dołu nań spojrzysz, wierzchołka nie dojrzysz; on jak zaszumi, jak pieśń rozpocznie, a zawtórują mu inni grajkowie, to człowiek słuchał, słuchał i sam nie wiedział kiedy też sobie zanucił, i śpiewał razem z dębami, świerkami; a kiedy przestał, weselej mu było i przyszedł do domu zdrowszy, rzeźwiejszy, lepszy.

Z dobrotliwym uśmiechem na ustach słuchał pan Kalasanty gawędy poczciwego chłopka. Powietrze ranne, jasne słońce, błękit pogodnego nieba — najwidoczniej sprawiły, że zafasowany Grzegorz rozpogodził się i przez kwadrans czasu zapomniał o trosce, gryzącej mu serce. Szedł razem z panem Kalasantym, a przodem biegł wierny Kruczek, to ginąc w zaroślach, to niespodzianie ukazując się na ścieżce i jakby zachęcając postępujących za nim do przyspieszenia kroku.

— Pocziwe stworzenie, dobry piesek! — mrucał Grzegorz, przesuając się pierwszy między zaroślami, ażeby utorować przejście dla pana Kalasantego.

Las stawał się coraz gęstszy, coraz wspanialszy. Niekiedy zdawało się, że zielona ściana drzew młodych zupełnie przecina wąską ścieżynę, której zaledwie niewyraźne ślady zaznaczały się w oddali. Niespodziewany jednak zwrot w prawo lub w lewo odsłaniał znowu albo wygodne przejście, albo uroczą polankę, pełną leśnych gwoździaków, szumiących topól, brzoź białych i śpiewu ptactwa.

— Dziwi mnie—zaczął pan Kalasanty,—bo przecież tędy Grześ swego stadką na pastwisko nie pędził. Byłaby to zbyt niewygodna droga.

Grzegorz pomyślał chwilkę, a później rzekł:

— On pędził je drogą szeroką, tuż niedaleko stąd leżącą.

— A dlaczegoż Kruczek tędy nas prowadzi?

— Właśnie, że nie wiem. Zdaje się, że on na pole chce nas wyprowadzić i szuka jak najbliższej drogi.

— A czy znacie to pole?

— Znam dobrze. Tam właśnie wczoraj rano Grześ owce popędził.

— A więc to bardzo dobrze. Pies rzeczywiście prowadzi nas na ślad zaginionego.

Gawędząc w ten sposób, pan Kalasanty i Grzegorz znaleźli się wkrótce na brzegu lasu.

— Kruczek biegnie wprost ku skałom — rzekł wieśniak.

Pan Kalasanty spojrział przed siebie i ujrzał się na skraju wielkiego lasu, na wzgórzu dość wyniosłym, skąd wspaniały widok roztaczał się na okolicę.

Olkuskie piaski ciągnęły się białymi smugami, a między nimi zielone wzgórza, pola, różnobarwnem zbożem pokryte, wioski, z za zieleni drzew białymi ścianami i kominami świecące, a tu i owdzie kilka nagich skał, samotnie, groźnie sterczących—czyniły widok tak urozmaiconym, tak niezwykłym, że pan Kalasanty przez chwilę kilka stał i patrzył, chciał iść dalej, to znowu zatrzymywał się, jak gdyby nie mógł się dość nacieszyć tą czarodziejską panoramą.

Wkrótce ocknął się z podziwu i poszedł szybko za Grzegorzem, który wyprzedził go o kilkadziesiąt kroków.

— A poczekajcież na mnie!—zawołał z uśmiechem.

Ale wieśniak, zamiast odpowiedzi i zatrzymania się, przyśpieszył kroku, a wkrótce pędem pobiegł na przód.

— Co mu się stało? Czyżby już spostrzegł swego Grzesia?—pytał się w duchu pan Kalasanty.

Za pastwiskiem, które na skraju lasu szerokim ciągnęło się pasem, leżał głęboki jar, leszczyną, cierniami, krzakami jałowców i innych dzikich krzewów tak pokryty, że z razu dojrzeć go nie można było. Kilka samotnych głazów sterczało nad jego brzegiem, od strony słońca białych, a z przeciwnej pleśnią i mchami pokrytych. Wyglądały te głazy, jakby czyjąś nieudolną ręką rzeźbione posągi. Jeden zwłaszcza przypominał wielce kształtami swymi kłęzącego mnicha, któremu kaptur głęboko zsunął się na twarz, tak, że ją zakrył całą; drugi mógł być wzięty za niewyraźnie rzeźbioną postać jakiegoś olbrzymia, który leżał w tem ustroniu, ażeby zacząć wczasu.

Właśnie w stronę tego dzikiego jaru i tych głazów, dziwnie ręką natury na brzegu jego rzuconych, biegł zadyszany Grzegorz, a za nim pan Kalasanty.

Kruczek tam już był i, kręcąc się koło olbrzymich głazów, skomlał, szczekał, zdradzając wielkie zaniepokojenie.

— To tu coś niedobrego stać się musiało z tym chłopcem—zaczął frasobliwie Grzegorz, zwracając się ku panu Kalasantemu.

Ten otarł chustką pot z czoła i odrzekł:

— Jeśli tu, to bardzo dobrze, bo będziemy wiedzieli, jak i gdzie go szukać.

— Może on tam zabity leży?

— Nie zdaje mi się, bo w takim razie Kruczek już byłby przy nim.

Uwaga ta, bardzo słuszna, zaraz uspokoiła wieśniaka.

— No, Kruczuś, nie użalaj się, nie skomlij — zaczął pan Kalasanty, głaszcząc pocziwą psinę, — tylko prowadź nas, gdzie twój mały pan zginął.

Pies, jakby rozumiejąc, o co chodzi, zakreślił się i nagle począł schodzić w głąb jaru.

A tymczasem pocziwy wieśniak krzyczał, aż echo o wiorstę niosło:

— Grzesiu! Grześ! Ojciec cię szuka!

Po kilku minutach przestał, bo dokoła na skraju tego lasu pustka była i milczenie. Z boku tylko dwie czy trzy osiny listkami brzęczały, a nad niemi z cicha żaliła się wysmukła brzoza. Ptak też jakiś krótko lecz silnie raz po raz odzywał się z głębi jaru, ale i ten wnet ucichł, widocznie obecnością ludzi spłoszony.

Tak dla pana Kalasantego, jak i dla pocziwego Grzegorza, nie mogło być najmniejszej wątpliwości, że tu, w tym jarze, stało się coś niezwykłego z małym Grzesiem. Pocięzali się tylko tą myślą, że dno jaru nie leżało

zbyt głęboko, więc chłopiec, jeśliby był przez nieostrożność wpadł tam, oprócz potłuczenia na inny szwankby się nie naraził.

— Żadnego śladu! — rzekł pan Kalanty do Grzegorza, który chodził pośpiesznie dokoła olbrzymich kamieni, gdzie pies zajadle naszczekiwał.

— Kruczek tak szczeka na te kamienne bryły, jakby mu one zabrały małego pana — zauważył pan Kalasanty.

— To prawda — potwierdził wieśniak, zdziwiony zachowaniem się wiernego psa.

I szukali znowu oba na dnie ponurego jaru, porośłego gęstymi krzewy i usianego ostrymi odłamami skał.

Poszukiwania ich atoli żadnego nie przyniosły skutku. Jar był pusty, cichy, najmniejszego w nim śladu biednego chłopca dostrzedz nie można było.

— A jednak tu coś mojemu Grzesiowi przytrafić się musiało — mówił smutnie wieśniak.

— To zdaje się rzeczą pewną, bo dłaczegóżby pocziwy Kruczek tak zajadle szczekał na te dwa kamienne kołosa, z których jeden modlącego się mnicha, a drugi kształtami swymi spoczywającego olbrzyma przypomina?

I rzeczywiście zadziwiającem było to szczekanie spokojnego dotąd zwierzęcia, które z największą zajądłością rzucało się teraz na owe nieme, dziwacznych kształtów kamienie.

Co mogły mu te głązy, odwieczną pleśnią pokryte, zawinić? Co zaszło takiego u stóp ich, że pocziwe zwierzę jeżyło szersę na karku i, gniewnie błyskając ślepiami, chciało te kamienne bryły wystraszyć, precz z tych miejsc odpędzić? Alé one stały głuche, prawie nieme, jak owe sławne sfinksy egipskie wśród piasków pustyni.

Takie i tym podobne myśli krzyżowały się w głowie pana Kalasantego, gdy chodząc po jarze, prawie na każdy kamień, na każdy krzew pilną zwracał uwagę, nasłuchując, czy czasami nie zaszeleszczą gdzie wśród jaru gałązki leszczyny lub jałowcu, czy nie ukáže się wśród nich płowa główka zaginionego dziecka i nie spojryzań jasnymi, rozumnymi oczyma.

Jeśli dobry staruszek z taką troskliwością i ojcowskim uczuciem poszukiwał zaginionego, to poczciwy Grzegorz tem bardziej starał się odnaleźć chociażby cień jakiegós śladu, po którym mógłby może rozwiązać tajemnicę zniknięcia ukochanego dziecka.

Chodził więc, badał, zaglądał niemal pod najmniejszy krzew głogu lub polnej róży, nawoływał Kruczka, który wciąż szczekał i niepokoił się,—lecz wszystkie te wysiłki okazały się wkońcu bezowocnymi.

— Nigdzie nawet najmniejszego śladu!—mówił pan Kalasanty, gdy stroskany wieśniak po dziesiąty może już raz z rzędu zabierał się do swych poszukiwań na dnie jaru.

— A czy z Grzesiem nikt tu więcej nie pastowiec?—zapytał znowu.

— Bo ja wiem—odparł wieśniak.

— Trzebaby się zapytać.

— To prawda. Wątpię jednak, bo to pastwisko nie należy do gromady, tylko do nas.

— Więc to wasza ojcowizna?

— Tak, po stryju.

— To daleko od waszej gospodarki.

— A toć prawda, ale cóż robić, kiedy tak wypadło.

— To stryj wasz umarł?

— Juścić umarł... ale ja tam tego nie pamiętam, bo dawno już temu. Był to człowiek nieszczęśliwy, bo, jak mówią, brakowało mu rozumu.

— I cóż on takiego zrobił?

— A no, choćby i to pastwisko z jarem... kupić nie wiadomo po co. Przecież to żadnej korzyści nie daje.

Dalszą rozmowę przerwało takie zapalczywe szczekanie Kruczka, jakby go kto ukropem polał.

— Cicho, psina!—wołał pan Kalasanty.

— Nic, tylko on coś w tych skałach widzi—mówił wieśniak, frasobliwie wzruszając ramionami.

I znowu oba z panem Kalasantym obchodzili dookoła skały, jar i okoliczne krzewy. Ale jak poprzednio, tak i tym razem poszukiwania ich spełzły na niczem.

— Cóż tu stać będziemy? Wracajmy—rzekł smutnie wieśniak.—Może tam w domu dowiedzieli się czegoś więcej, niż my.

— Wracajmy więc!—powtórzył staruszek.

I odwrócili się, chcąc iść ku lasowi, lecz wnet zatrzymali się, bo Kruczek zabiegł im drogę i, skomlać, szczekając, do nóg się lasząc, wstrzymywał ich, na przód posunąć im się nie pozwalając.

— A to dziwna psina! — mruczał wieśniak, głaszcząc poczciwe zwierzę.

— Jaka szkoda, że mówić nie może!—dodał pan Kalasanty.

I znowu wrócili do jaru, znowu obchodzili go dookoła, lecz, tak jak i za pierwszym razem, bez skutku.

Już mieli stanowczo wracać do domu, gdy pod lasem ujrzeli jakiegós człowieka.

— Kto to?—zapytał pan Kalasanty.

— To jeden z tutejszych gospodarzy. Przyszedł oglądać zboże.

Rzeczywiście—ten, o którym mówili, skreślił wążką ściężyną w głąb lasu i szedł ku srebrzystemu łanowi żyta, ciągnącego się szerokim pasem po za jarem.

— Hej!—zawołał nań Grzegorz.—Hej, Janie!

Chłopiek obejrzał się leniwie, a później poznawszy, kto na niego woła, odrzekł głosem basowym:

— Czego to, sąsiedzie?

— A to chłopak mi gdzieś zaginął. Kłopot mam wielki. Czyście go tu wczoraj nie widzieli?

Zapytany zdjął kapelusz z głowy, potarł ręką czoło, odgarnął bujną czuprynę i odrzekł powoli:

— Wczoraj tu byłem nad wieczorem, ale chłopaka waszego nie widziałem.

— Ani owiec?

— I owiec nie widziałem.

— Przed burzą byliście?

— Tak, przed burzą. Ledwie do domu zdążył. Ale zato, Panie odpuść!...—zaczął chłopiek i urwał.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Chcieliście jeszcze coś powiedzieć—odezwał się Grzegorz, posuwając się ku sąsiadowi.

— E! o tem to tam i nie warto mówić.

I znowu oba milczeli.

— A toć mówcież!

— I cóż tam będę mówił! Ot, Rocha Ostatniego widziałem. Siedział nad jarem, tuż przy wielkich głazach. Jak mnie zobaczył, tak zaraz zniknął między leszczyną i po za głazami.

— I nie widzieliście go, jak wychodził z jaru?

— A koby go tam śledził! Niech go tam Pan Bóg ma w Swej świętej opiece. Jeno że zdaje mi się, iż on już duszę dyabłu zaprzedał.

Tu wieśniak machnął ręką niechętnie, a później pobożnie się przeżegnał, co widząc Grzegorz, również znak krzyża Pańskiego zrobił.

— Zdaje się, że pogoda teraz potrzyma długo. Niebo takie czyste—zaczął znowu sąsiad o basowym głosie, chwytając ręką kłosy dojrzewającego żyta i próbując, czy czas już na żniwo.

Ale Grzegorz nic mu nie odpowiedział, bo inne myśli zajmowały go teraz. Jego chłopski rozum nasuwał mu dwa wielce prawdopodobne przypuszczenia. Jedno, że z jego Grzesiem coś niezwykłego stać się musiało tu, nad jarem lub w jarze, bo Kruczek do tego miejsca ich przywiódł,—a drugie, że może chłopca uprowadził ów dziwny włóczęga, Roch Ostatni, kiedy go wczoraj nad wieczorem widziano w tych stronach. Tylko, co miałby ów Roch za interes w uprowadzeniu z sobą małego chłopca? Na to pytanie Grzegorz odpowiedzieć nie umiał.

Tymczasem panu Kalasantemu udało się odciągnąć wciąż skomlącego i niepokojącego się Kruczka. Pocziwa psina szła smutna, oglądając się co chwila po za siebie.

— Teraz sam nie wiem, co począć! — rzekł Grzegorz, łącząc się z panem Kalasantym.

— Pójdziemy do domu—odparł staruszek. — Może tam już wiedzą co o chłopcu. A jeśli nic nie wiedzą, to zawsze co kilka głów do rady, to nie jedna lub dwie.

— Prawda — potwierdził wieśniak, smutnie westchnąwszy.

Szli więc znowu przez bór wyniosły, lecz tym razem pełni niepokoju, pełni niemiłych przeczuć.

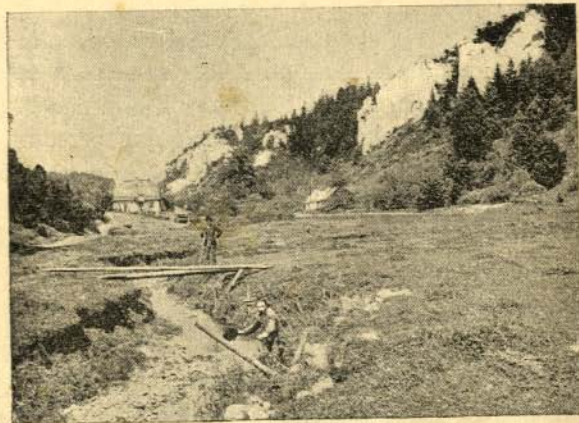
ROZDZIAŁ VIII.

Pan Bonifacy, od niedawna przyjaciel pana Kalasantego, należał do tej niewielkiej liczby uczonych, którzy naukę ukochali całą duszą i oddali jej się zupełnie, pracując dzień po dniu z niepojętą wytrwałością nad jej zagadnieniami, odejmując sobie nieraz wiele nie tylko przyjemności, ale i wygod, ażeby chociaż jedną małą cegiełkę dołożyć do wspaniałego gmachu wiedzy.

Weześnie owdowiawszy, mając tylko jedynego syna, o którego los nie potrzebował się już troszczyć, przyjaciel pana Kalasantego całe życie swoje oddał na usługi nauki.

Nauki przyrodnicze, a przede wszystkim zoologia, zawdzięczały mu już wiele. Uczony ten, chcąc schwycić nader rzadki okaz owadu, zwanego *skoczkiem uszłym*, przez cały tydzień nie sypiał w domu, lecz spędzał noce pod gołym niebem, skradając się, czolgając i czatując wśród krzewów, drzew i ziół, w nadziei, że na koniec wysledzi i zbada nie tylko kryjówkę, lecz i sposób życia nader rzadkiego owadu. To znowu, chcąc poznać pewien rodzaj nietoperzy jaskiniowych, zwiedził wszystkie grotty i pieczary, od Ojcowa aż do Złotego Potoka, co

trwało blisko dwa miesiące czasu i kosztowało sporo pieniędzy, a w rezultacie dało trzy małe i dwa wielkie nietoperze, na które patrząc, pan Bonifacy nie posiadał się z radości, tak, jakby to były skarby nieocenione. I rzeczywiście dla tych, którzy zajmowali się badaniami przyrodniczymi, były to okazy tak wielkiej wagi, że nazwisko pana Bonifacego rozslawili na wszystkie strony. Ale nie tu miejsce do wyliczania zasług, jakimi na polu nauki ozdobił swe czoło czcigodny mąż, gdyż są one zbyt liczne



Uczony ten, chcąc schwycić nader rzadki okaz owadu, skradając się, czolgał i czatował wśród krzewów.

i zbyt specjalne; tu tylko zaznaczyć wypada, że prócz niepospolitego umysłu i niezłomnej siły woli, miał serce szlachetne, miłości bliźniego pełne.

Umiał pan Bonifacy dostrzedz prawdziwie nieszczęśliwego i umiał mu niepostrzeżenie braterską ręką łązy obetrzeć. Tego poranku, po burzy, podczas którego pan

Kalasanty z Grzegorzem chodzili wraz z wiernym Kruczkiem szukać zaginionego chłopca, pan Bonifacy wstał bardzo wcześnie. Właśnie przed wieczorem wczoraj znalazł kilka okazów wielkich mrówek, które pragnął zbadać.

Zasiadł więc wśród swoich zbiorów, na znanej nam już werendzie, i przez czas pewien pilnie pracował, przyglądając się owadom przez drobnowidz i co chwila zapisując sobie uwagi o nich w grubym, o zielonych okładkach zeszyte.

Skończywszy badania nad mrówkami, nie zdjął swych wielkich okularów z nosa, lecz zabrał się do uporządkowania całej setki motyli, które zebrał nad Prądnikiem i które widać obecnie były ulubionym przedmiotem jego badań, gdyż z uśmiechem zadowolenia układał je na wielkich arkuszach białego papieru.

Zajęcie to trwało dosyć długo i byłoby zapewne przeciągnęło się jeszcze dłużej, gdyby nie nadspodziewane odwiedziny.

Oto około południa na wielkim dziedzińcu przed willą ukazał się pan Kalasanty, a za nim Paweł i Janek.

Ujrawszy ich, pan Bonifacy odłożył na bok wielkiego motyla, którego właśnie trzymał w ręku, zdjął okulary i uprzejmie pośpieszył na przywitanie miłych sobie gości.

— Anim się spodziewałem — zaczął, ściskając za ręce pana Kalasatego, — że mnie dziś tak miła niespodzianka spotka. Proszę, spocznicie — dodał, zwracając się do chłopców, którzy chustkami ocierali pot z czoła. Ale co się stało? — Jesteście czemś zaniepokojeni! — zawołał, wpatrując się w twarze przybyłych.

Pan Kalasanty uśmiechnął się, ale nie tak, jak zwykle, serdecznie, szczerze, wesoło.

— Istotnie — odrzekł, — nie jesteśmy pod wrażeniem przyjemnym, ani pokrzepiającem.

— Cóż takiego? Ginę w domysłach.

Pan Kalasanty usiadł na krześle naprzeciw pana Bonifacego i głosem dźwięcznym zaczął mu opowiadać o dziwnych przygodach wczorajszej nocy i dzisiejszego poranku.

Uczony słuchał uważnie, co chwila wypytując o nowe szczegóły, lub prosząc o powtórzenie sobie dawnych.

Gdy starszek skończył, zaczął Paweł, przedewszystkiem zwracając uwagę na niezwykle zjawienie się Rocha Ostatniego wraz z parą kóz białych podczas burzliwej nocy.

Uczony przeciągnął kilka razy wychudłą ręką po czole, co zwykle czynił, gdy nad czemś głębiej potrzebował się zastanowić, i wkońcu rzekł:

— Tak, wszystko to godne zbadania, lecz przedewszystkiem trzeba się zająć odnalezieniem zaginionego chłopca.

Okoliczność, że Kruczek ciągle był niespokojny, że się nieustannie gdzieś wyrывał, a nad jarem tak gwałtownie szczekał i skomlał, wydała się panu Bonifacemu niezmiernie ważną.

— Wierzcie mi — mówił, — z instynktu tego zwierzęcia skorzystać trzeba umiejętnie. Bez wątpienia ma to zwierzę ważne powody, że ciągnie was nad ów jar, o którym mi wspominaliście.

— Jar przeszukaliśmy — zauważył pan Kalasanty — i na ślad zaginionego nie trafiliśmy.

— To rzecz naturalna—odparł uczony; — lecz również będzie rzeczą naturalną, jeśli mnie powiecie się lepiej.

— Więc my z Grzegorzem nie umieliśmy szukać?

— Być może. Najpierw z tego powodu, że było to po burzy, więc trawy i zioła, po których stąpał pastuszek, odżyły na nowo, powstały i wszelki ślad stóp jego zniszczyły; powtóre i z tego względu, żeście nie spojrzeli dokoła jaru okiem przyrodnika, który umie czytać tajemnicze zgłoski natury, dla którego nie ma ona tylu tajemnic, jak dla tych, co nie poświęcają życia swego w celu jej poznania; po trzecie, ja prędzej zrozumieć, czego chce wierny Kruczek od owych głazów, nad jarem samotnie sterczących.

Pan Kalasanty był wielce uradowany temi słowy pana Bonifacego, znaczyły one bowiem, że uczony wziął całą sprawę do serca i będzie się starał należycie ją wyświecić.

Paweł i Janek stali na uboczu, oglądając wielki zbiór koników polnych i przysłuchując się rozmowie starszych. Gdy ta się przerwała, Paweł rzekł:

— Prócz sprawy zniknięcia chłopca, mamy jeszcze i inną do wyświecenia. Jest nią tajemnicza postać owego starca-włóczęgi.

— Zwanego Rochem Ostatnim — dokończył pan Kalasanty.

— A czyż to ma jaki związek z nagłym zniknięciem chłopca?—rzekł pan Bonifajacy, pytające spojrzenie rzucając na mówiącego.

Pan Kalasanty zamyślił się, a Paweł zaczął szybko:

— Według mego mniemania, bezwarunkowo istnieje coś nader tajemniczego i niezwykle dziwnego

między rodziną Wawrzyńca Kosa i owym fantastycznym włóczęgą.

— Jesteś tego pewnym? I z czego o tem wnioskujeś?—zapytał żywo pan Kalasanty.

— Chociażby z tego — odparł Paweł, — że kiedy podczas owej burzliwej nocy stary Wawrzyniec ujrzał Rocha, tak się przeraził, jakby mu kto duszę chciał wydrzeć z piersi.

— Nic dziwnego—odezwał się pan Bonifacy: — lud nasz jest jeszcze bardzo zabobonny. Zjawienie się tego włóczęgi, bądź -co -bądź niezwykle, mogło przerazić nawet mniej zabobonnego człowieka, niż stary Wawrzyniec.

— Na razie, zapewne, że tak! — odparł żywo młodzieniec—lecz on jeszcze po powrocie do domu nie mógł przez kilka godzin przyjść do siebie.

— Jakże to?

— Oslabł, położył się na łóżku, ręką za głowę się chwytał, jakby się bał, aby mu z wielkiego bólu nie pękła, i co chwila zrywał się niespokojnie, oczy sobie zasłaniając.

— Tak, to daje do myślenia — zauważył pan Bonifacy.—Ale jakże się zachowywał syn jego?

— Zupełnie naturalnie. Z początku przestraszył się, pobiegł za uciekającym ojcem, lecz potem ochłonął z pierwszego wrażenia i nic niezwykłego w postępowaniu jego nie można było zauważyć.

— A cóż obecnie stary Wawrzyniec robi?

— Jeszcze się nie uspokoił. Powiada, że przestraszył się bardzo. Na dnie wszystkiego tego spoczywa jakaś tajemnica, której wątki trudno dojść na razie. Nagle zaś ukazywanie się i znikanie starca-włóczęgi,

jego zachowanie się wobec tych, których na drodze swej spotyka, jest po prostu zdumiewajacem.

— Tak, to dziwna postać, jakby z jakiejś fantastycznej powieści zapożyczona. Ale co najdziwniejsza, moi panowie, to, że ja nigdy nic o niej nie słyszałem, ani jej też nigdy wśród gór tutejszych nie spotkałem, a przecież po całych dniach błąkałem się i błąkam wśród wzgórz, pól, lasów i łąk tutejszych, szukając moich ulubionych ziół, owadów i tym podobnych okazów niezmiernie bogatej flory i fauny tego czarodziejskiego zakątka.

Na uwagę tę uśmiechnął się Paweł, bo znał pana Bonifacego dobrze i wiedział, że gdy jest zajęty szukaniem jakiego świerszcza lub muchy, to mogłaby mu sześciokonna karetka przejechać po nad głową, a on niczy o tem nie wiedział.

— Tak, tak—ciągnął dalej pan Bonifacy,—musimy się zająć przedewszystkiem losem nieszczęśliwego chłopczyzny, który zapewne wpadł gdzieś do jakiejś nory i wydobyć się stamtąd nie może.

Znanym bywa dobrze osobom, które czemś się bardzo niepokoiły, ten objaw duchowy, że chwytają się myśli doradczej czyjśkolwiek, ażeby tylko własną niepewność zagłuszyć, a chwyciwszy myśl ową, idą ślepo za jej wskazówkami, w nadziei pomyślnego skutku jej pośrednictwa.

Coś podobnego działo się z słuchaczami pana Bonifacego. Rzuconą przez niego myśl, że mały Grześ wpadł do jakiejś jaskini lub nory, przyjęli za coś wielce prawdopodobnego.

Pan Kalasanty gotów był zaraz wyruszyć do owej nory, gotów był wejść do niej, chociażby nawet taka wycieczka nie należała do bezpiecznych.

Mały Grześ podobał się starszuskowi; żał mu go było niezmiernie, pragnął gorąco, ażeby chłopczyzna jak najmniej ucierpiał w całej tej przygodzie.

— Przedewszystkiem poszukiwania prowadzić będziemy w owym jarze, o którym mi wspominaliście — mówił pan Bonifacy, zabierając się do opuszczenia swoich ulubionych zbiorów.

— Ale czy to szanownemu panu nie przeszkadza w jego naukowych pracach?—zapytał Paweł.

— Mój kochany Pawełku — odrzekł z uśmiechem pan Bonifacy,—trzeba i dla serca coś zrobić. Widzisz, ja już mam takie serce, że nie mogę słuchać o czyjejś niedoli, o czyjemś nieszczęściu. Kto wie, czy nie przyjdę z pomocą pocziwym ludziom, czy owego zaginionego, a tyle miłego, jak z opowiadań waszych słyszę, chłopczyzny, owego Grzesia pastuszka, nie odnajdę? Wszystko jest możliwe dla tych, co z czystym sercem dobra bliźniego pragną.

Mówiąc to, pośpiesznie zasuwał oszklone boki wendy i następnie, znalazłszy się ze swymi gośćmi na dziedzińcu, drzwi od niej zamknął, głośno wołając:

— Marsz! marsz w góry!

— A może wstąpimy do chaty starego Wawrzyńca i zabierzemy go z sobą?

— Wątpię, czy ten stary mógłby dziś wstać z łóżka. On rzeczywiście ma gorączkę—odrzekł Paweł.

— Wreszcie towarzystwo jego jest nam zbyt cenne. Ja sam pragnę zwiedzić owo miejsce, gdzie mały Grześ pasł wczoraj owce. Mam ja własną metodę badania skał i nie lubię, aby mi wówczas przeszkadzano. Ten chłopiek będzie wzdychał, ukradkiem obcierał oczy, a, jak wiecie, mnie to będzie ogromną przeszkodą w poszuki-

waniach, bo serce mam jak wosk miękkie, no, i z tym, kto płacze, i ja zaraz płacę, a z tym, co się śmieje, śmieję się.

Mały Janek podniósł na pana Bonifacego swe jasne oczy, jakby mu się chciał lepiej przypatrzeć. Wido-
cznie staruszek spodobał mu się, bo po pewnym czasie zbliżył się do niego i rzekł:

— Ja pana kocham!

To naiwne lecz szczere zarazem wyznanie tak ucieszyło zacnego staruszka, że zatrzymał się, chwycił Janka w pól, podniósł do góry i serdecznie ucałował.

— Kochasz mnie, mój chłopcze? Zgoda, ale co pan Kalasanty na to powie?

— Ja i pana Kalasantego bardzo kocham.

— Bardzo—powtórzył uczony, z miłym uśmiechem wpatrując się w rozjaśnioną twarz chłopczyny.—A mnie to jeszcze nie bardzo, tylko tak sobie, zwyczajnie?

Janek chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili dość liczne grono letników mijało ich właśnie, gwarną prowadząc rozmowę.

Przodem biegły trzy dziewczynki, śmiejąc się i skacząc wesoło; za nimi szło kilka pań, panów i paniczów, którzy z uszanowaniem kłaniali się panu Bonifacemu. Ten szedł wciąż szybko, z prawej strony mając pana Kalasantego, a z lewej zamysłonego Pawła.

— O czym tak myślisz, Pawle?—zapytał młodzieńca pan Kalasanty.

— Bo wszystko, doprawdy, wydaje mi się snem jakimś, marzeniem.

— Jakto?.. snem ci się wydaje, że idziesz ze mną, z panem Bonifacem i z Jankiem?

— Nie, nie to snem mi się wydaje, lecz wczorajsze spotkanie z tym starcem-włóczęgą w górach podczas burzy.

— Ależ nie myśl o tem! Jeszcze niejednego podobnego włóczęgę spotkasz w swem życiu. Mój kochany, przedewszystkiem pamiętaj, że nic tu niema nadzwyczajnego!

— A jednak...

— A jednak nic. Pokazał ci się, widziałeś go, a więc jest takim człowiekiem, jak i ty. Chwycił cię za ramiona i uniósł w górę, jak piórko, to tylko dowód, że silnym jest, a przedewszystkiem silniejszym od ciebie. Zniknął ci niespodzianie z oczu, a więc zna lepiej kryjówki w tych skałach, niż ty. Ci, którzy znają daną miejscowość, wobec tych, którzy jej nie znają, takie rzeczy robią z łatwością. Tak, tak, mój chłopcze, nie masz nad czem głowy sobie łamać. Nadnaturalnego, cudownego nic tu niema. Ot, lepiej patrz, co za wspaniała dolina odsłania się przed nami.

Istotnie takich dolin, polanek, ocienionych brzoziakami, jakie nad Prądnikiem, niby miękkie, szmaragdowe dywany, ręka natury rozesała, gdzieindziej nikt nie ujrzy, chociażby podróżował setki mil wszcz i wzdłuż kraju.

Idąc brzegiem takiej doliny, niekiedy zdaje się, że prostopadłe, poczerniałe skały, jakoby mur nieprzebyty, zagradzają przejście, że trzeba będzie zawrócić, bo niepodobna, aby tu było wyjście jakie. Aliści naraz przed zdziwionem okiem roztacza się nowa dolina, otoczona nowemi wzgórzami, nową ścianą przedpotopowych opok, a pośrodku niej szumi kapryśny Prądnik.

— Prześliczne dolinki! — wołał Janek, skacząc wesoło po miękkiej trawie.

— Niezaprzeczenie piękne—rzekł pan Bonifacy,— a jest ich nad Prądnikiem sporo. Do najpiękniejszych zaś należy Ojcowska, Bentkowska i Jęrzmanowska.

— A ta, nad której brzegiem idziemy, jak się nazywa?—zapytał Janek.



Pieskowa-Skała.

— Ojcowska, ale zaraz się skończy. Wdzięczne te okolice Ojcowa, Grodziska i Pieskowej-Skały są tak pociągające, tak miłe, że, choćby tysiąc razy widziane, nie tracą ani odrobiny swego uroku i za każdym razem nowy wdzięk, nowe cuda piękności odkryć w nich można.

Inne są góry, doliny i lasy Ojcowa w południe, inne rano, a inne przed i po zachodzie słońca. Tu niemal każda godzina nowe piękności odsłania, nowy urok rzuca na to skamieniałe miasto przedpotopowe, na te odwieczne drzewa, na rozkoszną zielenią pokryte łąk kobierce i srebrzyste wody wartkiego Prądnika. Znałem sławnego malarza, który zwierzał mi się, że nie mógł ani jednego z tutejszych krajobrazów odtworzyć należyście, w całej jego pierwotnej, nieujętej piękności. A przytem nie zapominał, że ta czarodziejska miejscowość jest zarazem najcenniejszą perłą dla przyrodnika. Ja przez kilka lat badałem tutejsze groty. O, bo nie myślcie, ażeby ten gród przedpotopowy, przystrojony w najpiękniejsze laury dębowe i bluszcze skalne, opasany, jak srebrnym pasem, kapryśnym Prądnikiem, nie miał i niezbadanych podziemnych kurytarzy, kryjówek, sali piwnic, które wieczna ciemność zalega. O, nie! Jak owe prastare grody władców wschodnich, jak średniowieczne zamczyska, tak i to, ręką natury stworzone miasto ma mroczne podziemia, których dotychczas stopa żadnego śmiałka nie dotknęła. Znane są wprawdzie niektóre z grót tutejszych, ale nie w całej rozciągłości swojej, bo któżby odważył się wchodzić tam, gdzie jeszcze, jak świat światem, noga ludzka nie powstała? Trzebaby na to śmiałka, któryby musiał wiele zwyciężyć, nimby mu te nieme głązy pozwoliły zajrzeć do swych tajemniczych podziemnych pałaców.

Nie wiadomo, czy pan Bonifacy zwykle mówił z takim ożywieniem, czy też umyślnie teraz opowiadanie swe zabarwiał fantastycznością, ażeby zainteresować dwóch młodych swych słuchaczy, przyznać tylko trzeba, że wymowa jego podziałała zbawiennie na Pawła. Mło-

dzieniec ten, doznawszy tylu niezwykłych wrażeń od czasu przybycia do uroczej doliny Ojcowa, czuł się nieusposobionym, do pewnego stopnia przygnębionym. Szedł więc z początku chmurny, milczący—i dopiero pełne zapamiętanie opowiadanie zbudziło go, orzeźwiło i myślom, zbyt w jednym kierunku zwróconym, nowy zwrot nadało.

— Więc tu tak wiele grót się znajduje? — zapytał pana Bonifacego, który poprawiał sobie swe wielkie okulary i z uśmiechem zadowolenia spoglądał na pana Kalasatego.

— A tak, tak, bardzo wiele, mój Pawle! A z pomiędzy nich zapamiętaj sobie: Ojcowską albo Ciemną, po lewej stronie Prądnika leżącą; Czajowską, znajdującą się pod górą Chelmową; Zbójcecką, pełną ludzkich kości, pod tą samą górą; Wierzchowską, a dalej Jerzmanowską albo Nietoperzową.

— A więc ich tak wiele! — zawołał z podziwem mały Janek.

— A tak, mój chłopcze, nie licząc mnóstwa ukrytych bądź w gąszczach leśnych, bądź w szczerem polu u stóp skał samotnych, albo też tuż przy Prądniku, w zieleń, bluszcz dziki i kwiatki oplecionem wzgórzu. Ale dokądże to idziemy?—zapytał nagle, zwracając się do pana Kalasatego.

Ten w milczeniu wskazał mu wzrokiem wschodnią stronę góry Chelmowej.

— A więc na dolinę Bentkowską. To bardzo dobrze, bo piękniejszej doliny, jak ta, nie widzieliście i nie zobaczycie, choćbyście całą Szwajcaryę i Włochy zwiedzili. Gdyby w Piśmie Świętem nie było wyraźnie powiedziane, że ów sławny ogród, w którym pierwsi nasi rodzice mieszkali, znajdował się w Azji, to ja go-

tówbym był szyję oddać, że to właśnie w dolinie Bentkowskiej, jako najpiękniejszej pod słońcem, Bóg najpowabniejsze rośliny, zioła, trawy i strumienie stworzył, i że to tu właśnie był ów raj ziemski, sławny w historii świata.

Młodzi, zasluchani, ani nie zauważyli, że ścieżka, po której szli, nagle skrzyła w lewo i zagłębiła się w ciemnym borze.

Był to ten sam bór, przez który rano szedł z Grzegorzem pan Kalasanty.

— A więc dolinę Bentkowską zostawiamy na boku? — zapytał pan Bonifacy, przystając na chwilę i rozglądając się po okolicy.

— Ja nie pamiętam już tych miejscowości, bo dawno to już temu, gdy je w młodości swej zwiedzałem — odparł pan Kalasanty.—Pamiętam tylko, że dziś rano szliśmy tędy z Grzegorzem, przez ten bór, ciągnący się na wschodniej połowie góry Chelmowej. Mineliśmy właśnie młyn i teraz pójdziemy przez las, aż na niewielką polankę, na skraju jego leżącą, gdzie znajduje się ów jar, o który nam chodzi.

— Nie mogę sobie zdać sprawy, gdzie to być może? — pytał sam siebie pan Bonifacy, nie ruszając się z miejsca i poprawiając co chwila swe ogromne okulary.

— Aha! wiem, wiem już, gdzie ten jar leży.

— Dostyc stąd daleko —zauważył pan Kalasanty.

— A tak, będzie z godzina drogi, wybierając najprościej doń wiodące ścieżyny. Będzie to na polach, do wsi Czajowic należących, tuż za borem, albo też może na polach Jerzmanowskich, to jest do wsi Jerzmanowice należących. Tak mi się zdaje.

— Ja dokładnie nie wiem, jak się tu sąsiednie wioski i doliny nazywają — mówił pan Kalasanty, — bo tak byłem zajęty tą całą sprawą odnalezienia nieszczęśliwego chłopca, że o nic nie pytałem, idąc szybko za prowadzącym mnie Grzegorzem Kosem.

— Przekonamy się wkrótce, gdzie to być może — rzekł znowu pan Bonifacy, postępując rażno obok swych towarzyszy.



Droga, urozmaicona coraz to nowymi widokami, zachwycała nie tylko małego Janka, czulego na piękno pierwszy raz widzianych, nieznanych sobie przedtem okolic, lecz i starszych jego towarzyszy; co chwila fantastycznie z za drzew wychylająca się skała lub śmiały zakręt wartkiego Prądnika i pochylone nad nim wierzbę budziły z zamyślenia pozostającego nieco w tyle Pawła, a w Janku szczerą wykrzyknik radości.

— O! o! teraz te skały wyglądają jakby zwaliska zamków średniowiecznych, a te dwa olbrzymie głazy, mchami porośłe, tworzą niby bramę tryumfalną, w laury przybraną.

Takie Janek robił spostrzeżenia, a starsi z przyjemnością go słuchali, bo na trafności bynajmniej im nie zbywało.

Raz mijali skałę zupełnie stromą z jednej strony, a z drugiej z lekka pochyloną, ziemią użyźnioną i bujną trawą od stóp do szczytu porośłą. Kilka kóz śmiało uwiijało się po niej, wyjadając co smaczniejszą trawę i bynajmniej się nie krępując obecnością mijających je obcych osób. Na samym szczycie tej wyniosłej skały siedziała para pastuszków w słomianych kapeluszach, jaśniejących w promieniach słońca na płowych główkach dzieci. Para ta nuciła sobie piosenkę, której słowa wraz z powiewem lekkiego wiatru płynęły po nad doliną:

„Oj, da-na moja, da-na,
Matulu kochana!
Weszło słońce, pije rosę,
Matulu kochana!

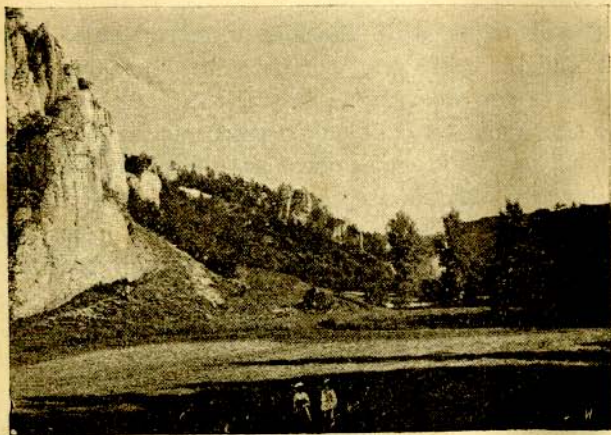
Weszło słońce, pije rosę,
Oj, da-da-na, da-na!
Daj nam sierpy, daj nam kosę,
Matulu kochana!

Daj nam sierpy, daj nam kosę,
Pójdziemy na pole!
Oj, da-da-na, daj nam kosę:
Będzie plon w stodole.*

Piosenka dźwięczała i, jak śpiew skowronka, spała na dolinę, ciesząc tych, którzy jej słuchali.

— I pomyśleć, że to właśnie podobne chłopiętko do tych, które tam oto siedzą i nuczają, zginęło bez wieści, że

gdzieś nadaremnie wzywa pomocy. Nie, na to serce się wzdryga! — mówił pan Bonifacy, przypatrując się parze pastuszków i ich stadku, które, widocznie nasyciwszy się, swawoliło na zielonych stokach gór.



Gdzieś wśród lasu, na wązkich ścieżynach, widać było grona letników, używających orzeźwiającej przechadzki i cieszących się blaskami słońca, zielenią drzew, śpiewem ptaków i gwarą rozmową pastuszków, a wreszcie całem otoczeniem, tak nieskończenie różnem od wielkomijskiego.

Atoli wszystkie te mile widoki wkrótce znikły z przed oczu idących, gdy weszli w bór ciemny, rozłożysty, przez którego zielone konary zaledwie słońce tu i owdzie się przedzierało. Powaga jakąś otoczył ich ten bór.

— O, jaki chłód miły! — odezwał się Janek.

— I orzeźwiający — dodał pan Kalasanty.

— Bo też upał dziś wielki — rzekł Paweł. — Jak po burzy, to nawet nadspodziewany.

Pomiędzy sosnami i świerkami rosty białe brzozy, wychylając się po nad ścieżynę, po której szli nasi znajomi.

Pan Bonifacy chwycił za miękkie gałązki tych drzew pełnych wdzięku i mówił pieszczotliwie:

— *Betula oycoviensis*, oddzielny gatunek, nader miły, tylko tu, wśród tej uroczej miejscowości rosnący. Patrzcie, co to za piękne drzewa! Takich brzoź niema w Europie.

Młodzi spoglądali na białe brzozy zupełnie inaczej niż przedtem.

— Sławne brzozy, jakich niema w Europie całej? — powtarzał zdziwiony Janek. — No... no... a ja nic o tem nie wiedziałem.

— Tak, moi chłopcy, są to brzozy Ojcowskie, od czasów uczonego Bessera za gatunek oddzielny uznane. Pamiętajcie przecież, nie potrzebuję wam przypominać, że dolina Ojcowa jest perłą rzadkiej wartości pod względem botanicznym.

Uczony chciał dalej wychwalać niezmierne bogactwo przyrody uroczej miejscowości, gdy naraz dało się słyszeć szczekanie psa.

— To Kruczek szczeka! — zauważył Janek.

— Czy jesteś tego pewnym? — pytał Paweł.

— Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Ale skądżeby on się tu wziął?

— Może wieśniacy znowu przyszli szukać Grzesia.

— A czy do jaru daleko jeszcze?

— Zdaje mi się, że już blisko — odparł pan Kalasanty. — Leży właśnie na skraju tego lasu.

— A więc niedługo wyjdziemy na pole?

— Zapewne, że tak — odrzekł pan Kalasanty. — Jestem w tem miejscu dopiero po raz wtóry, więc nie mogę się łatwo oryentować.

— Ależ tak, tak! — wołał Janek. — Jesteśmy na skraju lasu. O, widać już polankę.

Chłopczyk biegł przodem, machając w górze rękami.

Tymczasem szczekanie psa znowu słyszeć się dało.

— Nie ulega wątpliwości, że to głos poczciwego Kruczka — rzekł Paweł, szybko postępując na skraj lasu.

— Widać Grzegorz Kos, a może i jego żona przy szli w dalszym ciągu szukać zaginionego dziecka — mówił pan Kalasanty.

— I nic dziwnego — dodał pan Bonifacy, bo którzyż rodzice pozostawaliby spokojnie w domu wśród strasznej niepewności o los ukochanego dziecka?

— Czy tylko to są oni? — rzucił pytanie mały Janek.

— Jestem pewny, że oni — odrzekł Paweł, który już stał na brzegu lasu.

Istotnie, gdy za chwilę pan Kalasanty i jego towarzysze wyszli z boru, ujrzeni nad jarem wśród krzewów obu wieśniaków, ojca i syna, pochylonych i pilnie się czemuś przypatrujących. Kruczek biegał koło nich i szczekał zawzięcie.

— Co oni tam robią? — szepnął Janek.

— Najoczywiściej czegoś szukają w piasku, czy też w trawie.

— Zbliźmy się do nich. To ciekawe.

Obaj wieśniacy tak byli zajęci swemi poszukiwaniami, że nawet nie spostrzegli, gdy pan Kalasanty stanął za nimi i zapytał głosem przyjaznym:

— A co to tam Bóg dał?

Wieśniacy podnieśli głowy i po chwili wyprostowali się, widocznie ucieszeni zjawieniem się pana Kalasantego i jego przyjaciół.

— Wielmożny panie — odrzekł Grzegorz, — a to na ślad natrafiliśmy.

— Na ślad? — zawołał Paweł z przejęciem i radością. — Jakże się cieszę! I gdzież to, jaki?.. proszę, pokażcie!

— A prosimy tu do nas — mówił dalej Grzegorz, zdejmując z głowy kapelusz, co zwykle czynił, gdy z panem Kalasantym rozmawiał.

— Ale ostrożnie! — mruknął stary Wawrzyniec, podpierając się na kij, który trzymał w ręku. — Ślady te są bardzo niewyraźne, chociaż nie ulega wątpliwości, że pochodzą od stóp małego Grzesia.

— Dopiero teraz natrafiliśmy na nie — mówił dalej Grzegorz.

Paweł, pan Bonifacy i pan Kalasanty zaraz skwapliwie nachylili się nad miejscem, które wskazali im wieśniacy — i rzeczywiście pod gęsto zwieszonymi gałązkami jałowcu spostrzegli na białym piasku, ciągnącym się wązkim pasmem nad jarem, ślad niewielkiej stopy, bardzo wyraźnie odbitej; przy nim zaraz drugi, mniej już wyraźny, gdyż gałązki jałowcu nie zasłoniły go od deszczu tak całkowicie, jak pierwszy.

— To ślad nogi Grzesia, poznaję go dobrze — mówił Grzegorz.

Paweł począł ostrożnie odgarniać dalsze gałęzie krzewów, po nad piaszczystym pasem zwieszone, i ze zdumieniem spostrzegł jeszcze jedno odbicie stopy Grzesia, a przy niem najwyraźniej dwóch łap pocziwego Kruczka.

Aż krzyknął ucieszony.

— Co to takiego?—zapytał pan Bonifacy.

— A oto najwyraźniejsze ślady, że mały Grzesz schronił się przed burzą do jaru.

— Do jaru? — mruknął, groźnie brwi marszcząc, stary Wawrzyniec.

— To oczywiste. Najwyraźniej widać w tym kierunku ślady stóp jego i Kruczka.

I młodzieniec szedł z wolna dalej, zlekka podnosząc gałęzie bujnych krzewów.

Naraz zatrzymał się, pochylił, przez długą chwilę wzrok w ziemi utkwiony trzymał, aż wreszcie zawołał głosem stłumionym:

— Grzesz nie sam schronił się przed burzą do jaru!

Na to niespodziewane oświadczenie zgromadzili się zaraz wszyscy wkoło młodzieńca i pytające spojrzenia na niego zwrócili.

— Patrzcie!.. o... proszę tylko. Grzesia ktoś wprowadził do tego jaru... albo też sam dobrowolnie udał się tam za kimś.

— Ale za kim? — mruknął znowu stary Wawrzyniec, który naraz pobladł i silnie na kiju się podparł, jakby go myśl jakaś niezwykła z nóg strącić chciała.

— Tego nie wiem, za kim—odparł Paweł,—to tylko rzecz pewna, że obok śladu stóp chłopca odnalazłem również ślad stóp czyichś, zadziwiająco długich i szerokich. To, zdaje się, dostateczny dowód, ażeby mniemać, iż Grzesz przed burzą nie był sam w tych miejscach.

— Tak, to prawda—potwierdził zamyślony i blade Wawrzyniec.

— A może to nie są ślady stóp Grzesia? — powątpiewał mały Janek.

— Ej, paniczu, to rzecz pewna, że jego. Przed burzą nikt tu nie pasł owiec, tylko on.

— A może właśnie wyjątkowo ktoś obcy przypędził tu swoje stado.

— To być nie mogło.

— A dlaczego?

— Dlatego, że ta polanka do nas należy.

— I tak zdala od głównej posiadłości nabyliście ten grunt... I jakimże to sposobem się stało?—zapytał, wtracając się do rozmowy, pan Bonifacy.

Pytanie to, na pozór nic w sobie szczególnego nie zawierające, nadspodziewanie silne wrażenie wywarło na starym Wawrzyńcu.

Wieśniak zmarszczył się, ręką po nachmurzonym czole przesunął i niechętnie odrzekł:

— Ano, wypadło tak, panoczku, i człek musiał ten grunt nabyć. Wreszcie... płacić za niego, nie płaciliśmy, bo to po bracie odziedziczyłem.

— Odziedziczyliście. A więc ten brat wasz umarł?

Stary Wawrzyniec nic nie odrzekł, tylko ręką za głowę się chytał, jakby go nagle bardzo rozboleła, a przy tem oczy sobie starannie przysłaniał.

— T...a...k...—mruczał—on umarł... nie żyje...

— Więc tu brat wasz miał swoją posiadłość?—pytał dalej pan Bonifacy, widząc zakłopotanie i zmieszanie się starego Wawrzyńca.

— Tak... niby tu... tam... zdala... za jarem... miał chatynkę... spaliła się do szczytu... i śladu nie zostało...

— Czy on był rolnikiem?

Wawrzyniec nic nie odrzekł, tylko ręką machnął, odwrócił się i milczał, z trudem oddychając.

Widząc to, pan Bonifacy zaprzestał zadawania mu pytań i obejrzał się za swymi towarzyszami.

Tamci wciąż posuwali się nad jarem, między gęstymi krzewami, i wciąż pochyleni, z cierpliwością godną uznania oglądali nieomal każdy listek, w nadziei, czy na nim nie znajdą pewniejszego jakiegoś śladu zaginionego.

Paweł, który z wielkim przejęciem się oglądał i badał ziemię, trawy, drzewa i powierzchnię głazów, ku którym ślady prowadziły, znowu coś ciekawego i zarazem zadziwiającego spostrzegł, bo przystanął i począł gwałtownie wołać:

— Panie Kalasanty! najdroższy panie! proszę do mnie!

— Znowu znalazłeś coś takiego? — pytał staruszek, przedzierając się do wyczekującego nań młodzieńca.

— Tak, ale tym razem istotnie wiele dającego do myślenia. Niech pan zwróci uwagę na te krzewy i na ziemię pod nimi.

Bez wątpienia, to, co wskazywał Paweł, należało do rzeczy niezwykłych.

Oto na krzaku tarek, pokrytych splotami jeżyn i polnego powoju, widać było ślady jakiejś niedawnej walki. Najbliższe gałęzie krzewu były pomięte i połamane, na kolcach tarek wisiało kilka nitok lnianych, a co najdziwniejsza — pośrodku gęstych ziół i traw, które w tem miejscu osłaniały skalisty bok jaru, leżał zwyczajny kapelus z słomiany. Nieco dalej widać było głęboką szcze-

linę, a nad nią zwieszono gęste, jak słomiana strzecha, gałązki dzikich bluszczów, powoi i jeżyn. W tem ustroju tylko bystre oko Pawła mogło dostrzedz te ślady niezwykle

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał stary Wawrzyniec, zbliżając się do Pawła i pana Kalasantego, stojących w niemem zdumieniu wobec tego niespodziewanego odkrycia.

— Dziwne rzeczy! — szeptał Paweł.

— To kapelusz mojego chłopca! Panie wszechmocny, wspomagajże mnie! — zawołał Grzegorz, wysuwając się na przód.

Ale powstrzymał go pan Bonifacy.

— Jesteście boso, tarki poranią wam nogi. Zatrzymajcie się, dobry człowieku!

— O, mój Boże! pewnie mi dziecko Cyganie ukradli.

— Uspokóście się, nikt nic na pewno nie wie.

— Ja wiem... bo dla czegożby się tak biedaczek broił, aż oto gałęzie połamane i strzępki odzienia na nich widać.

Pomimo perswadowania i uspokajania, poczciwy wieśniak zaczął rozwodzić żale, wyrzekać i pomocy Bożej wzywać.

Wtem Kruczek, którego pieścił mały Janek, tak gwałtownie szczekać zaczął i wyrwać się w stronę, gdzie leżał kapelusz, że chłopczyk, nie mogąc go uspokoić, puścił go i sam za nim szybko posunął się na przód.

Pies i chłopczyk podążyli nad stromym brzegiem jaru między ostre chwasty i zielska, gdzie leżał ów mały kapelusz nieszczęśliwego pastuszka.

— A przynieś-no nam, Janku, ten kapelusz! — zawołał Paweł. — Przekonamy się, czy rzeczywiście należał do Grzesia.

— Juścić do niego—mówił stary Wawrzyniec.— Tą płową wstążką matka mu go niedawno opasała.

Nastąpiła chwila milczenia. Wszyscy patrzyli, jak mały Janek i Kruczek przedzierali się pod stopami olbrzymich kamieni, tych właśnie, z których jeden do klęczącego mnicha, drugi do spoczywającego olbrzyma był podobny. Pies szczekał wciąż uparcie i zawzięcie, a chłopczyk go uspokajał.

— Cicho, cicho, piesku!—mówił.

Wtem stało się coś dziwnego.

Pies i chłopiec zniknęli nagle z oczu obecnych.

— Rany Boskie!

— Jezus, Marya!—zawołali jeden po drugim przerażeni wieśniacy.

— Co się stało?—zapytał Paweł, który właśnie na chwilę odwrócił głowę i nie był świadkiem nieprawdopodobnego, niezwykle dziwnego zniknięcia psa i chłopca.

Ale pan Kalasanty nic nie odrzekł, tylko nerwowo uściśnął mu rękę. Biedny starzec do słowa przyjąć nie mógł. Przerazenie, ból, niepewność i rozpacz na przemian odbijały się w jego oczach.

Wieśniacy cofnęli się ku lasowi, jakby w obawie, aby i ich coś niezwykle nie spotkało.

Jeden Paweł nie przestawał się pytać:

— Na Boga! cóż się stało z Jankiem?

Żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Pan Kalasanty stał jak skamieniały, pan Bonifacy ukląkł na ziemi i rękami jej dotykał, głowę do trawy przykładając, jakby mo-

dlitwy jakieś odmawiał. Nagle wstał, ręką po czole potarł, i przysunawszy się do pana Bonifacego, rzekł głosem, w którym wzruszenie dźwięczało:

— Odwagi... jeszcze nie czas na żale!

— Gdzie Janek?—pytał znowu Paweł.

Za całą odpowiedź uczony wziął go za rękę, przykląkł znowu i wraz z nim przyłożył ucho do powierzchni ziemi.

— Czy słyszysz?—szepnął.

Młodzieniec wzdrygnął się, jakby ukropem sparzonego, a później znów cicho przyłożył głowę do ziemi i tak oba z panem Bonifacym trwali.

— Czy słyszysz? — zapytał go uczony, podnosząc z nad traw swą siwą głowę.

— Słyszę, słyszę dziwny szmer podziemny.

— Podziemny... mówisz?

— Tak.

— I nie mylisz się. Pod jarem tym i pod całą tą polanką znajduje się obszerna grotka.

— Grotka?!..

— Jestem tego pewny. Do niej to wpadli obaj chłopcy.

— Wielki Boże!

— Spokoju, młodzieńcze! Bóg, którego wzywasz, jest miłosierny.

Ale Paweł uspokoić się nie mógł.

— Panie Kalasanty! o, jakżem ja nieszczęśliwy!.. Mój brat, mój drogi Janek... Co rodzice nasi poczną?.. O, Boże! mój Boże!..

I oczy, zwilżone łzami, w stronę zboląłego starca zwrócił.

Ale ten opanowywał już wewnętrzne wzburzenie i głosem pewnym zawołał:

— Precz żale! Ratować, ratować tych nieszczęśliwych trzeba!

Na trawach leżał jeszcze kapelusz, po który Janek tak niepomyślnie dla siebie sięgał. Paweł chciał biec w tę stronę.

— Tam przepaść... stój! — krzyknął pan Bonifacy i zatrzymał rozżalonego młodzieńca.

ROZDZIAŁ IX.

Jeśli pan Kalasanty i jego towarzysze byli niezmiernie zdziwieni niespodziewanem zniknięciem małego Janka, to wyznać należy, że stokroć bardziej on sam uczuł się zdziwionym i przerażonym, gdy naraz ocknął się na miękkim z zeschniętych liści posłaniu, wśród nieprzejrzałej ciemności.

Mały Janek w całym słowa tego znaczeniu stracił przytomność. Przerażenie i niepewność owładnęły nim całkowicie. Z początku nie śmiał poruszyć się nawet, w obawie przed czemś, czego wytlómaczyć sobie nie umiał. Siedział więc nieruchomie, bez myśli, z osłupieniem w oczach. To, co się stało, było tak dziwnem, tak nadspodziewanem, tak niepojętem, iż bynajmniej winić nie można biednego Janka, że zupełnie stracił głowę i dopiero w kilka minut po takim nadzwyczajnym wypadku szepnął, chwytając się za głowę:

— O, Boże!.. gdzie ja jestem!?

Gdzie on był? A któżby na to mógł odpowiedzieć? Chyba te ciemności złowrogie, które go otaczały, i ta cisza przejmująca, niezem dokoła niezamącona.

— O, Boże! co się ze mną stało? Czyliż ja już nie żyję? Tak, zapewne jam w grobie już, w grobie!—narzekał dalej chłopczyk i łzy zwilżyły mu źrenice. Boże, o, mój Boże! co za ciemność, co za przerażająca cisza dokoła! Tak, to chyba śmierć moja, chyba zbliżyło się rozstanie z tym światem. O, mój Boże! Boże! Panie Kalasanty, ratuj mnie, ratuj!

Te skargi brzmiały tak dziwnie wśród ciemności i ciszy, że mimowoli chłopczyk ucichł, jakby przerażony niemi. Ucichł i słuchał, bo echo dziesięćkrotnie odbiło się w oddali, powtarzając jego rozpaczliwe narzekanie.

Echo!.. Chłopczyk złożył ręce, jak do modlitwy, i spojrział w górę.

— Jeśli echo rozlega się w tych ciemnościach, więc one zalegają jakąś jaskinię, jakieś wielkie podziemia.

Ale co za jaskinię, co za podziemia?—Odpowiedzieć sobie na to nie umiał. W górze, dokąd biegł wzrok Janka, widać było wązką smugę światła, ale tak słabą, że nie rozpraszała ciemności, które biednego chłopczyka otaczały.

Ujrawszy ten promyk światła, Janek uspokoił się nieco, przeżegnał się, ukląkł i zaczął się modlić. Modlił się dość długo i gorąco, a kiedy przestał, jakaś otucha wstąpiła mu w serce; spokojnie, choć jeszcze ze łzami w oczach, począł się zastanawiać nad swoim położeniem. Przedewszystkiem przypomniał sobie, jak na prośbę Pawła zbliżył się do fatalnego miejsca, gdzie leżał kapelusz, jak nachylił się, ażeby go podnieść, i jak nagle uczuł, że ziemia rozstąpiła się pod nim, a on, jak wrzucony w pustą studnię kamień, począł lecieć w otchłań jakąś ciemną. Z przerażenia stracił przytomność—i gdy przyszedł do siebie, znalazł się właśnie na miękkim z ze-

schłych liści posłaniu, sam jeden wśród przerażającej ciszy i ciemności. Teraz Janek jeszcze raz pobożnie się żegna i zwykła roztropność, zwykły trzeźwy sąd o rzeczach zaczyna mu wracać.

„Jestem w jakiejś jaskini—myśli sobie, nie próbując się jeszcze z miejsca ruszyć.—Jaskinia ta na pewno jest bardzo obszerna, bo echo biegło w niej daleko. Pan Kalasanty, pan Bonifacy i Paweł będą mnie szukali. O, oni na pewno odnajdą mnie tutaj, nie pozwolą, ażebym zbyt długo w tych strasznych ciemnościach przebywał.“

Myśl ta, że szukany będzie i że musi być znalezionym, pocieszyła go nadspodziewanie.

— Odwagi! — szepnął — dopiero to uśmiejemy się wszyscy z tej przygody!.. dopiero to będę miał co opowiadać w domu o naszych wycieczkach w okolice Ojcowa, gdy wraz z Pawłem i panem Kalasantym zasiądziemy wieczorem przy herbacie, za okrągłym stołem, przy którym mateczka i ojciec tak lubią z nami gawędzić.

Wspomnienie jasnych chwil życia rodzinnego, wspomnienie drogiej matki i ojca rozrzewniło Janka, ale zarazem dodało mu dziwnej jakiejś mocy. Obudziły się w sercu chłopca odwaga i śmiałość, chwilowo przez straszny wypadek przytłumione.

Naraz wstał i, wyciągnawszy ręce na przód, posunął się wśród ciemności. Ale teraz dopiero z wielkiem zdziwieniem uczuł przykry ból w nodze i w ręce.

„Stłukłem się—pomyślał.—Widocznie z wysoka leciałem do tej ciemnicy. Szczęściem, że tylko na takim potluczeniu się skończyło.“

I znowu usiłował postąpić kilka kroków, lecz usiadł nagle, gdyż noga w kolanie i biodrze bardzo go bolała.

— Odpocznę jeszcze... to przejdzie...

I odpoczywał dość długo, wołając od czasu do czasu:

— Panie Kalasanty! Pawle! ja tu jestem!

Głos jego, donośny na powierzchni ziemi, tu, w tej mrocznej jaskini, brzmiał dziwnie niewyraźnie, dziwnie był przytłumiony.

— Tam, gdzie ta smuga białego światła w górze się bieli, tam, na skraju tej otchłani, do której wpadłem, znajdują się moi ukochani, śmiertelnie zatrwożeni o los mój. O, Boże! pozwólże, aby ich serca z mej przyczyny nie zostały zranione.

Takie i tym podobne myśli snuły się w głowie biednego chłopczyny, usiłującego uspokoić się i nabrać otuchy. Tymczasem dokoła niego nic się nie zmieniało. Ta sama ciemność, czarna, prawie namacalna, zaległa wewnątrz ponurych podziemi; ta sama cisza, przejmująca, ani szelestem skrzydeł owadu niezakłócona, przykre, nad wyraz przygnębiające czyniła wrażenie.

Janek, zatamowawszy oddech w piersi, nasłuchiwał, czy czasem stamtąd, gdzie bielilo się w górze nieco światła, nie usłyszy wołania, czy znany mu dobrze głos pana Bonifacego nie odezwie się, nie doda mu nadziei, odwagi.

Słuchał tak pilnie, że usłyszałby był nawet brzęczenie skrzydeł motyli, lecz, niestety, ponura cisza, bolesna dla nerwów, trwała niezamącenie.

— Oni mnie wyratują, oni nie zapomną o mnie! — szeptał znowu Janek, spoglądając w górę, ku smudze bladego światła.

Nagle zdało mu się, że tuż blisko siebie usłyszał lekkie stąpanie. Wzdrygnął się i mimowolnie usunął na bok.

Ktoby tu mógł chodzić po tem podziemiu? Może zwierz jaki? Ale jaki? Janek nie może sobie przypomnieć, jakie zwierzęta gnieźdzą się w grotach i jaskiniach. Nasłuchuje więc dalej i teraz nie tylko stąpanie lekkie słyszy, lecz i przyspieszony oddech i cichy pomruk jakiś. Co to być może? Chłopiec usuwa się znowu. O, jakże to źle być osamotnionym! Gdyby tu obok niego był Paweł, to z pewnością doradziłby mu, jak się zachować, co czynić, aby jak najmniej narazić się na niebezpieczeństwo.

Tymczasem lekkie czyjeś kroki i radosny jakiś pomruk zbliża się coraz bardziej. Czyjaś kosmata łapa opiera się na ramieniu Janka, druga na drugim. Radosne skomlenie coraz to wyraźniej słyszeć się daje i czyjś ciepły język zaczyna lizać ręce, czoło i policzki napół żywego z przestachu chłopczyny.

— To Kruczuś! to ty, pocziwy Kruczuś! — zawołał nagle Janek, poznawszy w napastującym go zwierzęciu pocziwego psa Kosów.

I zapominając w tej chwili, że Kruczuś jest sobie tylko najzwyczajniejszym psem podwórzowym, uściskał go, jak dobrego przyjaciela.

— No, teraz nie jestem sam! teraz już się nie boję tej ciemności i tej ciszy; teraz pocziwy, dobry Kruczuś jest ze mną. Prawda, Kruczuś, że razem lepiej nam będzie, prawda?

Zwierzę, jakby rozumiejąc słowa ucieszonego chłopczyny, łaśliło się, skomlało i radośnie lizało mu ręce.

— Więc i ty wpadłeś do tej otchłani... biedny, mój biedny Kruczuś! Ale powiedz, powiedz, co my teraz poczniemy, jeśli pomoc nam nie nadejdzie?

Za całą odpowiedź pies ze zdwojoną radością ląsić się począł i lizać ręce Janka.

— No, no, dosyć już, dosyć, mój piesku! — mówił chłopczyk. — Lepiej pomyślmy teraz, co będzie, jeśli pomoc nam nie nadejdzie? Ale nie! pomoc nadejdzie nam, musi nadejść! Pan Kalasanty, pan Bonifacy i Paweł nie zapomną o nas. O, nie, oni nigdy o nas nie zapomną. Prawda, Kruczuś, że tak?

Pies znowu wspinał się do twarzy Janka, jakby się dosyć nacieszyć nie mógł, że go odnalazł.

— Razem wpadliśmy do tej otchłani — mówił znowu chłopczyk, głaszcząc Kruczka, więc razem do jakiegoś czasu pokutować tu musimy. Ale odwagi, mój kochany piesku, a zobaczysz, że pan Kalasanty i Paweł znajdą nas i wydobędą z tej nory.

Pies ułożył się u nóg chłopczyny, łeb oparł mu na kolanach i zasnął. Z całego zachowania się jego łatwo wnioskować było można, że zmęczony był, a może i potłuczony bardzo, że do nóg Janka dowlókl się po to tylko, ażeby odpocząć. Ale skąd wracał? Dlaczego od razu nie znalazł się przy Janku?

Podobne myśli zajęły uwagę chłopczyka, który, mając przy sobie istotę żywą, mniej odczuwał okropność swego położenia.

Co robić dalej? — Janek nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

„Czekać — myślał sobie w duchu, — czekać dopóty, dopóki nie zjawi się pomoc.“

Przecież towarzysze jego nie opuszczą go, przecież byli świadkami okropnej przygody, która go spotkała. Co chwila może nadejść ratunek. Zapewne pan Kalasanty i Paweł domyślą się, w jaki sposób on zniknął im z przed oczu i gdzie się może znajdować. Jeżeli wpadł w podziemia, więc go tu, w podziemiach, szukać będą.

Te myśli uspokoiły Janka, dodały mu mocy i ufności. Był pewny, że pomoc szybka nadejdzie, że długo w tych strasznych mrokach, które nieskończenie go przygnębiają, przebywać nie będzie.

— Panie Kalasanty! Pawle! ja tu jestem!.. ratunku! — krzyknął, co tylko miał siły, ażeby szukającym go, jak przypuszczał, współtowarzyszom wycieczki dać znać o sobie. Już obecnie w krzyku tym nie było rozpacz, przerażenia, lecz zwykłe wołanie, takie, jakim na przykład pastuszkowie nawołują się w borze lub w polu. Janek już nie drżał, nie bał się, tylko głośko spoczywającego u stóp swych zmęczonego Kruczka i spoglądał ku górze, gdzie widniała biała smuga światła.

Nagle błysła mu w głowie myśl zbawienna. Może tam, ku tej smudze bladego światła, dostać się będzie można? Gdyby to było możliwem, Janek wkrótce uściskałby swych ukochanych, pewnie bardzo przygnębionych straszną niepewnością o los jego.

Chłopczyk ostrożnie zsuwa kosmaty łeb Kruczka na zeschnięte liście, wstaje i, pomimo bólu, który czuje w prawym boku i w nodze, postępuje wśród ciemności w prostym kierunku, w nadziei, że natrafi na ścianę, a może na bryły kamienne lub jakieś przejście.

Niestety, przypuszczenie to zawiodło go najzupełniej, gdyż naraz uczuł, że, zamiast do góry, grunt, po którym stąpa, spadzisto prowadzi na dół. Dotychczas

pod stopami swemi czuł zeschłe liście i słyszał ich szelest, teraz poczul, że stąpa po twardej opoce. Chociaż idzie zwolna i stąpa lekko, odgłos kroków jego dalekiem i głośnem echem rozlega się wśród ponurej ciszy. Chłopczyk przystanął i zwrócił się na lewo. Może w tym kierunku natrafi na jakieś wyjście, lub znajdzie drogę, któraby prowadziła ku górze. Istotnie, grunt jest nieco równiejszy. Janek posuwa się o ile może najszybciej w tę stronę, lecz nagle czuje, że natrafił na jakieś rumowisko. Rzecz dziwna—coby to być mogło? Pragnąc się przekonać, czy na cegły, czy też na zwyczajne kamienie natrafił, chłopczyk schylił się i ręką podniósł jeden z mnogich kamieni. Istotnie, pod ręką miał kamień, ale tak duży, iż unieść go nie mógł; zaczął więc szukać innego. Wtem drgnął.

— Kości! jakieś kości! —szepnął z odrazą i szybko cofnął się na prawo.

Szukając kamieni czy cegieł, natrafił na jakieś kości. Skąd one się tu wzięły w tej jaskini? Chłopczynie zaraz przyszły na myśl wszystkie opowiadania o rozbójnikach, ukrywających się wśród podziemi, w jaskiniach i grotach. A jeśli on właśnie wpadł w jedno takie podziemie? Jesliby to przypuszczenie okazało się prawdziwym, to los małego Janka nie byłby do pozazdroszczenia. A może to są kości dzikich zwierząt, które tu szukały schronienia? W takim razie położenie chłopczyka byłoby jeszcze okropniejsze. Widocznie z jaskini tej niema żadnego wyjścia, jeśli zwierzęta, które, podobnie jak Janek, do niej wpadły, nie mogły się wyratować, lecz tu głodną śmiercią zginęły. A może zostały pożarte przez inne zwierzęta? W każdym razie, czy tak się stało, czy też inaczej, los istot, których kości poniewierały się w tem

ponurem podziemi, był nie do wypowiedzenia straszny. Janek czuł zimno tej kości, przez chwilę trzymanej w swej ręce, i drżał na myśl, że ratunek ze strony jego przyjaciół spóźnić się może i on wskutek tego przez dłuższy czas będzie zmuszony przebywać w pobliżu tych martwych szczątków istot, niegdyś tak, jak on, pełnych życia.

Chłopczyk stał i przez chwilę bał się poruszyć. Jednak to przygnębienie chwilę tylko trwało; krokiem szybkim cofnął się wstecz, wołając Kruczka. Obecność wiernego zwierzęcia dodawała mu odwagi. Czuł, że nie sam cierpi, że jest istota, która, podobnie jak on, czeka ratunku. Znowu zaszeleściły mu zeschłe liście pod nogami, i chłopiec otrząsnął się z obaw i złowrogich myśli.

Nagle stało się to, czego Janek bynajmniej nie przewidywał. Oto, robiąc krok na przód, uczuł, że stracił grunt pod sobą i że nagle upadł na miękkie z zeschniętych liści posłanie i po niem toczy się, zjeżdża po wielce spadzistym gruncie gdzieś na dół.

Głośne okrzyki przerażenia wyrwały się z piersi biednego chłopca, a echo powtórzyło je kilkakrotnie.

Jak długo w ten sposób toczył się Janek na dół, sam nie wie, bo dopiero wtedy opamiętał się, gdy znalazł punkt oparcia koło jakiegoś grubego, kamiennego filaru. Tu nareszcie odpoczął.

Może z pięć minut trzymał się oburącz owego kamiennego słupa, aż nareszcie, zebrawszy myśli, począł próbować rękami i nogami, gdzie jest, co za grunt ma pod sobą.

Macając ręką, uczuł wilgotną, skalistą podłogę, wielce spadzistą, a tuż przy sobie szeroki, również o wilgotnej powierzchni filar, widać bardzo wysoki, bo, cho-

ciaż chłopiec wstał i wspiął się na palce, nie mógł ręką dosięgnąć jego wierzchołka.

Janek nie był nigdy tchórzem, przeciwnie—miał w sobie wiele odwagi i rozwagi, w czem wielce był podobnym do Pawła. To też po przestradchu, po przerażeniu i trwodze chwilowej, wzięła górę w duszy jego odwaga i gorąca chęć zwyciężenia wszystkich nadzwyczajnych przeszkód, które go tak niespodzianie zaskoczyły. Przytem ani na chwilę nie odstępowała go nadzieja, że wszystko to, co go w tak niezwykły sposób zaskoczyło, skończyć się szczęśliwie musi, że wkrótce uściśnie Pawła i pana Kalasantego, mówiąc im z dumą:

— Nie drżałem... nie straciłem głowy w niebezpieczeństwie!..

I już odczuwał tę błogą chwilę, gdy pan Kalasanty, oddając mu jego uściski, odpowie:

— Dziękuję ci, że umiesz mężnie znosić przeciwności.

Teraz Janek wstydzi się swych niedawnych rozpaczliwych krzyków, w serce jego wstąpiła odwaga.

— Gdyby tylko nie te przerażające ciemności—myśli sobie chłopczyna, — umiałbym znaleźć wyjście z tej jaskini. Lecz skąd wziąć ognia? Ani jednej zapalki nie mam przy sobie.

Wkrótce Janek doszedł do tego przekonania, że najlepiej zrobi, gdy spokojnie czekać będzie na pomoc ze strony pana Kalasantego.

— Pan Bonifacy wie — myślał chłopczyk, — że w tych okolicach pełno jest grot wielkich i małych, bo sam niedawno mówił nam o nich. Bezwarunkowo więc domyśli się, że właśnie wpadłem do jednej z grot takich, i pośpieszy mi na pomoc. Że jest to rzeczą pewną, nie

powinienem nawet na chwilkę powątpiewać. Przytem Paweł... On, chociażby z narażeniem życia, będzie mnie szukał, a szukał dopóty, dopóki nie znajdzie... On nie spocznie, nie weźmie nic do ust, dopóki nie będzie z pewnością wiedział, że jestem wolny, że nic mi nie zagraża...

Podobne myśli tak uspokoiły Janka, że, czując wielkie znużenie, przymknął oczy, głowę na rękę podparł—i sen, ten największy dobroczyńca cierpiących, skleił mu powieki i odjął świadomość wszystkiego.

ROZDZIAŁ X.

Jak długo spał Janek, sam nie wie,—zdawało mu się tylko, że bardzo krótko, bo nagle został przebudzony przez jakieś skomlenie i lizanie po rękach, szyi i twarzy.

— Kruczuś, pocziwy Kruczuś, to ty jesteś?.. trafiłeś do mnie?..—zaczął Janek.—Powiedz, mój dobry piesku, co teraz pocniemy, bo obydwu nam się jeść chce, a jeszcze bardziej pić. Nieznośne mam pragnienie. Czy i ty także, mój piesku?

Kruczek, w miejsce odpowiedzi, nasrożył się i cicho warknął, przestając łaścić się i wspinać łapami do ramion i twarzy chłopca.

— Co ci to?.. czego się gniewasz?.. — pytał Janek, pragnąc uspokoić najwidoczniej zaniepokojone czemś zwierzę.

Ale Kruczek jeszcze gwałtowniej szczeekać począł. Szczekanie to rozlegało się głośnie echem dokoła, tak, że zdawało się, jakoby nie jeden Kruczek, lecz setka innych nagle odezwała się wśród mrocznej jaskini.

Nareszcie pies przestał szczeekać i spoczął z żalosnym skomleniem u stóp Janka. Leżał tak przez chwilę, lecz bardzo niespokojnie: warczał, zrywał się, to zno-

wu drżał, jakby się czegoś obawiając, aż w końcu zerwał się i z głośnie szczeekaniem rzucił się wśród ciemności na tajemniczego wroga.

Janek wyczuł wzrok i słuch. Słuchem chwycił groźne i gniewne psa szczeekanie, które ginęło w oddali, cichło, tak, że zdawało się, iż Kruczek nagle gdzieś bardzo daleko odbiegł; wzrokiem zaś Janek nic schwycić nie mógł: ciemności były zbyt wielkie.

Wydało mu się tylko, ale to zapewne wskutek wielkiego natężenia wzroku, że w oddali, w stronie, skąd już tylko słabe odgłosy naszczekiwania wiernego psa dochodziły, ujrzał światło, które natychmiast zgasło. Słabe to było światełko, czerwone, lecz migotliwe. Że je widział, mógłby przysiąc; lecz czy było rzeczywistym światłem, a nie złudzeniem wzroku jedynie—pewnym nie był. Wtem znowu owo światełko zamigotało wśród ciemności. Nie, teraz Janek wątpić nie może. To światełko bynajmniej nie jest złudzeniem. Tam ktoś być musi, co je pali... Ale kto?.. Może Paweł, albo pan Kalasanty? Janek krzyczy na nich głośnie po imieniu. Nie, to nie oni, gdyż byliby się już odezwali. Toć niepodobna, ażeby nie usłyszeli tak donośnego wołania. O, teraz znowu zgasło. Janek nie wie, co o tem myśleć; to tylko pewna, że nie jest to żadne błędne sforyczne światło, o jakim słyszał od pana Kalasantego, lecz zwyczajne, pochodzące od lampki, świecy lub łuczywa, bo pali się równo, czerwonym płomykiem.

Pragnąc przekonać się, czy istotnie tak jest, chłopczyk krzyczał coraz głośnie, wołając ratunku, lecz, rzecz dziwna, ten, co tam w oddali świecił, nie śpieszył z pomocą; widocznie albo nie słyszał głosu Janka, albo też nie chciał dać wołającemu żadnej pomocy.

— A jednak tam ktoś żywy być musi! — szeptał chłopczyk, i, puściwszy się filaru, którego wciąż trzymał się ręką, lub o który opierał się ramionami, ostrożnie począł schodzić na dół po spadzistem dnie jaskini. Że nie wpadnie w jakąś otchłań, jest pewnym, bo Kruczek właśnie przed chwilą przebiegł w tym kierunku. Stąpa więc śmiało po chropowatej, skalistej powierzchni, coraz to spadzistszej i coraz to nierówniejszej. Myśli, że owo światło, płonące w oddali, choć na czas jakiś rozproszy otaczające go ciemności—wielkiem jest dobrodziejstwem. Nikt lepiej nad Janka nie czuje tego.

Ale gdzież to podział się Kruczek? Wierny pies znikł bez śladu. Janek woła go głośno, ale na próżno. Tymczasem, idąc wciąż ku dołowi, spostrzegł, że światło, ku któremu dąży, powiększa się, wzmacnia i migocze tak silnie, iż widać już przy nim olbrzymi słup kamienny, sterczący w górze. Jankowi się zdawało nawet, że widział rękę, która to światło trzyma. Zapewne jednak zdawało mu się tylko, bo teraz, gdy lepiej się wpatruje, nic podobnego nie widzi. Wtem uszu jego doleciał odgłos jakby czyjś ciężkiego stapania.

— Jestem ocalony! — pomyślał chłopczyk. — Do mnie się ktoś zbliża!..

W miarę posuwania się uradowanego Janka, odgłos owych kroków wzmacniał się, tak, że w końcu podobniejszym był do potężnych uderzeń kilofa górniczego w twardą opokę, niż do stapania ludzkiego.

— Górnik jakiś tu pracuje—pomyślał Janek. — Ale ani pan Bonifacy, ani pan Kalasanty nic mi o górnikach ojcowskich nie wspominali. Co innego w okolicach Zawiercia, Będzina i Olkusza... Tam są kopalnie i tam są górnicy... Ciekawa rzecz, kto tu i co może kopać?..

Mając ręce wyciągnięte przed siebie, Janek posuwał się szybko na przód, palając chęcią ujżenia tajemniczego pracownika, z taką pilnością trudzącego się wśród tej strasznej, wilgotnej jaskini.

Naraz chłopczyk zatrzymał się. Nieprzebyta zagroda wstrzymała go w miejscu. Gładka, wilgotna ściana wznosiła się tuż przed nim. Czuł to, macając rękami i posuwając się to na prawo, to na lewo.

Czyżby tutaj jaskinia kończyła się? Chyba nie, bo przecież światło widać znacznie dalej. Chwilę Janek zastanawiał się, aż wreszcie doszedł do przekonania, że owo światło widać wyżej, po nad poziomem miejsca, gdzie on się znajduje. Co teraz począć?.. Oczywiście Janek natrafił na kąt jakiś, z którego na przód nie będzie się mógł posunąć. Jest więc zmuszony się wrócić. Teraz nie próbuje nawet krzyczeć, tylko czempędzej posuwa się w kierunku, skąd przyszedł. Niestety, naraz natrafił na stromą ścianę, wielce chropowatą, jakby soplami lodu pokrytą.

— Zmieniłem kierunek—myśli chłopczyk i próbuje zwrócić się w inną stronę.

Idzie, lecz czuje, że nie w tym kierunku, skąd przyszedł, bo pod stopami ma wielce nierówną powierzchnię, przytem spadzistą, a przecież powinnyby wznosić się do góry, jeśli chłopczyk wraca tą drogą, którą tu przyszedł. Wtem znowu jakaś kamienna opoka zastępuje mu przejście. Znowu się Janek cofa i utyka, bo grunt, po którym stąpa, jest wielce nierówny. Co począć?

— To labirynt jakiś!—myśli z gniewem i bojaźnią.

I istotnie tak być musi, bo nawet przypomina sobie, jak pan Bonifacy pouczał go i Pawła, że niektóre groty Ojcowa wielce są podobne do owych sławnych labiryntów.

tów, znanych i wspominanych w historyi starożytnej; są to w miniaturze przesławne labirynty Grecyi i Egiptu.

— Zabłądziłem...

Rzeczywiście Janek zabłądził. Wśród labiryntu przejść i kurytarzy, otoczony ciemnościami, nic dziwnego, że zabłądził, bo wreszcie każdy, będąc na jego miejscu, z pewnością nie uchroniłby się od tego.

Chłopczyk po chwili namysłu zdecydował się bądźco-bądź iść na przód, o ile to tylko będzie możliwem. Przecież Kruczek biegł tędy; jest więc w pobliżu jakieś przejście.

Posuwając się przy jednej ze ścian, nagle natrafił na żywe stworzenie, które z piskiem i hałasem wzbilo się do góry.

— Ptak jakiś! — szepnął Janek.

Pisk spłoszonego ptaka wkrótce ustał, lecz zaraz rozległ się inny, głośniejszy, po nim drugi, trzeci, czwarty. W powietrzu zahuczało, chłodne powiewy, jakby od ruchu olbrzymich wachlarzy, objęły twarz chłopca, przejmując go nowem zdziwieniem i przest్రachem. Ale Janek prędko domyślił się przyczyny tego niezwykłego zamieszania wśród ponurej ciszy, zalegającej grocie.

— To jakieś wielkie ptaki jaskiniowe gnieźdzą się tutaj. Naruszyłem ich spokój, słusznie więc zgotowały mi takie niegościnnie przyjęcie.

Głośno łopotanie skrzydeł i przeraźliwe piski zaczęły się uciszać. Widocznie spłoszone ptactwo wracało do swych gniazd i kryjówek.

Wstrzymany niespodziewaną przygodą z ptactwem, Janek rozpoczął wkrótce na nowo poszukiwanie jakiegokolwiek wyjścia z labiryntu. Odgłosy uderzeń kilofa górniczego ucichły, a światło gdzieś zniknęło. Widocznie

jakaś skalista ściana oddzieliła go od owego tajemniczego pracownika, który, przyświecając sobie, chciał zapewne wydrzeć jakieś ukryte skarby z łona tych skał potężnych, które ze wszystkich stron nieugiętemi ścianami jaskinie otaczały.

Takie myśli mimowolnie nasuwają się Jankowi, gdy, nie zważając na nieumilkłe jeszcze piski ptactwa, szuka to tu, to owdzie, upragnionego przejścia.

Znalazł je nakoniec. Tak mu się przynajmniej zdaje. Tylko, że jest to bardzo wązkie przejście. Pomimo to, chłopczyk śmiało się w nie zapuszcza.

— Może najniespodziewaniej natrafię na wyjście z jaskini... — myśli sobie, śpiesznie przesuwając się w wązkiej szyi podziemia.

Idzie już dość długo, lecz nie znajduje ani wyjścia, ani spodziewanego światła. Zato czuje, że coraz to mu trudniej oddychać, że powietrze staje się tak bardzo dusznem, tak ciężkiem dla płuc, że Janek nagle zatrzymuje się i opiera o wilgotną ścianę podziemia. Stojąc tak przez chwil kilka i nasłuchując, usłyszał jakieś lekkie uderzenia, podobne do tych, jakie sprawiają krople deszczu, gdy jedna za drugą na twardą ziemię lub na kamienie z góry spadają.

— Co to?.. deszcz?.. — szepnął, ożywiając się na myśl, że istotnie owe uderzenia pochodzą od spadających powoli kropeł deszczu.

I przezwyciężając duszne, trudne do oddychania powietrze, szybko posunął się na przód. Odgłosy wzmagaly się i teraz nie można już było wątpić, że słychać plusk wody i spadanie kropeł deszczu na kamienne dno jaskini.

— A więc jestem ocalony!—pomyślał chłopczyk.—
Jeśli deszcz pada, to z pewnością z chmur, chmury zaś
nie mogły się wytworzyć w tej jaskini, tylko w wolnym,
nieskończonym przestworzu nieba.

Zdawałoby się, że to rozumowanie Janka nie mo-
gło mieć nic przeciw sobie, tymczasem chłopczyk w bar-
dzo krótkim czasie przekonał się, że najzupełniej go za-
wiodło.

Oddychając z wielkim trudem i posuwając się wciąż
z ogromnym wysiłkiem w kierunku mniemanego plusko-
tania kropel deszczowych, poczuł, że wązka szyja prze-
jęcia rozszerza się, że znowu wchodzi do jakiejś obszer-
nej pieczary, bo powietrze naraz zrobiło się mniej duszne.

Dno groty, po którym teraz Janek stapa, jest wiel-
ce nierówne, wielce chropowate, gęstymi kamiennymi
brózdami porane i sterczącymi wysoko nad jego po-
wierzchnią kamieniami pokryte.

Plusk i spadanie kropel wody wyraźnie w pobliżu
słychać było.—Janek już nie wątpił, że znajduje się blisko
wyjścia z tej strasznej ciemnicy, w której głąb tak nie-
spodziewanie się dostał, i że za chwilę będzie już pod go-
łem niebem.

— Dzięki Bogu!—szepce—złe wkrótce minie.

Dziwi go tylko, dlaczego dotychczas nie widzi ja-
śniejszego tła w tej stronie, skąd plusk go dochodzi.
Przecież chyba na zewnątrz groty, pod golem niebem, na-
wet w najciemniejszą noc widniej bywa? Wreszcie zda-
je mu się, że dłużej niż kilka godzin w tem podziemiu
nie przebywa i że na zewnątrz obecnie dzień jeszcze
trwaćby powinien. Wtem, posuwając się ostrożnie
w głąb pieczary, nagle poczuł, że dwie duże krople wody

upadły mu na ręce, a po chwili znowu kilka innych na
czoło i włosy.

— Deszcz, deszcz bez wątpienia! — szepnął rado-
śnie i posunął się szybciej na przód.

Naraz upadł, zawadzając nogą o jakiś kamień, wy-
stający nad powierzchnią kamiennego dna groty. Po-
wstał czempredzej i chciał zwrócić się w inną stronę,
gdy naraz znowu potknął się i przewrócił, ale tym ra-
zem nie na kamienie, lecz w wodę. Tak, Janek najniespo-
dziewaniej skapał się w jakiejś dość głębokiej kałuży.

— Do licha!—krzyknął gniewnie—a to co znowu!?

I podniósł się, brnąc w wodzie po kostki.

Woda była zimna, lecz czysta zupełnie, gdyż chłop-
czyk czuł, że bynajmniej się nie zawalał, jakby się to
niewątpliwie stało, gdyby był wpadł do zwyczajnej ka-
łuży, jakich po słotnych dniach nie brakuje na drogach
i polach.

— Brrrm!.. zimno!—zawołał, otrząsając się i ostro-
żnie wychodząc z nadspodziewanej kąpieli.

Gdy znowu stanął na suchym gruncie, poczuł, że
na głowę kapią mu krople zimnej wody. Nie wiedział
zupełnie, co o tem myśleć. Gdy tak stał, bojąc się ru-
szyć w którąkolwiekbądź stronę, nagle ujrzał przed sobą
jakieś światło.

— To ono!.. to samo, które już pierwszej widzia-
łem!—zawołał Janek i żwawo posunął się w kierunku
tego upragnionego ognika, który znowu tak zwodniczo
błyszczał w oddali, za którym tu przyszedł, a który nie-
dawno, gdy już-już dosięgał go, znikł mu nagle z przed
oczu.

Nie zważa więc na to, że brnie w wodzie, że wsku-
tek tego drży z zimna, tylko wytrwale posuwa się na przód.

Tymczasem zdaje mu się, że owo upragnione światło poruszyło się, że zbliża się ku niemu, rośnie i coraz to szerzej rozprasza ponure ciemności.

Jednocześnie ze zbliżaniem się go słyszeć się dają czyjeś ciężkie kroki.

Janek przez chwilę się waha, nie będąc zdecydowanym, czy wołać o pomoc, czy też cierpliwie czekać, dopóki tajemniczy mieszkaniec podziemi nie zbliży się doń na taką odległość, ażeby go można było rozpoznać.

Naraz światło zatrzymało się w miejscu; stapanie ucichło i po chwili rozległy się wśród ciszy i ciemności potężne uderzenia w kamienne dno jaskini, zupełnie podobne do uderzeń ciężkiego kilofa górniczego.

— Tak, to ten sam tajemniczy górnik, którego pomocy na próżno wzywałem i którego światło już raz mnie za sobą pociągnęło — myślał Janek, nie mogąc się jakoś odważyć na głośne wezwanie o ratunek.

Tymczasem praca tajemniczego górnika nie ustawała. Odgłos uderzeń żelaznego kilofa o kamienne dno groty rozgłośnie biegł w dal, co pozwalało wnosić, że Janek wciąż znajduje się w obszernym labiryncie podziemnych przejść, sal i kryjówek.

— Gdybym tak, nie zdradzając swej obecności, z cicha podesunął się do miejsca, gdzie ów tajemniczy górnik pracuje, to może najlepiej wyszedłbym na tem, bo przekonałbym się, co to za człowiek i czy zaufać mu można — myślał chłopczyk, jak najostrożniej stąpając po pokrytej wodą, chropowatej powierzchni jaskini.

Wtem stanął jak wryty. Uszu jego doleciał dźwięczny dziecięcy śpiew, w którym dźwięczała radość i zadowolenie.

— To dziwne... jak tu komuś wesoło być może, jeśli taki śpiew nuci — szepnął Janek, z największą uwagą słuchając radosnej piosenki.

Pomimo to, że słuchał z tak wielką uwagą, słów uroczej piosenki zrozumieć nie mógł. Echo niosło ją z dala i tak zmieniało, że niepodobieństwem było z tych dźwięków przytłumionych jakikolwiek wyraz pochwycić.

— Dziwne, niepojęte!.. Kto tu śpiewać może?.. Chyba, że blisko wyjścia jestem — szeptał dalej Janek, — bo przecież tu, w tej mrocznej grocie, niepodobna takich wesołych piosenek nucić.

Ciekawość jego podniecało to światło, błyszczące przed nim w oddali, to ten śpiew niepojęty, który nagle wśród ponurej ciszy, jak głos srebrnego dzwonka, zadźwięczał. Chwilę stał Janek, wahając się, gdzie ma zwrócić swe kroki. Nakoniec ciekawość przemogła go na stronę tajemniczego światła.

Nie zważając na wielce nierówny grunt, po którym się teraz posuwał, szedł na przód z odwagą i ciekawością w sercu.

Im bliżej był tajemniczego pracownika, tem go większa ciekawość opanowywała. Nareszcie widzi już białe jak alabaster ściany groty, gdzieś tam tylko zleпка przyczernione, — widzi, że owo zagadkowe światło pochodzi od palącego się smolnego łuczywa, starannie na szerokim złomie skalnym roznieconego, — słyszy uderzenia oskardu, — lecz tajemniczego górnika jeszcze nie może dostrzedz, gdyż wzrok Janka, przywykły do ciemności, nie może znieść silnego światła łuczywa.

Chłopiec przysłonił oczy ręką; a gdy je po chwili odsłonił, nagle krzyknął przerażony.

Przed nim stał tajemniczy górnik, który widocznie spostrzegł, że samotność jego ktoś nieopatrzny odważył się zakłócić.

— Roch Ostatni! — zawołał Janek i osunął się na skaliste dno groty, silnie zasłaniając sobie oczy.

Istotnie przed nim w czerwonych blaskach, rzucanych z ogniska, stała wysoka, do połowy zgięta postać tego starca-włóczęgi—i wzrokiem, którego siły Janek znieść nie mógł, zdawała się pytać:

— Czego chcesz ode mnie? Dlaczego wszedłeś w te podziemia, które ja wyłącznie zajmuję? Biada ci, śmiałku, biada!..

ROZDZIAŁ XI.

Bez ruchu, bez myśli, skulony i drżący, Janek leżał na kamiennym dnie jaskini, mając w żywej swej wyobraźni obraz zagadkowego starca, obraz, który niewymownym przejmował go strachem.

Ale Janek był chłopcem silnym, nie łatwo dającym się na długo opanować jednemu jakiemuś uczuciu. To też przestraszył, który nim owładnął, wnet ustąpił miejsca wrodzonej chłopcu roztropności.

Otworzył oczy i śmiało spojrzął przed siebie.

Przed nim nieruchomie, jak posąg kamienny, stał w czerwonych blaskach ogniska tajemniczy starzec, i zimny, pozbawiony wyrazu wzrok trzymał utkwiony w drobnej twarzyczce śmiałego chłopczyny.

Janek złożył ręce, jak do modlitwy, i zawołał głosem przytłumionym:

— Panie, wyprowadź mnie z tego podziemia!

Lecz prośba ta nie wywarła żadnego wrażenia na olbrzymim starcu, którego długa, siwa broda spadała aż na piersi, nadając całej jego postaci jakiś nieokreślony wyraz powagi, surowości i dzikości zarazem. Stał niemy

i wciąż wzrok swój trzymał utkwiony w rozszerzonych źrenicach Janka.

Przez chwilę zdawało się, że chłopczyk znowu ulegnie sile tego spojrzenia i zamknie oczy, tak jak przed chwilą, przyslaniając je jeszcze rękami, lecz nie—Janek postanowił wytrwać, nie dać się opanować dziwnemu wrażeniu przestrachu i śmiało znowu zapytał:

— Panie, powiedz, kto jesteś?.. Ja pragnę wyjść stąd... drogę mi wskaż!

Lecz starzec milczał, coraz to groźniej ściągając brwi siwe, nastrzępione, i coraz to groźniej oczyma rzucając błyski gniewu, jakby chciał tem dziwnem zachowaniem się swoim przerazić chłopczykę, ukarać go za zamącenie mu spokoju i zmusić do ucieczki.

Lecz Janek widząc, że nie z duchem ma do czynienia, lecz z istotą żywą, znowu błagalnie ręce złożył i prosił:

— Starcze, wyprowadź mnie z tego podziemia!..

Wtem luczywo na ognisku z trzaskiem dopalać się poczęło, dym rozszedł się po olbrzymiej grocie i jednocześnie dotychczas nieruchomo stojący starzec poruszył się, ręce do góry podniósł i przeraźliwie gwiznął.

Gwiznięcie to ogłuszyło Janka, a gdy po raz wtóry i trzeci rozbięło się dalekiem echem po podziemiu, nagle dał się słyszeć dziwny szum w powietrzu, podobny do tego, jaki sprawia wielkie stado niespodzianie spłoszonego ptactwa.

Chłopczyk mimowolnie zamknął oczy i uszy ręką przyślonił; lecz gdy znowu odważył się spojrzeć przed siebie, ujrzał, jak nad głową starca, stojącego nieruchomie, z rękami w górę wzniesionymi, unosiły się trzy olbrzymie puhacze. Ptaki te ostrymi pazury, zdawało się,

że chcą godzić w bezbronnego, skulonego na ziemi Janka.

Ten głowę rękami zasłonił, podniósł się i bez pamięci uciekać począł. Ale nie długo biegł wśród ciemności, gdyż nagle potknął się i upadł.

Chciał wstać, lecz poczuł, że czyjeś silne, jakby żelazne ręce uniosły go w górę, a później, zasłoniwszy mu głowę chustką, czy też płócienną płachtą, niosły, jak dziecko, nie pozwalając się poruszyć nawet w celu odzyskania swobody.

Janek chciał krzyczeć, chciał wołać ratunku, lecz czuł, że na nicby mu się to nie przydało—bo któż w tej ciemnicy mógłby mu przyjść z pomocą? Kto głos jego usłyszy? Chyba te straszne ptaki, których złowrogie spojrzenia i szum skrzydeł dotychczas czuje;—chyba te nieme kamienne filary groty, które niedawno mijał, dążąc do płonącego w dali ogniska. Ach, to ognisko! Gdyby nie ono, Janek czułby się przynajmniej wolnym. A teraz? Kto wie, co zamierza z nim zrobić ten tajemniczy, szalony starzec, którego żelazne dłonie oplatają mu ciało. Może rzuci go na dno jakiej przepaści? Może żywcem zakopie gdzie wśród tych podziemi? Janek czuje, że ten człowiek z gniewem biegnie wraz z nim gdzieś w dal ciemną podziemi, że ma zamiar coś z nim uczynić... Lecz co? Lepiej się nie domyślać. Teraz taki przestrach znowu opanował chłopczykę, że wszelkie myśli, jakby sparaliżowane, odmówiły mu posłuszeństwa. Usiłuje wyrwać się, uwolnić z żelaznych uścisków, które go oplotły—lecz nadaremnie.

— Pod Twoją obronę uciekam się, Matko Boża...— zaczyna modlić się, gdy znowu myśli odzyskał i gdy całą groźną niepewność swego położenia odczuł.

— Zginę już chyba...—myśli, i czuje, że lzy napelniły mu oczy.

Jak długo trwała ta niezwykła, pełna tajemniczości wędrówka chłopczyny, unoszonego w potężnym uścisku żelaznych ramion starca, trudno bliżej określić.

Janek sam nie może sobie zdać z tego sprawy, sam dokładnie powiedziećby nie mógł, jak długo szalony starzec dźwigał go, pędząc z nim wśród ciemności podziemnych, aż w końcu złożył go gdzieś na skalistej jakiejś powierzchni.

Chłopczyk uczuł, że żelazny uścisk, w którym był trzymany, rozplótł się, że chusta, którą zasłonięto mu głowę i oczy, nagle została mu zdjęta, i że świeży, pełen zapachu ziół i kwiatów powiew wiatru objął mu twarz i pieczołtliwie odgarnia mu i podnosi jasne kędziory włosów z nad czoła.

Janek spróbował otworzyć oczy, lecz szybko zamknął je, gdyż silny blask uderzył go, jak błyskawica.

Jednakże po chwili znowu podniósł głowę i spojrział. Był dzień. Przed sobą chłopczyk ujrzał wspaniałą panoramę doliny Ojcowskiej.

— Wielki Boże!—szepnął—więc ja nie śnię?.. Więc to blask dnia i błękit nieba ujrzałem?

Dwie lzy, jak perły, stoczyły się po pobladłej twarzy chłopczyny, który znowu musiał zamknąć swe jasne oczęta, bo odwykły od światła dziennego wzrök jego stał się zbyt wrażliwym na działanie łagodnych promieni zachodzącego słońca.

Przez kilka minut nie mógł Janek swobodnie otworzyć oczu, lecz zato, gdy w końcu spojrział swobodnie dokoła siebie, radość jego, połączona z najwyższem zdumieniem, nie miała granic. Chłopczyna nie wierzył sam

sobie. Dotykał oczu, rąk, nóg swoich, macał ręką miejsce, na którym niewidzialne ręce go złożyły, i znowu wielkie zdziwienie go obejmowało.

Dokoła niego, jak okiem rzucić, ciągnęto się szmaragdowe morze zlekka powiewem wiatru kołysanych lasów i ogrodów ojcowskich, najeżone tu i owdzie śmiało piętrzącemi się skałami. Po nad niem błękit jasnego, letniego nieba, dźwięczny jeszcze radosnym śpiewem skowronka, a tam w dali, na skraju horyzontu, białą się ściany domków wioski jakiejś, a bliżej, wśród łąk, stoją skromne chatki Ojcowa, rysują się kształty zabudowań zakładu leczniczego i dwóch większych hoteli.

Janek spostrzeża, że siedzi na samym szczycie jakiejś wysokiej skały, że szczyt ten, niezwykle stromy, ze wszystkich stron jest niemal nieprzystępny i że cudem chyba ktoś go wniósł i tu posadził.

Chłopczyk się jednak tem nie martwi, że tak wysoko siedzi i że bez obcej pomocy na ziemię stąd się nie dostanie.

— To nic — szepce, — jam teraz szczęśliwszy, niż kiedykolwiek w życiu. Ach, na samo wspomnienie tego, com przeżył, dreszcz mnie przejmuje!.. Te straszne podziemia!..

Janek milczy przez chwilę, radosnem spojrzeniem obejmując pełną niewysłowionej piękności okolicę. Ciepłe powiewy letniego wiatru, uroczy spokój zbliżającego się wieczoru, promienne zorze zachodzącego słońca, ożywione głosy pastuszków, pędzących swe stada z pastwisk — wszystko to jak balsam działa na jego duszę, niedawno przebytymi, przykreimi wrażeniami wielce przegnębiają.

— Ach! co za dziwne, niepojęte przygody mnie spotkały — myśli chłopczyk. — Niedawno znajdowałem się w mrocznych, ponurych, podziemiach, a teraz jestem zawieszony, jak ptak, w powietrzu.

I rzeczywiście Janek był zawieszony w powietrzu, jak ptak. To ostatnie porównanie udało mu się najzupełniej, bo najtrafniej określało położenie, w jakim się nagle znalazł.

— Niedawno — myślał dalej uradowany chłopczyka, patrząc na wspaniałą tarczę zachodzącego słońca — traciłem nadzieję, rozpaczalem, zapominając, że rozpacz jest to podwójne zło: raz, że nam szarpie serce, a powtóre, że zaślepią umysł, pozbawiając go tych środków, którymi w stanie zwykłym rozporządza; teraz jestem wolny, mam nad sobą drogi błękit nieba, a przed sobą te ukochane białe chatki, w których biją poczciwe serca pracowitych, zapobiegliwych chłopków ojcowskich.

I byłby Janek długo jeszcze siedział na wysokim szczycie olbrzymiej skały, radując się i ciesząc swobodą, którą w tak niezwykły sposób odzyskał, gdyby nie głód, który mu dokuczać począł, i pamięć na tych ukochanych, którzy go zapewne w wielkiem zaniepokojeniu serca szukają, drżąc z obawy, czy go coś niebezpiecznego nie spotkało.

Pan Kalasanty, Paweł, pan Bonifacy — o, oni wielce zdumieni będą, gdy Janek zdrow i uśmiechnięty przed nimi stanie. Toć oni zapewne poszukują go tam, wśród owego pamiętnego Jankowi jaru i na dnie przepaści, której otwór tak zdradliwie gęstwiną ziół i cierni jest przysłonięty, że niktby go się w tem miejscu nie spodziewał.

Chłopczyk wstał i począł szukać, czy przypadkiem nie natrafi na jakie ślady, któreby mu pozwoliły odnaleźć zejście z tego szczytu. Bo przecież tu go ów tajemniczy starzec przyniósł; a jeśli on go tu wniósł, więc zapewne jest stąd jakieś wejście i zejście na dół.

Istotnie — było, i to z tej strony skały, która była najbardziej stromą.

Janek bał się zejść sam, bez przewodnika. Po takich pochyłych, stromych odłamach schodząc, łatwo mógł stracić równowagę i spaść z wysokości co najmniej dwudziestu pięter na dół. Przytem czuł w nodze i w boku dotkliwy ból, który się wzmagał, gdy chłopczyk chciał iść lub poruszać się. Stał więc na szczycie i, wyjąwszy chustkę z kieszeni, począł nią machać w powietrzu, wzywając pomocy.

Wkrótce jakiś wyrostek spostrzegł te jego znaki i żwawo pośpieszył mu na pomoc.

Janek z radością spostrzegł, że był to ten sam chłopiec, który, gdy wraz z panem Kalasantym odbywali pierwszą wycieczkę na Chelmową górę, służył im za przewodnika.

Ten już z daleka krzyczał:

— A panicz co tu robi? Cóż to panicz nie wie, że na tę skałę tylko ten, co wśród gór się urodził, wchodzić może? Olaboga! a toć mógłby się panicz zabić na miejscu.

I, skacząc jak wiewiórka po skalistych grzbietach, śmiały chłopak dostał się nakoniec na szczyt góry. Tu, odpocząwszy chwil kilka, wziął Janka za rękę i ostrożnie, noga za nogą postępując, sprowadzał go na dół. Gdy wreszcie znaleźli się na miękkiej murawie, co jak kobierzec leżała u stóp wyniosłej skały, Janek z naj-

wyższym podziwem spostrzegł, że to była ta sama skała, kształtami postać starca przypominająca, którą podczas pierwszej wycieczki z Pawłem oglądali i u której stóp ów zagadkowy cień, od postaci Rocha Ostatniego rzucony, ukazał im się, a który najniespodziewaniej zniknął im właśnie za tym załamem, gdzie Janek obecnie stoi.

— Dziwne—szepnął chłopczyk, kręcąc głową,—jak mogłem znaleźć się w tem miejscu, kiedy wpadłem do owej ciemnej nory, tak daleko stąd leżącej. Dziwne, niewytlómaczone...

A później głośno zapytał przypatrującego mu się chłopaka:

— Mój drogi, czy w pobliżu jest tu jaka grotą?

— Jest, paniczku, tak zwana Ciemna—odparł chłopak, wskazując ręką na zarośla, po prawej stronie Prądnika leżące.

— Czy to duża grotą?

— Dość duża. Czy panicz chce tam iść?

— Nie, mój drogi, tylko tak się pytam.

— Bo ja mógłbym zaprowadzić.

— Dziękuję ci na ten raz! — rzekł głośno Janek, a w myśli dodał:

— Mam ja już dość tych grot...

Poczęli schodzić wolno po pochyłym, trawą porośniętym wzgórzu.

— Co to?.. panicza, jak widzę, noga boli? Panicz kuleje?

— Tak — odrzekł Janek — i dlatego właśnie potrzebuję twojej pomocy. O, pozwól mi się oprzeć na siebie i zaprowadź mnie teraz do domu.

— To jest dokąd?

— Do domu Wawrzyńca Kosa.

— A... to tam panicz mieszka?

— Tak.

— Dobrze, odprowadzę panicza, chociaż niema wielkiej potrzeby, bo panicz samby też trafił. O, ten dach wysoki, tamta strzecha i te dwie topólki, co je oto widać, to właśnie zagroda Kosów.



— Jednak musisz mnie tam odprowadzić — odparł Janek, gdyż coraz to większy ból czuję w nodze.

— Bo i po co tam panicz na tę skałę wchodził? Latwoby się panicz mógł być zabić. Tam i kozy nie włąza.

Janek nic nie odpowiedział pocziwemu chłopcu, nie chcąc go wtajemniczać w swe dziwne przygody, któ-

re teraz więcej snem strasznym, męczącym, niż rzeczywistością, mu się wydawały.

Niestety, silny ból w nodze i w boku aż nadto świadczył, że wszystko, co chłopak niedawno przeżył, nie snem, ani złudzeniem było, lecz najoczywistszą prawdą.

W pół godziny później Janek już był pod dachem poczciwych wieśniaków.



ROZDZIAŁ XII.

Pan Kalasanty, pan Bonifacy i Paweł nie rozpaczali długo po niezwyklej zniknięciu jasnowłosego Janka, lecz wnet zabrali się do niesienia mu jak najskuteczniejszej i jak najszybszej pomocy.

— Po drabiny!

— Po oskardy!

— Po łuczywo!—rozległy się krótkie, lecz bardzo zrozumiałe wykrzykniki.

Paweł przedewszystkiem wołał o drabiny, bo chciał jak najspieszniej spuścić się na dno jaru i do otwartej z boku jego przepaści, ażeby przekonać się, czy ukochany braciszek jego żyje jeszcze. Pan Kalasanty i pan Bonifacy skierowali się w stronę lasu, gdzie pod rozłożystym dębem stali obaj Kosowie, syn i ojciec.

Wieśniacy mieli miny wystraszone. Stary Warzyniec ponuro patrzył w ziemię.

— Moi drodzy — rzekł do starego pan Kalasanty, zbliżając się szybko i opierając dłoń na jego ramieniu, — musicie w tej chwili iść po drabiny, oskardy i łuczywo.

— Ale o ile możności szybko! — wołał Paweł. —
Chwili nie mamy do stracenia.

Wieśniacy stali pod drzewem, bynajmniej nie śpiesząc się z wypełnieniem, czego od nich żądano.

— Grzegorz! — zawołał Paweł, biorąc za rękę tego poczciwego chłopka — czy słyszycie, czego od was żądamy?

— Słyszę, paniczu — odrzekł z cicha, — ale zdaje mi się, że na nic będą nasze wysiłki.

— Dlaczego?

— Ja tam tego tak dobrze nie wiem. Niech panicz ojca się spyta.

Młodzieniec bystre spojrzenie rzucił w pooraną zmarszczkami twarz starca.

Ten niespokojnie wzrok rzucił ukośnie, jakby bojąc się, aby w jego siwych, przymglonych oczach czegoś złego nie wyczytano.

— Na Boga, proszę was, powiedzcie, dlaczego ociągacie się z niesieniem pomocy nieszczęśliwym dzieciom?

Stary poruszył się niespokojnie i ręką machnął niechętnie.

— Powiedzcie, co wiecie? — pytał dalej Paweł.

— Przecież tu chodzi o życie ludzkie! — zawołał pan Bonifacy.

— Właśnie też dlatego — mruknął stary, ciężko wdychając.

— Ten jar nie należy do bezpiecznych — dodał Grzegorz, trwożliwe spojrzenie podnosząc na Pawła.

— Jakto? co w nim zagraża?

— O, dużoby o tem mówić... — mruknął niechętnie Wawrzyniec.

— Ależ, człowieku, powiedzcie nam wszystko, wszystko! Powiedzcie tak, jakbyście przed rodzonym bratem mówili — nalegał pan Kalasanty, nie zdejmując ręki z przygnębiętego starca.

— Ja nie mam żadnego brata — odrzekł opryskliwie starzec, groźnie spojrzawszy przed siebie. — Kto mówi, że ja mam brata? Mój brat już dawno... dawno umarł.

Ten nagły zwrot w rozmowie i oburzenie się starca zwróciły uwagę przysłuchującego się z ubocza pana Bonifacego.

Uczony poprawił swe wielkie okulary i pomyślał:

— Ten starzec coś ma na sumieniu... Jakaś tajemnica rodzinna nie daje mu spokoju. Wspomnienie dawno zmarłego brata w zbyt dziwny sposób poruszyło jego duszę.

A później, zbliżając się do starożytności, zapytał nie spodzianie:

— A jakże bratu waszemu było na imię?

To niewinne zapytanie szczególnie wywarło skutek. Oto stary Wawrzyniec odskoczył gniewnie na bok i krzyknął groźnie:

— A co komu do tego!?!.. Cóż to?.. sądy, czy co?

Pan Bonifacy i pan Kalasanty znaczące zamienili z sobą spojrzenie, a Paweł zawołał porywczo:

— Jeśli nie chcecie przyjść nam z pomocą, to się obejdzimy bez niej. Ja sam pójdę do wsi i postaram się o potrzebne przybory. Pamiętajcie tylko, że tu i o wasze dziecko idzie, o waszego Grzesia...

Na wzmiankę o Grzesiu obaj wieśniacy zwrócili się do Pawła.

— Paniczu drogi! — zawołał Grzegorz, kłaniając mu się do samych kolan — ja paniczowi niebabym przy-

chylił, a dla mojego Grzesia wszystko zrobię, co panicz każe. Ja dłużej tego nie ścierpię...

— Czego?—zapytał pan Bonifacy.

— A juścić wielkiej żalości i wielkiego strachu. Bo niech jeno panowie pomyślą sobie, że w tym jarze od bardzo dawna zły duch ludzi tumani. Niedawno znaleziono tu człowieka zabitego... Śledztwo sądowe nic nie dokazało...

— Wieczorem i nocą wszyscy stronią od tego jaru — rzekł stary Wawrzyniec, mieszając się do rozmowy. — Nieraz nocą słyhać tu wrzaski i hałasy, których pochodzenie trudno wytłómaczyć sobie. Ten i ów z daleka omija to straszne miejsce...

— Mówią, że tu się nieraz ogień pokazuje — dodał z tajemniczą miną Grzegorz. — Widać silny płomień. Ja sam z początku nie wierzyłem, ale raz, pod wieczór, wracam z pola do domu i widzę, że w jarze ktoś ogień pali. Ciekawość mnie wzięła, kto mógłby na takim pustkowiu rozniecić ogień. Zbliżyłem się, podchodzę nad brzeg zarośli i, o dziwo! nikogo niema. Ogień sam się palił. Stałem ukryty może z pół godziny, ale na próżno. Noc się zbliżyła, strach mnie zdjął, zawróciłem się i prędko poszedłem do domu. Gdy był już dość daleko, to zdawało mi się, że w jarze wszczął się hałas i gwar dziwny. To też zemknąłem co sił, a w domu nic do nikogo nie mówiłem, bo baliby się przychodzić w to miejsce.

Pomimo wielkiej trwogi i niepewności o los Janka, Paweł, słysząc naiwne opowiadanie poczciwego wieśniaka o strachach w jarze, uśmiechnął się, a za nim pan Kalasanty i pan Bonifacy.

— Biedni ludzie—rzekł pan Kalasanty,—gdyby mogli chociaż na chwilę tak myśleć, jak my, nie wierzyliby

w te czeze bajdy i urojenia. Tymczasem trudno ich będzie przekonać, że żadnych strachów, upiorów, czarowników i czarownic niema na świecie, że są tylko zręczni oszuści, którzy ich łatwowierność wyzyskują.

— Ale w jakim celu?—zapytał nagle Paweł.

— Rzecz jasna, że nie w pięknym i szlachetnym, lecz w takim, który boi się dnia i oczu ludzkich.

Wtem zbliżył się Grzegorz i, całując w rękę pana Kalasantego, rzekł błagalnie:

— Przepraszam pana za moją i mojego ojca opieśzałość. Panowie dla nas chcą dobrze, a my tego zrozumieć nie chcemy. Ale dosyć już tej opieśzałości! Lecimy co sił po drabiny, oskardy i łuczywo. Za dobrą godzinę przywieziemy to wszystko nad jar.

— Bardzo dobrze, mój poczciwy Grzegorzu — zawołał Paweł. — Ja sam będę wam towarzyszył. Może się na co przydam.

— Więc kiedy Paweł idzie, Wawrzyniec może z nami zostać, radził pan Kalasanty.

— A dobrze — odparł stary, opierając się o pień wyniosłej sosny i wzrok ponury rozjaśniając nieco.

Paweł i Grzegorz szybko zniknęli w gąszczu leśnym, śpiesząc co sił po niezbędne przyrządy ratunkowe.

Chwilę patrzył za nimi pan Kalasanty, a gdy odgłos ich kroków ucichł w oddali, strapione oblicze zwrócił ku panu Bonifacemu.

Ten jednak nie stał już tam, gdzie pierwiej, lecz nachylony badał powierzchnię skał, sterczących nad jarem. Podszedł do niego pan Kalasanty.

— Jestem bardzo niespokojny — rzekł przyciszonym głosem.

Uczony ze smutkiem spojrział w twarz starca.

— Proszę spojrzeć tam, pod drzewo.

— Na starego Wawrzyńca?

— Tak.

Pan Bonifacy spojrział we wskazanym sobie kierunku i wnet pochylił się nad powierzchnią badanych przez się głązów.

— Dusza tego człowieka kryje jakąś bolesną tajemnicę... podobnie jak te oto głązy.

Mówiąc to, uderzył łaską w omszałą skałę.

— Prawda — westchnął siwy pan Kalasanty. Porównanie bardzo trafne. Bo przecież pod temi skałami, w głębi jaskini, trzy istoty cierpią. I czy tylko cierpią jeszcze? — dodał po chwili z wielką boleścią w głosie.

Tymczasem pan Bonifacy ostrożnie zbliżał się do miejsca, gdzie niedawno ów słomiany kapelus, przy czyna zguby Janka, na gałązkach dzikich tarek się kołysał.

Uczony uważnie przyglądał się każdej roślinie, każdej słonce, którą wiatr przyniósł w te miejsca. Co chwila klękał na trawie i przykładał ucho do zimnych głązów, jakby mu one miały co do powiedzenia.

Na takich drobiazgowych oględzinach jaru upłynęło już sporo czasu, zanim nakoniec uwagę uczonego zajęły dwa z przeciwnego brzegu leżące, znane nam już dziwne głązy — jeden modlącego się mnicha, a drugi spoczywającego olbrzyma przypominające.

Pan Bonifacy długo im się przypatrywał, to podnosząc na czoło swe wielkie okulary, to znowu je na nos wkładając. Wreszcie schylił się i począł badać ziarnisty piasek, którego biała smuga leżała z boku głązów, wyraźnie się odznaczając od zielonego tła bujnej roślinności, z innych stron głązy otaczającej.

Nagle podniósł się zdziwiony.

W piasku, do połowy ukryty, sterczał długi nóż o drewnianym trzonku, a dokoła niego czerwienily się ziarenka piasku, jakby je kto pomalował.

— Dziwne! — szepnął z cicha i nogą nóż przydepnął, wciskając go w piasek.

Uczył to dlatego, aby tem odkryciem nie zatrwożyć i do reszty nie zgniebić już i tak nad wszelki wyraz strapionego pana Kalasantego.

— To krew na piasku! Dziwne się tu rzeczy dzieją! — myślał, odsuwając się z przykrego miejsca.

W godzinę po swem odejściu, a około godziny trzeciej po południu, wrócili Grzegorz i Paweł, wioząc przybory, niezbędne do zapuszczania się w głąb jaskini.

Przedewszystkiem Paweł, uwiązawszy u jednego końca długiej liny dość ciężki kamień, spuścił go do ciemnego otworu, szczelnie przez gęste zwoje jeżyny i tarek zakrytego.

Zrobił to w celu przekonania się, jak długiej potrzeba będzie drabiny, ażeby dosięgła dna jaskini.

Powoli spuszczał linę, licząc mniej więcej łokciowe odstępy, które pierw kredą na niej poznaczał.

— Piętnaście, sześnaście... siedemnaście... — mówił zwolna i naraz urwał.

— Dlaczego nie liczysz dalej? — zapytał żywo pan Kalasanty, niecierpliwie śledząc ruchy liny.

— Bo nie czuję już ciężaru kamienia — odparł młodzieniec.

— Zapewne dosięgnął już dna?

— A może tylko zatrzymał się na jakim złomie skalnym?

— Nie przypuszczam tego — odezwał się pan Bonifacy.

— Teraz śmiało możemy spuścić drabinę—zawołał Grzegorz.—Ona ma więcej niż dwadzieścia łokci.

I słowa swoje w czyn wprowadzając, silny wieśniak chwycił długą, ciężką drabinę i począł ją zsuwać do ciemnej czeluści. Dzielnie mu w tem pomagał Paweł. Gdy nakoniec poczuli, że drabina oparła się na twardym gruncie, obaj uśmiechnęli się radośnie, tak, jakby wielkiej rzeczy dokonali.

— Dzięki Bogu — rzekł Grzegorz, — że dno jaskini niezbyt głęboko leży!

Jednakże pragnąc wejść po drabinie do ciemnej czeluści, natrafili na poważną trudność: otwór zbyt był ciasny, ażeby ktoś tej tuszy, co Paweł albo Grzegorz, mógł się przecisnąć do wnętrza.

Zabrano się więc do oskardów. Z jednej strony Paweł, z drugiej Grzegorz, uderzyli w twardą opokę, która pod temi uderzeniami kruszyć się zaczęła. Robota trwała już dość długo, na czoła pracowników pot kroplisty wystąpił, a tymczasem otwór jaskini niezbyt wiele się powiększał. Pomimo to, obaj pracownicy wyteżali siły, ufni, że te wysiłki uwieńczy skutek pożądany. Istotnie, po tysiącnym, a może nawet tysiącsetnym uderzeniu, twardy głaz uległ, pozwalając odłupać od swej szarej masy dość znaczną jej część, która ze zgrzytem pochyliła się i oparła o przeciwny bok czeluści, zwiężając i zagradzając wskutek tego już i tak dość ciasny otwór.

— A tośmy ładnie pomogli sobie!—zawołał Paweł z niechęcią.

— Bodajże cię!—narzekał Grzegorz, ocierając białym rękawem spocone czoło.

I stanęli, niepewni, co dalej począć.

Pan Bonifacy i pan Kalasanty chcieli ich wyręczyć i chwycili za oskardy, raźnie podnosząc je do góry. Niestety, siły ich nie podołały już dobrym chęciom; po kilkukrotnem uderzeniu w nieugiętą opokę musieli zaprzestać zbyt dla nich wyczerpującej pracy.

Po chwili odpoczynku obaj młodzi nasi znajomi znowu chwycili za oskardy, pragnąc zwyciężyć twarde glazy,—lecz nagle wstrzymał ich pan Bonifacy.

Uczony spostrzegł, że jeśli część skały, którą już odłamali, skruszą do reszty i zepchną na dno jaskini, to w takim razie kamienie te, upadając, mogą wielką szkodę wyrządzić tym, którzy przypuszczalnie znajdują się na powierzchni owego dna. Jeżeli Janek i Grześ ranni tam spoczywają, to kamienie owe, spadając, mogą trafić na nich i zabić niechybnie.

Uwaga ta wydała się zupełnie słuszną, i młodzi pracownicy od razu odrzucili oskardy, a pan Kalasanty z trwogą spoglądał na odłupany i zawieszony wśród dwóch ścian czeluści szeroki zrąb kamienny.

Na naradach i poszukiwaniach dogodniejszego miejsca w celu wykucia wejścia do jaskini zeszło sporo czasu, i gdy nareszcie Paweł i Grzegorz uradzili, ażeby zapasową albo też tylko żarzącą głównię spuścić po linie i głośno wołać po imieniu małego Grzesia i Janka, słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi. Promienie jego padały na ciemne sosny i świerki, na białe brzozy i wiotkie olszyny, strojąc je w złote prążki i zmieniając zwykłą ich odzież. Dokoła dziwnie cichy i spokojny spływał wieczór, nieznacznie cieniem i mrokiem pokrywając wszystko.

Jakiż to dziwny, rażący kontrast stanowiło z niepokojem i burzą trwogi i zwątpienia, które szarpały serca stojącej nad jarem gromadki! Pan Kalasanty ukradkiem ocierał łzę, a Paweł zżymał się gniewnie, sam nie wiedząc, co począć.

Kilka jakichś ptaków cicho poczęło krażyć nad dziwnym jarem, jakby szukając w nim na noc schronienia, lecz spostrzegłszy nieznaną sobie gromadkę ludzi, hałaśliwie pierzchnęło, kierując się w stronę ciemnego boru.

Wtem stary Wawrzyniec, który niespokojnie spoglądał dokoła, zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A toć to co takiego? Panicz Janek... albo ja śnię na jawie?..

Wszyscy spojrzeli ku lasowi i nagle poruszyli się.

Ku nim, trzymając za rękę Grzegorzową, która niosła w drugiej ręce wielki kosz jakiś, szedł Janek w swej własnej osobie.

Dla nich niezwykle ocalenie się chłopca z wnętrza jaskini było dotąd nieznanem, to też podziwowi i wykrzyknikom nie było końca.

— Cud!—wołał pan Kalasanty.

— Nadzwyczajna rzecz!—powtarzał pan Bonifacy.

— Czary! — mruczał Grzegorz, pobożnie się żegnając.

I wszyscy ściskali jasnowłosego Janka, jakby go od stu lat nie widzieli.

ROZDZIAŁ XIII.

Janek w krótkości opowiedział przygody swoje i, ściskając się ze wszystkimi, zakończył narzekaniem, gdyż noga i bok bolały go bardzo.

— Ledwie się tu dowlokłem, i to jedynie dzięki poczciwej Grzegorzowej, która mię po prostu niosła, gdym z sił opadał.

Pan Kalasanty i Paweł przy pomocy Grzegorzowej zrobili z mchu, liści i trawy dość miękkie posłanie, na którem wygodnie mógł odpocząć zmęczony chłopczyna.

Gdy oni tem byli zajęci, reszta zebranych nad jarem zastanawiała się nad niezwykłą przygodą jasnowłosego chłopca.

— A więc ten włóczęga, którego nazywacie Rochem Ostatnim, zaczyna coraz to większą otaczać się tajemniczością i niezwykłością — rzekł pan Bonifacy do starego Wawrzyńca.

— On ze złym duchem trzyma — odmruknął ponuro zabobonny wieśniak.

— To wam się tylko tak zdaje. Człowiek, szczerze wierzący w Boga, człowiek rozumny z takich bajd śmieje się tylko — tłumaczył pan Bonifacy.

— Już ja się tam przekonać nie dam! — mruknął znowu stary i ręką niechętnie dotykał końca drabiny, sterczącego nad ciemnym otworem jaskini.

Niezbyt odważny Grzegorz, słysząc słowa ojca i mając w pamięci opowiadanie małego Janka, teraz z trwogą spoglądał dokoła. Cicha noc, zapadająca nad okolicą, jeszcze większej dodawała tajemniczości temu, co słyszał i na co patrzył.

— Nie, ja nie pójdę do jaskini... za nic w świecie nie pójdę! — zawołał, usuwając się od otworu, nad którego rozszerzeniem dotąd pracował.

— A to dlaczego?—zapytał nagle Paweł.—Musicie tam pójść, bo to wasz obowiązek. Dziecka opuścić nie można.

Tymczasem pan Bonifacy zachęcał do posiłku, który poczciwa Grzegorzowa w koszu przyniosła.

Wygłodzeni wieśniacy i Paweł wzięli się do chleba i sera, krając sobie niewielkie kromki i smarując je masłem.

— Nie, nie mogę jeść—mruknął stary Wawrzyniec, odkładając na bok swój kawałek chleba.

— I ja nie mogę—dodał Grzegorz. — Pierw o dziecku muszę się czegoś dowiedzieć. Żal serce mi krwawi...

— No, jedzcie, choć kawałtka zjedzcie! — zachęcała poczciwa Grzegorzowa. — Toć przez cały dzień nic nie jedliście.

Pan Kalasanty z panem Bonifacym żywo coś rozmawiali, obchodząc dokoła dwa olbrzymie głązy.

— Mam przy sobie na wszelki wypadek —kończył rozpoczęte zdanie pan Kalasanty. I nieznacznie sięgnawszy do kieszeni, wy dobył błyszczący sześciostrzałowy rewolwer.

— Nabity?—zapytał krótko pan Bonifacy.

— Tak—odrzekł z cicha pan Kalasanty, chowając broń szybko.

Tymczasem noc gwiazdzista zapadła nad okolicą, a z nią uroczysta cisza.

Paweł i Grzegorz przygotowali pochodnie, zapewniając się, że wybornie służyć im będą w ciemnościach jaskini, do której właśnie mieli zstąpić.

Gdy wreszcie wszelkie przygotowania były ukończone, pan Kalasanty, naradziwszy się z panem Bonifacym, wydał następujące rozporządzenie:

— Ja, pan Bonifacy, Paweł i Wawrzyniec udamy się do jaskini, wy zaś, Grzegorzu, wasza żona i mały Janek czuwajcie nad otworem, gdyż prawdopodobnie pomocy waszej z zewnątrz potrzebować będziemy.

— A długo tam panowie będą? — zapytała wieśniaczka.

— Dopóki wam Grzesia nie przyprowadzimy — odparł żywo Paweł.

Dobra kobiecina, usłyszawszy tę odpowiedź, rzuciła się do rąk panu Bonifacemu i panu Kalasantemu, dziękując za ich trudy, dla jej dziecka podjęte.

— Pan Bóg to panom wynagrodzi! O, Matko Boska, cóż ja też nieszczęśliwa wycierpię!

— Uspokójcie się i bądźcie dobrej myśli! — mówił pan Bonifacy.

— Wkrótce tu powrócimy.

Paweł i Grzegorz, będąc upewnieni, że rozbitcie i zrzucenie na dół odłamu skały w otworze do jaskini nie grozi nikomu niebezpieczeństwem, chwycili za oskar dy i uderzyli nimi potężnie w twardą opokę. Głuchy

chrzęst rozległ się, następnie zgrzyt — i wielki odłam, o który chodziło, stoczył się z hukiem na dno jaskini.

— Chwała Bogu! — szepnął Grzegorz, ocierając rękawem kroplisty pot z czoła.

— Teraz wejście gotowe! — zawołał Paweł tonem, w którym niemal radość brzmiała.

— Nie masz się jeszcze czego cieszyć — rzekł pan Kalasanty. — Przypomnij-no sobie, co nam opowiadał Janek... W tej jaskini mogą nas spotkać niespodzianki...

— E! — odparł wesoło Paweł, — Jankowi wiele rzeczy zdawało się tylko. „Strach ma duże oczy“ mówi przysłowie, które wybornie w danym razie da się zastosować.

— „Nie mów *hop*, aż przeskoczysz!“ Oto masz drugie przysłowie, które również trafnie można do siebie zastosować — mówił pan Kalasanty, próbując, czy drabina silnie się trzyma i czy będzie można bezpiecznie spuścić się po niej na dno jaskini. Próba ta wypadła zadawalniająco.

— A więc... marsz naprzód! — zawołał Paweł.

Stary Wawrzyniec wziął w rękę płonącą pochodnię, na plecy zarzucił sobie dwie wiązki smolnego łuczywa i powoli zaczął schodzić w głąb ciemnego otworu, mrużąc coś niewyraźnie i ciężko wzdychając.

Za nim udał się pan Bonifacy, później Paweł z pochodnią w rękę i pękiem łuczywa na plecach, a dopiero za nim pan Kalasanty.

— Do widzenia!

— Do widzenia, Janku!

— Czekać tu na nas! — brzmiały urywane zdania zstępującego gronka do pełnej niestychanych dziwów jaskini.

Grzegorz i jego żona stali nad otworem i, pełni nadziei, że Pan Bóg pomyślnym skutkiem uwieńczy te godne największego uznania wysiłki zacnych ludzi, żegnali się pobożnie, szepcząc słowa modlitwy Pańskiej.

— Niech Bóg pomaga!

— Do śmierci wdzięczni państwu będziemy! — mówili za znikającymi w ciemnym otworze odważnymi ludźmi.

Wtem cofnęli się nagle, bo z otworu, nad którym stali, buchnęły jakby z komina kłęby gryzącego dymu.

Zaslonili oczy, które nagle łzami im zasłyły, i krztusząc się, śpiesznie odsunęli się na stronę.

— Olaboga! — spluwając, zawołał, Grzegorz.

— Co za obrzydliwy dym! — narzekał Janek, który właśnie chciał zbliżyć się do drabiny.

— W imię Ojca i Syna! — żegnała się z podziwem wielkim Grzegorzowa, fartuchem ocierając załzawione oczy.

Zaraz też w czarnym otworze zamigotało znowu światło i wśród ciemnych kłębow dymu ukazał się najpierw pan Kalasanty, za nim Paweł, a na końcu pan Bonifacy. Oczywiście było, że uciekali przed nieznośnym dymem.

— Pfe! — spluwał Paweł. — Gryzie oczy i dusi, drapie w gardle!

— Szkaradzeństwo! — narzekał pan Bonifacy.

— Mało brakowało, a byłbym się udusił — mówił pan Kalasanty.

I wszyscy usuwali się na stronę, opuszczając śpiesznie szczeble drabiny.

Krztusząc się, spluwając, wyrzekając głośno i wciągając w płuca czyste powietrze, znajomi nasi nie wiedzieli na razie, co i jak się z nimi stało.

— A gdzie Wawrzyniec? — zapytał Paweł, który najpierw spostrzegł nieobecność starego wieśniaka.

— A, to prawda! — zawołała Grzegorzowa; — ojca niema... Tatusiu! tatusiu! — zaczęła nawoływać, usiłując zajrzeć do wnętrza jaskini, lecz wydobywający się wciąż dym gryzący powstrzymał ją od tego.

— Uspokójcie się! wróci jeszcze! — zaczął Paweł.

— Czy jeno wróci? Może się dymem zadusili? — narzekała kobieta

— Ależ... nie martwcie się przed czasem. Zobaczycie, że wróci — perswadował dalej Paweł, ocierając chustką oczy.

Tymczasem chwila za chwilą upływała, a stary Wawrzyniec nie wracał. Za to dym coraz to ciemniejszy i coraz bardziej gryzący rozchodził się po jarze.

Teraz nie było najmniejszej wątpliwości, że czyjaś złośliwa ręka roznieciła na dnie jaskini ognisko i, rzucając w nie gałęzie jałowcowe, sosnowe i świerkowe, postanowiła za pomocą dymu nie dopuścić do tajemniczego wnętrza tych kilku śmiałych ludzi, którzy pragnęli nieść pomoc zaginionemu Grzesiowi.

Ale co ją skłaniało do tego? Gdzie należało szukać przyczyny tak niezwykle dziwnego i zarazem śmiałego postępowania?

Na razie nikt z obecnych nie umiał sobie na to odpowiedzieć. Zacerwienione od dymu oczy i okopcone twarze aż nadto przekonywały, że to, co się stało, nie było urojeniem, lecz rzeczywistością.

To też Paweł przygnębiony był nad wszelką wyraz. Teraz nie mógł utrzymać, że to, o czym opowiadał Janek, mogło być przesadnym, przez wyobraźnię chłopczyny powiększonym. O, nie! teraz on sam czuje się poruszonym do głębi duszy i do tego stopnia zaniepokojonym, że traci zwykłą sobie trzeźwość rozumowania.

— Jeśli to zbójcy chronią się na dnie tych podziemi, to cóż im przyjdzie z tak wątłego chłopczyny, jak mały Grześ? Jeśli nie zbójcy, to tem bardziej niewiadomo, co o całej tej sprawie mniemać...

Myśli, co jak błyskawica uderzały Pawła, nagle przerwał głośny okrzyk pana Bonifacego.

Uczony znajdował się koło owych dwóch znanych nam już dziwacznych głazów, postaci ludzkie przypominających, i ręką wskazywał coś, co właśnie tak wielkie zdziwienie w nim obudziło.

Wszyscy zwrócili się w tę stronę, lecz nic tam nie spostrzegli takiego, co mogłoby zwrócić ich uwagę.

Dopiero pan Kalasanty porwał się z miejsca i, biorąc Pawła za rękę, rzekł:

— Patrz; czy widzisz, że tu z tego piasku dym się wydobywa?

Paweł spojrział we wskazanym sobie kierunku i rzeczywiście spostrzegł niezwykle zjawisko.

Oto z bielejącej przy blasku gwiazd powierzchni piasku, tuż u podnóża owych dziwnych głazów, unosiły się wązkie pasemka siwego dymu. Pasemka te po dokładniejszym przyjrzeniu się tworzyły dość wielki czworobok.

— Jest to w tem samym miejscu, gdzie niedawno ów nóż widziałem — myślał pan Bonifacy, a głośno dodał:

— Piasek palić się nie może...

— To prawda—odezwał się Grzegorz.

— Ale pod piaskiem palić można — wtrąciła się do rozmowy Grzegorzowa.

— To też z największą pewnością utrzymuję, że trafiliśmy na nowy otwór, do jaskini wiodący—tłomaczył z wielkim ożywieniem się pan Bonifacy.

— Na nowy otwór? — powtórzył pytająco Paweł.

— I to nie na taki, naturalny, jak pierwszy, lecz sztuczny, ręką ludzką zrobiony.

I wszyscy, gorączkowo zaniepokojeni, poczęli odgrzehywać miękką piaszczystą powierzchnię.

Ktoby ich teraz był widział, jak chciwie rozgarniali piasek u stóp dwóch głazów, w fantastyczne kształty ręką natury przybranych, ten bezwarunkowo wziąłby ich za poszukiwaczy skarbów ukrytych, posądziłby ich, że to chciwość nimi rządzi i że w tym białym piasku znaleźli właśnie złoto lub drogie kamienie.

ROZDZIAŁ XIV.

— Drzwi!

— Drzwi w tem miejscu!

— Czuję je pod ręką.

— To nie do uwierzenia!

— Że tak jest, wszyscy możemy się o tem przekonać.

I rzeczywiście wkrótce wszyscy przekonali się, że w miejscu, z którego ów dziwny dym się wydobywał, pod cienką warstwą piasku znajdowały się mocne drzwi, z desek zbite, tak ciężkie, że ich od razu ani pan Kalasanty, ani Grzegorz podnieść nie mogli.

I nie tylko z tego względu, że ciężkie były, nie zostały od razu podniesione, lecz i z tej przyczyny, że wszyscy, ujrzawszy je, w podziwiewielkim stanęli, spoglądając po sobie wzrokiem pełnym niepewności, ciekawości i zakłopotania.

Kilka nietoperzy, zapewne dymem z kryjówek swoich wypłoszonych, zerwało się nagle w powietrze i z piskiem kręciło się ponad głowami zadziwionego grona. Pisk tych nocnych stworzeń wielce niemiłe sprawiał wrażenie.

Jeden tylko pan Bonifacy zdawał się być uradowanym z tej piskliwej zgrai nocnych zwierzątek, gdyż cmoknął na nie i z cicha mruknął:

— Piękne okazy! Szerokość skrzydeł niezwykła. Tylko w tej okolicy podobne nietoperze znajdują.

Ale nikt na to zainteresowanie się zapalonego badacza przyrody nie zwrócił uwagi,—tak wszyscy z obecnych zajęci byli niezwykłym wypadkiem znalezienia drzwi w tem ustronnem miejscu.

Pierwszy pan Bonifacy przerwał ogólne milczenie, zwracając się do Pawła:

— Mój drogi, i cóż ty myślisz o tem?

Młodzieniec z niecierpliwością przygryzł wargi.

— Myślę, że raz nakoniec trzeba się dowiedzieć, co o tem wszystkim sądzić. Wreszcie obowiązkiem naszym jest natychmiast nieść pomoc zaginionemu Grzesiowi i staremu Wawrzyńcowi, który zapewne leży na dnie jaskini, przez dym obezwładniony.

— A jeśli to jaskinia zbójców — ciągnął dalej pan Bonifacy, — to cō poczniemy, gdy sami wejdziemy im w paszczę? To trzeba rozważyć.

— Tak, rozważyć nie zawadzi — odezwał się pan Kalasanty, —lecz zdaje mi się, że co do zbójców przypuszczenie było zbyt nieprawdopodobne. W tej okolicy wiedzianoby cōś o tem.

— A więc jesteśmy wobec jakiegoś zaczarowanego podziemnego państwa, do którego wpuścić nas nie chcą, gdyż za pomocą dymu dość niegościnnie dają nam poznać, iż jesteśmy tam zbyt liczni — mówił Paweł i nogą silnie w ciemne deski, z których drzwi się składały, raz i drugi uderzył.

Głuchy łoskot rozległ się zaraz, co dowodziło, że tam, pod temi dziwnemi drzwiami, leżały obszerne podziemia.

— Ho! ho! jak się rozlega! — zauważył Grzegorz, który, mając umysł obalamucony klechdami o czarownicach i czarownikach, nie na żarty bał się i z wielkim niepokojem spoglądał na ciemne drzwi, zasłaniające wejście.

Grzegorzowa i Janek stali tuż za nim i niespokojnie śledzili wyraz twarzy pana Kalasantego.

Starzec wahał się, co uczynić. Znać było, że dwie siły wewnętrzne nim miotają: jedna doradza ópuszczenie tego pełnego nadzwyczajności miejsca, —druga żąda pozostania na niem i zbadania wszystkiego, a przede-wszystkiem niesienia pomocy tym dwóm nieszczęśliwym, którzy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, na dnie jaskini pomocy z zewnątrz wzywają.

Chwilę ta walka wewnętrzna toczy się, wreszcie widać, że zwycięstwo przeważyło się na stronę niesienia pomocy bliźnim. Pan Kalasanty już nie waha się, lecz, podobnie jak Paweł, daje hasło do wspólnego podważenia ciężkich drzwi.

— Olaboga! Matko Boska, módl się za nami! — zaczęła Grzegorzowa, widząc, jak naraz, ulegając naporowi, tajemnicze drzwi poruszyły się, jak niemile zaskrzyphiały, jak piasek pod nimi zatrzeszczał, jak nagle uniosły się i wreszcie odpadły na drugą stronę.

Ciemny otwór dał się widzieć, jakby czeluść przepaści jakiejś, ponury, cichy, do grobu podobny. Lekki dym wydobywał się z niego i unosił ku górze.

— Światła!—zawołał na pobożnie żegnającego się Grzegorza Paweł, zbliżając się tuż nad sam brzeg ciemnego otworu.

— Zapalcie luczywo!—rozkazywał pan Kalasanty.

— O, jakże się boję! — szeptała, nie wiedząc, co z sobą począć, Grzegorzowa.

— Przecież ja tam byłem w tem podziemiu, a nie mi się złego nie stało! — uspokajał ją jasnowłosy Janek.

— I panicz to nazywa niczem, że o mało co nie umarł tam z przestrawu! — odrzekła kobieta, ukradkiem ocierając łzami zaszele oczy.—O, moje dziecko, mój Grześ kochany! Co też to z nim, biedaczkiem, zrobiło się? gdzie to on, mój drogi sokół, obraca się? Czy jeno żyje mi jeszcze?

Narzekając tak, pocziwa kobieta zapalała pochodnię, którą następnie oddała panu Bonifacemu.

Już też i Paweł trzymał w ręku jasno płonące luczywo i odważnie, schyliwszy się nad samym brzegiem ciemnego otworu, zajrzał doń, przyświecając sobie. Z drugiej strony to samo uczynił pan Kalasanty.

— Cóż? co tam widzicie? — pytał ich ciekawie pan Bonifacy, który nawet o niezwykłych nietoperzach zapomniał: tak go znowu żywo zajęła sprawa poszukiwań zaginionego chłopczyzny.

— Są... są!—zawołał Paweł.

— I to dość wygodne—dodał pan Kalasanty.

— Ale co takiego?—pytał uczony.

— Schody—odrzekł pan Kalasanty.

— Jakieś bardzo dawne... od wieków może nie uczęszczane—dodał Paweł.

— Od wieków? — powtórzył z powątpiewaniem uczony.—To nie do uwierzenia!

— Proszę się przekonać.

— Ja zaraz schodzę po nich do wnętrza tego podziemia! — mówił Paweł, który znowu rozgorzał nieprzewyciężoną chęcią zbadania tych miejsc niezwykłych.

— Zaraz... ja pójdę przy tobie—dodał pan Kalasanty, prostując się i sięgając do kieszeni, gdzie miał rewolwer.

— Na wszelki wypadek to nie zawadzi — myślał, wstępując w ślady odważnego młodzieńca.

Za tą parą udali się Grzegorz z panem Bonifacym, a Janek i Grzegorzowa mieli czuwać nad ciemnym otworem i w razie potrzeby nieść poszukującym pomoc z zewnątrz.

Trzymając w ręku rżęsiście palące się pochodnie, odważna gromadka w ciszy wstępowała w mroczne podziemie, które najzupełniej przypominało owe sławne grobowce i podziemne miejsca modlitw pierwszych chrześcijan, katakumbami zwane.

Wnet cisza taka otoczyła wstępujących, że slyszeli własny oddech i swe ciche, ostrożne stąpanie.

Pan Kalasanty zabronił rozmowy, radząc tylko wzrok i słuch mieć w natężeniu.

Szli tak już dość długo, a nie nadzwyczajnego nie ujrzeni, ani nie uslyszeli. Schody, po których stąpali, były wielce nierówne, w ziemi czarnej wryte, miejscami zupełnie zniszczone, tak, że trzeba było z największą ostrożnością zsuwać się po spadzistym gruncie. Przy blasku czterech pochodni, dobrze rozpalonych, widać było z jednej strony ciemną gładką ścianę, której kilkakrotnie pan Kalasanty ręką dotykał, ucho do niej przykładał i głową w milczeniu kiwał.

Naraz Paweł, idący przodem, zatrzymał się, a za nim i reszta współtowarzyszy.

Najwyraźniej gdzieś z głębi jaskini płynęły urywane tony rzewnej, smętnej piosenki.

Melodyi ani słów rozróżnić nie można było, gdyż głos co chwila rwał się, jakby go wichler porywał, lub też zupełnie milkł i znowu najniespodzianie odzywał się, przerywając ponurą, jakby ołowianą ciszę tych niemiłych podziemi.

Zasłuchani, nie mając chęci poruszyć się z miejsca, stali nasi znajomi, łowiąc uchem każdą wyraźniejszą nutkę owej melodyi.

Nagle tuż z pod stóp ich z hałasem wielkim porwała się jakieś straszdyło i, wprost w jasno płonąca pochodnię Pawła uderzywszy, wytrąciło mu ją z ręki i z szumem znikło w ciemności.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — szepnął Grzegorz.

— A to co?—półgłosem zawołał pan Kalasanty.

Lecz zaledwie dokończył tego zdania, gdy i jego podobna jak Pawła spotkała niespodzianka, z tą jednak różnicą, że nagle dwa wielkie straszdyła rzuciły się na niego, a właściwie na jego pochodnię.

Nie puścił jej jednak dzielny starzec, tylko cofnął się ku panu Bonifacemu.

— Uciekajmy!—zawołał Grzegorz. — Olaboga, co się dzieje!

— Cicho!—uspokajał go pan Bonifacy, chwytając za ramię.

Usiłował on przyjrzeć się dziwnym straszdyłom, ale z powodu ciemności nie było to tak łatwem.

Tymczasem popłoch nastał ogólny, bo naraz ze wszystkich stron dał się słyszeć hałas i szum, jakby olbrzymie stado ptactwa zerwało się do lotu.

— Ja nie wytrzymam... ja uciekam!..—wołał Grzegorz; lecz pomimo to trzymał się gromadki, opierając się plecami o gładką powierzchnię jednej ze ścian podziemia.

Tymczasem Paweł podniósł już swoją pochodnię i żwawo postąpił ku owym straszdyłom, unoszącym się w powietrzu ponad głowami śmiałków, którzy odważyli się zamącić ich spokój podziemny.

Przy nim stał pan Bonifacy i śmiał się głośno.

— *Vespertilio murinus!*—zawołał.

— Co to znaczy?—zapytał Paweł.

— To znaczy, mój chłopcze... — Nie dokończył, gdyż nagle z ogromnym piskiem rzuciły się na niego trzy owe straszdyła skrzydlate i szeroki kapeluszyk zrzuciły mu z głowy.

— Wybornie! doskonale!—mruzczał uczony, schylając się, aby podnieść zrzucone tak niespodzianie nakrycie głowy.

— Olaboga!.. a to co takiego? — zawołał nagle Grzegorz.

Stał on, oparty o ścianę podziemia, gdy nagle poczuł, że na niej poruszyła się czarna jakaś plama, następnie oderwała się z hałasem i, niby skrzydłami, uderzywszy go czemś po nosie, wzbila się w górę z piskiem, który był do kociego miauczenia podobny.

Patrzą więc na to nasi znajomi z podziwem, aliści nowa taka sama czarna plama odrywa się i, machnąwszy raz, dwa w powietrzu, piszczy, jak opętana.

— Złe się dzieje, panowie! Ja jeszcze, jakom żyw, czegoś podobnego nie widziałem! — woła Grzegorz, a pan Kalasanty i Paweł wzruszają z podziwem ramionami.

Tymczasem pan Bonifacy śmieje się i ręce zaciera.

— Nieoceniona wycieczka! — szepce;— prawdziwe skarby dla przyrodnika!

I, gdy owe straszdyła i latające plamy, ze ścian groty się odrywające, nie dają spokoju jego towarzyszom, on spokojnie prawi:

— Już dawno chciałem zwiedzić taką jaskinię, gdzie gnieźdzą się podobnie wielkie straszdyła. Ależ, moi drodzy, nie sądźcie, że tu coś nadzwyczajnego się dzieje. Te, jak złe duchy koło naszych pochodni kręcące się stworzenia to nietoperze. Gatunek ich znam, chociaż przyznaję, że takich wspaniałych okazów, jak w tej grocie znajduję, nie widziałem jeszcze. Cieszymy się więc, bo to bardzo rzadkie widowisko. Tyłu i tak wielkich okazów sławnego gatunku *Vespertilio murinus* może nie ujrzymy już drugi raz w naszym życiu.

— A, niech je tam licho porwie! — mruknął Paweł.—Już ja wolałbym się był obejść bez takiej przyjemności.

— Istna zgraja potępieńców! — rzekł półgłosem pan Kalasanty, a Grzegorz, pomimo tłumaczeń uczonego przyrodnika, z niedowierzaniem cofał się od ściany, z której co chwila nowe plamy się odrywały i ulatywały w powietrze.

— Jest to zwyczajem tych nietoperzy—mówił dalej pan Bonifacy, — że w ten sposób żyją w podobnych podziemiach, przyczepione do wilgotnych ścian gro-

madkami, co z daleka wydaje się jakby ciemną różnokształtną plamą.

— Ja widziałem już różne nietoperze — mówił Grzegorz, — ale takie, jak te, to dopiero pierwszy raz w życiu oglądam.

— Bo się też one zrećnie chowają i tylko w małym lub zupełnie niedostępnym jaskiniach przebywają — odparł pan Bonifacy.

I, nie zważając już na piski i hałas coraz to większej czeready nietoperzy, gromadka nasza poczęła w dalszym ciągu zstępować w głąb jaskini.

ROZDZIAŁ XV.

Przygoda z nietoperzami nie miała złych następstw dla naszej gromadki, poświęcającej się w celu odszukania starego Wawrzyńca i biednego małego Grzesia,— owszem, miała nawet tę dobrą stronę, że pozwalała wnosić, iż w jaskini nie było ani zbójców, ani żadnej innej żywej istoty, bo w takim razie nietoperze byłyby wcześniej spłoszyły się i wcześniej, tak jak obecnie, krążyłyby z wielkim piskiem i hałasem w wilgotnym powietrzu podziemia.

— Nie; jaskinia jest pusta, zupełnie pusta — powiada Paweł, a pan Kalasanty potwierdza to przypuszczenie.

— A jednak tak nie jest—odzywa się pan Bonifacy,—bo skądże się wziął dym, ten nieznośny, dokuczliwy dym, który i teraz czuje, bo cienkimi warstwami unosi się ku górze?

— Istotnie, ten dym daje wiele, bardzo wiele do myślenia.

— Przecież musiał ktoś jałowiec zapalić—powiada Grzegorz,—bo dym taki nie z innego pochodzi paliwa.

— A więc wybornie!—zawołał Paweł. — Pójdźmy właśnie w tę stronę, skąd dym się wydobywa. Będzie to pierwsze zbadanie tajemnic, któremi się tak cała ta miejscowość osłania.

— A jeśli nas ów dym zadusi? — rzekł Grzegorz z odcieniem trwogi w głosie.

— E! przecież dotychczas nic nam się jeszcze nie stało! — odrzekł napół żartobliwie Paweł. — Co do mnie, odwagi mi nie brakuje.

Mówiąc to, wysunął się na czoło śmiałej gromadki i szybko podążył w kierunku, skąd płynął ów dym gładzący.

Przy dość silnem, chociaż migotliwem świetle pochodni widać było białe jak kreda ściany groty, gdzie-niegdzie tylko nieco przyciemnione, jakby przydymione. Dokładnie na razie nie można było rozpoznać ani kierunku, w którym się ciągnęła grota, ani wielkości jej sal, korytarzy i wgłębień, ani określić wysokości sklepienia, pod którym piskliwe stada wielkiego gatunku nietoperzy nieznośnie wyprawiały harce.

Wtem krocząca na przód gromadkę nagle powstrzymało owo dziwne, tyle w sobie uroku i niebiańskiej słodyczy mające śpiewanie. Byłże to głos ludzki, czy też może omanienie zmysłów, wywołane w niepojęty sposób?

Jak promienie wiosennego słońca, tak wnikało owo nadziemskie śpiewanie w serca zasluchanej gromadki, a gdy nagle ucichło, jakby na czyjś rozkaz tajemniczy, tak starsi jak i młodszy uczestnicy podziemnej wyprawy nie mogli ochłonąć z wielkiego zachwytu i zdumienia.

— Nadziemski, niewysłowionego uroku śpiew! Tak chyba Aniołowie Niebios przed tronem Wiekuistego hy-

mny pokoju i dziękczynienia nuca!—szeptał pan Kalasanty, a wzruszeni towarzysze jego stali nieruchomie, jakby jeszcze spodziewając się i pragnąc usłyszeć to uroczę, melodyjne śpiewanie.

— Dziw nad dziwy!—szeptał Grzegorz.

— Cudowny śpiew!—dodał Paweł.

— Tak złe duchy chyba nie śpiewają? — rzekł z uśmiechem pan Bonifacy, zwracając się do zabobonnego Grzegorza.

— Juźcić, że nie—odparł żywo wieśniak.—Tak jeno Anieli Matce Przenajświętszej nuca.

— A więc się teraz nie obawiacie tych podziemi?—zapytał Paweł.

— Mój paniczku, ja się jeno o moje dziecko, o mojego Grzesia boję. Gdzie on, biedaczek, w tem podziemiu przebywa? co robi? O, Matko Boska, wspierajże nas!

Śpiew znowu dał się słyszeć, lecz znacznie cichszy, dalszy, stłumiony. Jednocześnie dało się słyszeć kilka silnych uderzeń jakby oskardem o twardą groty powierzchni.

Pan Bonifacy zaraz przykląkł na oba kolana i ucho do wilgotnego dna jaskini przyłożył.

— Co pan słyszy?—pytał go Paweł.

— Teraz nic... lecz zdawało mi się, iż w oddali ktoś po jaskini chodzi; stapanie ciężkie słyszałem, a przedtem owe uderzenia.

— A może to ojciec?—zawołał Grzegorz.

— To wielce prawdopodobne — dodał pan Kalasanty. — Stary Wawrzyniec mógł zabłądzić w tym labiryncie. Zawołajmy go po imieniu...

Jeszcze pan Kalasanty nie skończył rozpoczętego zdania, gdy Grzegorz huknął z całych sił:

— Ojciec! u-ha! my tu!

Echo poniosło to wołanie, przekręcając je i jakby przedrżniając. Ze ścian groty nagle porwały się większe stada nietoperzy, i naraz większy niż dotąd pisk napelnił podziemia.

— W której stronie słyhać było stapanie?—zapytał nagle Paweł.

— W prawej, w głębi podziemia — odrzekł pan Bonifacy, który właśnie powstawał z ziemi.

— Idziemy w tym kierunku! — zadecydował pan Kalasanty.

Gromadka poprawiła światło swych pochodni i śmiało krokiem szybkim posunęła się przed siebie.

Szli ciągle na dół, i to po tak spadzistym gruncie, że trzeba było zręcznie się powstrzymywać, ażeby nie upaść i nie stoczyć się,—lecz gdzie? może w przepaść...

Nagle zatrzymali się.

— Ściana! — rzekł Paweł. — A lśni się, jak alabaster...

— Ani kroku na przód już się nie posuniemy!—dodał Grzegorz.

Zwrócili się więc wszyscy na prawo, ale zaledwie uszli kilkanaście kroków, gdy pod nogami niemiły chrzęst usłyszeli.

— Kamienie, czy kości? — zapytał krótko Paweł i schylił się.

To samo uczynił pan Bonifacy, prędko podnosząc wielką kość, ciężką i całą stalakmitową cieczą oblaną.

— O... o!...—dziwił się uczony.—A to niespodzianka! Czyżby to kości zwierząt przedhistorycznych?

I pochylił się skwapliwie, i rękami podejmował jedną po drugiej te wielkie i małe kości, jedyne świadectwa, że niegdyś w tych jaskiniach przebywały istoty żywe.

— To chyba szczątki niedźwiedzia jaskiniowego—mówił sam do siebie;—oblane masą stalakmitową, przeleżały tu od lat tysięcy. Dziś już niema na powierzchni ziemi takich zwierząt. W najbliższym czasie muszę dokładnie zwiedzić tę jaskinię. Spodziewam się, że znajdę tu i szczątki mamuta.

Krzyk przerażenia przerwał te głośnie rozmyślenia uczonego. To znowu Grzegorz czego się przestraszył.

— Czaszka! — rzekł Paweł, tłómacząc przyczynę przestraszenia.

I, mówiąc to, wskazał na stosie kości rzeczywiście ludzką czaszkę, ciemnymi otworami, gdzie niegdyś błyszczały oczy, groźnie spoglądającą na śmiałków, którzy odważyli się naruszyć jej spokój.

— Olaboga! cofnijmy się stąd!—doradzał wieśniak.

— To najlepsza rada—dodał pan Bonifacy, —bo, jak widzę, trafiliśmy na zbiorowisko kości ludzkich i zwierzęcych, które doprowadziłyby nas do bardzo smutnych rozmyślań i wniosków.

— Tu zapewne, w tej jaskini, przed morowem powietrzem lub wojną ludność szukała ocalenia i gromadnie ginęła... może z głodu, może od szponów dzikiego zwierza, a może od chorób strasznych—mówił pan Kalasanty, a pan Bonifacy skinieniem głowy potwierdził to przypuszczenie.

Szybko więc nasza gromadka odsunęła się od tych, przykre wrażenie sprawiających szczątków, które nale-

żały niegdyś do istot, obdarzonych życiem. Według rady pana Bonifacego, skierowano się na prawo.

Tu zaraz dał się uczuć silniejszy prąd dymu, wynuwanego się, jak sine wstęgi, z głębi dość ciasnego korytarza.

Przez korytarz ten, ręką natury wydrążony, szybko przesuwali się nasi znajomi, podziwiając śnieżną białość jego ścian i wznoszącego się w fantastycznych zgięciach sklepienia.

— Ach! mnie się zdaje, że jestem w zaczarowanym pałacu jakiegoś podziemnego bóstwa—mówił siwy pan Kalasanty, patrząc na koronki stalakmitowych nacieków, pokrywających cały ten piękny korytarz.

— Dokąd on nas prowadzi?—zapytał Paweł.

— Chyba do jakiejś wędzarni! — odrzekł z uśmiechem pan Bonifacy, chowając w kieszeni swego szerokiego surduta jedną z kości, zabraną ze zbiorowiska, która wydawała mu się najciekawszą.

— Jakto... do wędzarni?—zapytał Paweł.

— Bo dym już nam na dobre dokuca.

Rzeczywiście coraz to silniejszy ból dał się uczuć w oczach i w gardle śmiało na przód podążającej gromadki. Ból ten sprawiał ów dym nieznośny.

— Kto tam tak pali? — pytał mruklawie Grzegorz, a pytanie to przygnębiająco odbiło się na otoczeniu.

Tylko w oczach Pawła błysnął promyk wielkiego ożywienia.

— To on—pomyślał młodzieniec, — to ten dziwny starzec, zwany Rochem Ostatnim, pali owo ognisko; to on broni nam przystępu. Czyżby tu, w tych wilgotnych

ponurych podziemiach, wieczną ciemnością osłoniętych, miał on jaki skarb, godny takiej obrony i takiego przed okiem ludzkim ukrywania? Ale na koniec uchylimy rąbek tajemniczej zasłony, którą się tak zrećnie otacza; na koniec dowiemy się, kim jest i czego tak broni. Wieść ludowa niesie, że skarbów ukrytych pilnuje; to są bajki, w wyobraźni prostaczków powstałe. Lecz cóż skłania tego starca do tego, co czyni?.. czegoż on chce?.. do czego dąży?..

Pytania te, które sam sobie młodzieniec zadawał i żadną miarą odpowiedzi dostatecznej na nie znaleźć nie mógł, przerwało echo dalekiej piosenki, tej samej przedziwnej, niebiańskiej piosenki.

— A to kto tak nuci? Czyżże to głos, piękniejszy, niż słowika wiosenne melodye, niewypowiedzianą błogością napelnia te ponure, odwieczną ciszą i odwiecznymi mroki owładnięte podziemia? Czyżby to znowu on, ten o śnieżnej brodzie starzec tak nucił, pragnąc rozzerwać się, skrócić nudę, w której wiedzie swój żywot podziemny? Nie, to nie podobna; Paweł nigdy temu by nie uwierzył. A może Grześ mały? I to nie, chociaż dość prawdopodobne. Lecz cierpliwości!.. wszystko wkrótce wyjaśnić się musi. Tajemnicza zasłona opadnie... Paweł aż nadto czuje w sobie odwagi, ażeby ją podnieść, a nawet, jeśli tego przyjdzie potrzeba, rozdrzeć, zerwać i raz na zawsze pozbawić tego dziwnego uroku tajemniczości. On to uczyni; chociażby inni zatrzymali się w połowie drogi, on pójdzie dalej.

On musi zbadać to, co nawet na poważne czoła jego starszych, doświadczonych towarzyszy cień i zmarszczkę zadumy wywołuje.

Tymczasem dym coraz to boleśniej gryzie oczy, szczypie w gardle; całe fale przybývają go z przeciwnego końca śnieżno-białego korytarza, jakby do walki z tem szczupłem lecz odważnem gronem poświęcających się osób, które tu tak śmiało wtargnęły.

Tak, to walka... Ktoś broni im przystępu.
Lecz kto?...

ROZDZIAŁ XVI.

Piękny korytarz, alabastrową białością lśniący, kończył się właśnie, gdy Paweł, silnie będąc wzruszony, postępował wciąż na przód, mając obok siebie pana Bonifacego. Grunt, po którym stąpali, znowu zaczął być spadzisty i wiódł do nowej jakiejś, bardzo obszernej pieczary.

— Światło!—zawołał Paweł,—o, tam, w górze!

Istotnie ponad głowami naszej gromadki świecił snop światła.

— Ależ to ognisko, i to dość wielkie!

— Co za przykry dym stamtąd rozchodzi się po grocie! — narzekał pan Kalasanty, przykładając białą chustkę do ust i oczu.

— Tam to przyczyna powstania tego zagadkowego dymu—mówił pan Bonifacy, wpatrując się w migotliwe płomyki ogniska.

— Jeno kto je tam pali?—zauważył Grzegorz, trwożliwie kurcząc ramiona.

— Kto?—podchwycił żywo Paweł.—Z pewnością człowiek, taki, jak i my, z ciała i kości złożony. Dzięki Bogu, że wkrótce przekonam się o tem.

I młodzieniec, przyświecając sobie jasno płonąca pochodnią, rzucił się na przód z ogromną pewnością siebie i odwagą.

Ale zaledwie kilkanaście kroków posunął się, przystanął i zawołał napół radośnie:

— A, oto nasza drabina!..

— Drabina?—zapytali chórem współtowarzysze.

— Tak. Lecz dziwna rzecz, bo leży na ziemi...

— Czy tak? — pytał pan Kalasanty, zbliżając się do Pawła.

— Istotnie tak. Jest to sprawka tej samej tajemniczej ręki, która tam, w górze, pali obecnie światło—mówił Paweł.

— A więc, jeśli drabina tu leży—przerwał mu pan Bonifacy, — to najoczywiściej, że ponad nami znajduje się otwór do tej groty, i to ten, któryśmy wspólnymi siłami powiększyli.

— Co tu liścia! jak tu miętko! — mruczał Paweł, chodząc dokoła naradzających się współtowarzyszy.

— Bogu Przedwiecznemu niech będą dzięki za te liście, widocznie przez szczelinę tutaj opadłe, bo one to uratowały życie mojemu Grzesiowi!—mówił nieszczęśliwy wieśniak.

— I naszemu Jankowi!—dodał Paweł.

Rzeczywiście ta miętkka powierzchnia przez podmuchy wichrów z zewnątrz zasypanej liśćmi jaskini stała się w tej chwili dla naszej gromadki bardzo miłą. Gdyby nie to miętkkie z liści zeschniętych i mchów posłanie, Grześ i Janek leżeliby tu zakrwawieni, ranni, a może bez życia...

Te myśli krążą po głowie Pawła, który spogląda to w głąb, to szuka śladów na zeszlými liściami pokrytej powierzchni.

Przecież tu, przy tej drabinie, musiał znajdować się stary Wawrzyniec; jeśli omdlał, to bezwarunkowo musi gdzieś niedaleko stąd leżeć.

Ponad głowami przez szczelinę grotty widać bladoniebieskie, zaledwie dla oka pochwytnie, przezrocyste smugi, a w nich jakby drogie kamienie, jakby brylanty, jakby topazy i rubiny błyszczą migotliwie.

Te kamienie—to gwiazdy, a te smugi—to pogodne przezrocza niebios.

Jaki tam piękny wieczór letni otula i do snu kołyszże dolinę Ojcowa! A tymczasem tu, w tych podziemiach, co za ciemność, co za dym, którego kłęby, jak zmory z bajek ludowych, duszą skupioną do siebie i żywo naradzającą się gromadkę.

— Mam, znalazłem! Teraz rzecz cała się wyświetli!—wołał Paweł.

— Co takiego?—pytał pan Kalasanty.

— Ślady stóp ludzkich. O, proszę patrzeć!

Mówiąc to, młodzieniec pochylił pochodnię, przy której świetle można było się przekonać, że istotnie niedawno ktoś chodził po jaskini.

— Tak, to ślady stóp ludzkich — rzekł pan Bonifacy.

— I nic dziwnego—odezwał się Grzegorz,—to mój ojciec tu chodził. Przecież w ziemię się nie zapadł... On musi być gdzieś w pobliżu.

— W pobliżu?—powtórzył pytająco Paweł.—A czemuż się w takim razie nie odzywa? czemu się z nami

nie łączy? Przecież światło w tych ciemnościach łatwo spostrzedz i głosy nasze daleko słyhać.

Zamiast odpowiedzi wszyscy poczeli kręcić się po olbrzymiej grocie w nadziei, że albo odnajdą starego Wawrzyńca, albo natrafiają na wyraźniejsze ślady, w którą stronę grotty się udał.

Poszukiwania te dobry skutek uwieńczyły, gdyż przekonano się, że stary Wawrzyniec udał się w górę podziemia, tam, gdzie owo tajemnicze ognisko błyszczało. Tak pokazywały głębokie ślady na pokrytej miękkimi liściami powierzchni grotty.

To też gromadka nasza jednomyślnie udała się w tym kierunku.

Z początku łatwo było posuwać się na przód, gdyż ślad był wyraźny,—wkrótce jednak miękka posciółka liści skończyła się i po dawnemu zaczęła się twarda, skalista, pełna nierówności powierzchnia, po której z trudnością stapać było można.

— A to droga! można nogi połamać!—narzekał Grzegorz, który był bez obuwia.

— To nic! byleby nas tylko do jakichkolwiek, pomyslniejszych, niż dotąd, rezultatów doprowadziła!—oderzekł pan Bonifacy.

— Przedewszystkiem trzeba zagasić to niezdolne ognisko!—zawołał Paweł.—Dym dokucza nam nie do wytrzymania...

— Jednakże to bardzo dziwne, gdzie stary Wawrzyniec się podział — mówił pan Bonifacy; — że nie zemdlał, to rzecz najoczywistsza.

— I że naszego światła oraz głosów nie słyszy, że z nami dotąd nie połączył się, to nie mniej dziwne!—dodał pan Kalasanty.

— Może go złoczyńcy uprowadzili? — rzekł smutnie Paweł.

— To niepodobna. Gdyby tu była większa banda złoczyńców, wiedzianoby o tem. Przytem... coby im przyszło z wyprowadzenia Janka na najwyższy szczyt skał Ojcowskich, i to wyprowadzenia w tak dziwny sposób?.. Nie, tu banda zbójców nie miałaby racyi bytu—tłómaczył pan Kalasanty.

— Może to jej kryjówki?

— I to nie. Zbyt dobrze znane są te okolice z zupełnego pod tym względem bezpieczeństwa.

— Jednakże... te drzwi tajemne, któreśmy odkryli?..

— A ten nóż?..—pomyślał pan Bonifacy, lecz głośno nic nie powiedział, nie chcąc do istniejących już dorzucać nowych wątpliwości.

Tymczasem dym stawał się tak gęstym, że tamował oddech, kąsał oczy, nie pozwalając patrzeć swobodnie.

— To przekłete ognisko—zawołał Paweł—trzeba nakoniec zagasić! Jeśli tak dalej pójdzie, możemy się tutaj podusić.

I szybko zdążał śmiały młodzieniec tam, gdzie migotały krwawe płomyki ognia.

Lecz, dziwna rzecz, wszędy drogę tamowały niewzruszone śnieżno-białe ściany olbrzymiej groty. Najwidoczniej w pobliżu znajduje się jakiś wązki korytarz, przez który można się będzie dostać na ową wyniosłość, gdzie rozpalono ognisko.

Po dość długich poszukiwaniach natrafiono wreszcie na niewielki otwór, uderzające mający podobieństwo do wązkiej i niskich drzwi, które w starych zam-

czyskach średniowiecznych do baszt i podziemnych więzień robiono.

Bez szelestu, ostrożnie, wsunął się w ów otwór Paweł, zniżając ku ziemi jasno płonąca pochodnię. Zaraz na wstępie spostrzegł schody, podobne do tych, po których dostali się byli do tej tajemniczej groty. Schody te wiodły na dół, co wielce zadziwiło młodzieńca i postępującą za nim gromadkę starszych towarzyszków. W milczeniu poczęli schodzić po nich w ciemną, przesyconą wilgocią głąb, której zapewne od dawna nie odwiedzały istoty ludzkie. Kilka nietoperzy znowu porwało się w górę i z piskiem rozbiegło gdzieś bardzo wysoko. Schody wciąż wiodły na dół, coraz to szerszą zajmując przestrzeń. Nagle kierunek ich zmienił się na prawo i jednocześnie dały się słyszeć potężne uderzenia kilofa górniczego.

— Tu ktoś pracuje!—szepnął Paweł.

— Ciszej! na Boga, ciszej! — odrzekł pan Kalasanty.

I nie tylko uderzenia potężne słyhać było, lecz i światło w dali krwawo błyszczało. Wkrótce przekonano się, że wydostaje się ono przez wązką szczelinę, utworzoną w jednej ze ścian groty. Paweł szybko spojrział w oświetloną przestrzeń.

— To on... to Roch Ostatni! — szepnął zaraz, nie mogąc powstrzymać silnego wzruszenia, bo nagle zdało mu się, że tam, w migotliwych promieniach tego w dali błyszczącego światła, ujrzał długą brodę i wysoką, zgiętą postać tajemniczego starca.

— Tak, Paweł ma słusność; wzrok go nie mylił. Tam, za tą ścianą, z kilofem w dłoni pracuje on... Roch Ostatni.

Dziwna to praca i dziwny pracownik. Paweł, choć ma wiele w sobie odwagi i śmiałości, jednak waha się, czy zagłębić się w szeroką szczelinę i iść na przód, ażeby obecnością swą przerwać tę niepojętą pracę. A jednak trzeba iść, trzeba raz zajrzeć w oczy temu starcowi i zapytać go, co zaczyna i dlaczego chroni się przed okiem ludzkim.

Wtem dłoń czyjaś spoczęła na ramieniu młodzieńca. Paweł wzdrygnął się.

— To ja, paniczu — rzekł z cicha Grzegorz. — Czy panicz widzi, że przy Rochu stoi jeszcze inna jakaś postać?

Zamiast odpowiedzi, Paweł szybko posunął się na przód, trzymając się jednej z białych ścian ciasnej szczeliny.

Istotnie, teraz spostrzegł, że obok tajemniczego starca siedzi na wielkim złomie kamiennym jakiś człowiek w wieśniaczej siermiędze.

Ostrożnie, na palcach, ażeby nie spłoszyć tych dwóch niezwykłych ludzi, Paweł posuwał się na przód, a za nim już na dobre przerażony Grzegorz. Lecz wkrótce zatrzymali się, bo dalej nie można się było posunąć; szczelina była zbyt wązka.

Zgasili więc światło swych pochodni, jako zbyt cenne, i z wielką ciekawością wpatrywali się w niezwykły obraz dwóch tajemniczych pracowników.

Teraz nie było najmniejszej wątpliwości, że ów zgarbiony starzec to Roch, ów dziwny Roch. Lecz któż mu towarzyszy? Oblicza tego drugiego człowieka rozpoznać nie można, bo właśnie siedzi z boku ogniska, tak, że światło na twarz jego nie pada.

— Ci... cho!.. sza! — szepnął Paweł do zbliżających się swych starszych towarzyszy, ciekawie przez szczelinę w głąb' oświetlonej groty zagląających.

— Cicho!.. Oni o czemś rozmawiają — odezwał się przytłumionym głosem pan Kalasanty.

— Umieram z ciekawości — odrzekł Paweł i wsunął głowę, o ile się dało, najdalej w głąb' otworu.

Wyraźnie słychać było dwa głosy: jeden był przytłumiony, bezdźwięczny, nad wyraz monotony, — drugi pełen porywu, raz gniewny, to znowu jakby błagalny, proszący.

Z początku nie można było zrozumieć, o czem właściwie ci dwaj ludzie pośród tej niedostępnej pieczary rozmawiali, — po chwili jednak wyraźnie słyszeć się dało:

— Precz mi z przed oczu!.. nie dręcz mnie już!.. Jam tu sam... tu wszystko jest moje. Powietrzem, którem ja oddycham, żadna pierś ludzka jeszcze nie oddychała; ziemi, po której ja stąkam, stopa człowieka nie dotknęła. Ja sto lat tu przebywam, czy słyszysz? Nie zakłócaj mojego spokoju! Ja tu nikogo nie słucham; mnie tu nikt rozkazywać nie może, bo tu jest tylko wielka cisza, ciemność odwieczna i skarby... skarby tak wielkie, że blask ich zaćmiłby blask księżyca, gwiazd i słońca...

Głos ucichł nagle, jakby przerwany, a natomiast rozległy się potężne uderzenia kilofa o powierzchnię podziemia.

Uderzenia te niezwykłe czyniły wrażenie; zdawało się, że ziemia jęczy pod niemi, że echo prze-drzeźnia je, a nietoperze wysoko gdzieś płaczą i łkają nad niemi.

— Od stu lat, czy słyszysz?.. od stu lat nikt nie przeszkodził mi w pracy. Ileż to razy przez ten czas uderzyłem w tę powierzchnię! ile razy błysły mi przed oczyma skarby, których dotąd żadne jeszcze, prócz moich, śmiertelne nie oglądały oczy! Sto lat! Ileż to razy w tym czasie tam, u was, na ziemi, weszło i zaszło słońce! ileż razy zima pokryła białym całunem pola i łąki! ileż razy burza, piorunami zbrojna, przerażała wasze serca! A ja... ja?.. Ja jestem tu panem wszystkiego. W podziemiach, których obszaru nikt jeszcze nie wymierzył, ja napawam się ciszą, spokojem i skarbami... skarbami, o których wy ani pojęcia nie macie. Śniegi, pioruny, huragany do mego państwa przystępu nie mają. Tu nic nie umiera, nic nie powstaje, nic się nie zmienia, niczego się nie żaluje. Tu niema śmierci ani życia; tu jestem tylko ja, moje skarby, ciemność i cisza taka, że serce czuć przestaje, a myśl każda unicestwia się.

— Biedny waryat! — szepnął pan Kalasanty, gdy głos umilkł, a uderzenia kilofa znowu się rozległy.

— Nie tylko biedny, lecz i niezwykły! — dodał Paweł.

I znowu słuchali, bo drugi głos dał się słyszeć. Był to głos silny, na którego dźwięk Grzegorz drgnął.

— To ojciec mówi! — szepnął, chwytając pana Kalasantego za rękę i podnosząc ją do ust.

— Jakto, Wawrzyniec? — zapytał z niedowierzaniem Paweł.

— O, mój panie drogi! — mówił poczciwy Grzegorz, całując w rękę pana Kalasantego, — pójdźmy, odejźmy stąd, bo ja się czegoś okropnie boję... Ja sam już nie wiem, co się ze mną robi.

Staruszek, jak mógł, uspokoił niezbyt odważnego chłopka i dalej słuchał owej podziemnej pogadanki, której nie można byłoby uczynić zarzutu, że jest mało zajmująca.

Drugi głos, właśnie ten, w którym Grzegorz rozpoznawał dźwięk mowy swego ojca, rozległ się po grocie, łamany i porywany przez echo, zagłuszany przez jednostajne, niezmordowane uderzenia kilofa, którym jakby maszyna z nieporównaną siłą władał olbrzymi starzec.

Ten drugi głos mówił:

— Straciłem nadzieję. Bóg widzi, że sam sobie winieneś. Nieszczęście twoje wielkie!..

— Patrz!.. czy widzisz złoto? To złoto prawdziwe. A czy myślisz, że go tu mało znaleźć można? Ale... co ja tobie o tem mówię! Ha! ha! ha! Precz stąd, ty tchórze, ty głupcze!

Olbrzymi starzec w ten sposób przemawiał do siedzącego na kamiennym złomie człowieka i pokazywał mu nogą wielkie bryły ziemi i kamieni, nazywając je złotem.

— Biedny szaleniec! — szepnął znowu pan Kalasanty, a pan Bonifacy dodał:

— Tak, on nie ma zdrowych zmysłów, lecz to, co mówi, nie pozbawione jest w pewnej części prawdy. W miejscowości tutejszej i w okolicy znajdowały się i znajdują do dziś jeszcze kopalnie. Ten dziwny starzec coraz bardziej mnie zaciekawia.

— I ja toż samo wyznaję — odezwał się znowu pan Kalasanty.

Mowę jego przerwał znowu monotony, bezdźwięczny głos starca:

— Cóż wy tam, na ziemi, wiecie? Nic. Tam wszystko za was robi słońce; ono na wiosnę wszystko ożywia, wszystkiemu barwę i siłę daje. Co innego w moich podziemiach; tu niema słońca, tu nie zagładają gwiazdy, ani księżycy promienie. Za to w ciemnych tych głębinach błyszczą skarby, które każdy z was, przebywających na ziemi, pragnąłby choć raz jeden na własne oczy oglądać. Wy o tych skarbach pojęcia nie macie. Ja szukam ich ciągle, szukam bez odpoczynku. A ile to już lat uderzenia mego kilofa rozlegają się wśród ścian tego podziemia! O, te lata! Jakie one długie... jakie długie! Tu je przeżyłem... sam jeden, sam. Pokażcie mi pałace, które mogłyby się równać z tym moim podziemnym pałacem. Ja tu mam mieszkanie, godne królów. Lecz czego chcecie tutaj, po co tu przychodzicie? Czyż wam się sprzykrzyło słońce, gwiazdy i księżycy łagodne światło? A może zapragnęliście skarbów, które ja w tych podziemiach znalazłem, których dotąd jeszcze szukam? No, odpowiedz ty!.. mów!.. Czegoż tak milczysz?.. Wiem, o, ja wiem: ty chcesz zabrać skarby, które ja, przez sto lat pracując, ze skał, twardych jak stal, wydobyłem!.. chcesz zabrać to, co ja, stary górnik olkuski, z takim mazołem, w pocie krwawym, tym mrocznym jaskiniom wydarłem?.. Lecz nigdy! Jeszcze ta dłoń ciężkim kilofem jak piórkiem włada. Dalej, mów: dlaczego nachodzisz moje podziemia? Jeśli tak milczeć będziesz, rozbiję ci głowę, jak oto ten gład rozbijam.

I starzec silnym uderzeniem potężnego kilofa rozkruszył najbliższy kamień, który leżał tuż przy nieruchomie z głową opuszczoną siedzącym człowieku, w wielkim smutku pogrążonym.

Paweł drgnął.

— Ten starzec straszny jest!—wyszeptał.

Wtem znowu dał się słyszeć bezdzwięczny głos:

— Dlaczego wkradłeś się tu przemocą? Czy nie wiesz, że tu tylko duchy i ja przemieszkujemy? Skarby chcesz mi wydrzeć? O, nigdy, bo ja potrafię jednym uderzeniem rozbić ci głowę...

Paweł i stojący za nim zapanowali oddech w piersi, bo straszny starzec nagle ruchem szybkim wznosił olbrzymi, ciężki kilof nad głowę w milczeniu siedzącej postaci i krzyknął głosem, który mógł skały przerazić:

— Giń!..

Lecz w tejże chwili owa w milczeniu siedząca postać uniosła się z miejsca i, rozłożywszy ręce, jakby tego, kto śmierć jej niósł, uściśnąć chciała, rzekła głosem, pełnym żalu i wielkiego bólu:

— O, bracie!.. mój biedny bracie!

I stała się rzecz nadzwyczajna.

Potężny starzec, do ducha podziemi podobny, nagle odrzucił poza siebie ciężki kilof i stanął nieruchomie, wzrok swój topiąc w źrenicach tego, który go bratem nazywał.

Stał tak chwilę, i widać było, że zaczyna drzeć ze wzruszenia, że łza jak perła zabłysła mu na rzesach, że stoczyła się po bladych policzkach na długą, białą, aż do pasa spływającą brodę.

Nic nie mówił, lecz blade usta drżały mu, i wychudzone żyłaste ręce w górę się wznosiły, jakby w podziwie i na powitanie czegoś, co z Niebios spływać się zdawało.

— Bracie mój!.. o, mój biedny bracie!—dało się znowu słyszeć wołanie, w którym przyglądający się tej

scenie Paweł i jego towarzysze głos starego Wawrzyńca poznali.

— To ojciec!—szepnął Grzegorz.

— Tak, to on!—potwierdził Paweł.

— Bracie mój nieszczęśliwy... obłąkany!..— znowu bolesne wołanie słyszeć się dało.

Siwobrody zgięty starzec, słysząc to wołanie, drżał cały. Niewyraźnie coś mówił, szeptał, ręce przed siebie wyciągał, jakby niemi chciał pochwycić i przycisnąć do piersi tego, co również z wyciągniętymi ramiony stał przed nim.

Wreszcie łkanie i płacz rozległ się wielki, jakby od bardzo dawna tłumiony, i jednocześnie obaj starcy rzucili się sobie w objęcia.

Długo tak pozostawali. I nic nie było słyhać, tylko ciche, urywane łkanie i ciche, radosne głosy:

— Bracie!..

— Mój biedny bracie!..

ROZDZIAŁ XVII.

Ten uścisk niespodziewany dwóch starców, te wykrzykniki: „Bracie!.. mój biedny bracie!..“, ta nagła zmiana, jaka zaszła w ich postępowaniu, zadziwiła mimowolnych świadków tej sceny, ukrytych w ciasnej szczelinie. Stali z zapartym w piersi oddechem, bojąc się najmniejszym poruszeniem w czemkolwiek bądź zakłócić ciszę, która nagle zapanowała w ponurem, krwawymi płomymi ogniska oświetlonem podziemiu.

Tymczasem ci dwaj starcy, łkając i jakieś urywane powtarzając słowa, wpatrywali się w siebie, jakby po bardzo dawnem niewidzeniu się, po ciężkiej dla serc rozłączone znowu mogli połączyć swe dłonie w braterskim, nierozzerwalnym uścisku.

— Przebaczysz?.. Na Matkę Przenajświętszą, na cudowny jej Obraz Częstochowski zaklinam cię, przebacz!..—mówił błagalnie starzec, w którym Paweł głos starego Wawrzyńca poznawał.

— Ciężki, grzeszny mój żywot!.. wiecznie sam, wiecznie w ciemnościach podziemia!.. O, bracie mój—odpowiadał głos zgarbionego stuletniego starca, —może to ostatni raz przed śmiercią widzę cię i żalę się przed tobą.

I dlaczego skrzywdziłeś mnie... ty, któremu tak ufałem... ty, brat mój jedyny? Czy ty pamiętasz matkę naszą... ojca?..

Głos nagle urwał się, i widać było, jak obaj starcy znowu padli sobie w ramiona, jak w braterskim uścisku zapominali o krzywdach, które sobie wyrządzili. I jakież to były krzywdy?..

Wtem naraz, jakby na skinienie niewidzialnej wieszczki, ozwała się cudowna melodia, ta sama, jakby nie z tego pochodząca świata, którą już raz słyszeli w tych podziemiach Paweł i jego starsi towarzysze. Była jednakże wielka różnica między temi melodjami. Ta, która obecnie srebrnymi dźwiękami napelniała ponurą jaskinię, była wyraźniejsza, bardziej upajająca, bliższa i jeszcze piękniejsza, niż tamta, co brzmiała cicho, niepewnie, jakby z pod ziemi.

— Śpiew!.. znowu uroczy śpiew słyhać!—szepnęła Paweł; lecz pan Bonifacy i Kalasanty zasłonili mu ręką usta, nakazując milczenie.

W piosence, przez niewidzialną osobę nuconej, brzmiała wielka tęsknota, wielka rzewność.

— Bracie, wróć do nas!..—dał się znowu słyszeć silny głos, który natychmiast ucichł, gdyż jednocześnie rozległ się śmiech niemily, taki, jaki jedynie wydawać może obłąkany lub bardzo nieszczęśliwy, a po nim ogłuszający huk napelnił podziemia, huk, do wystrzału armatniego podobny.

Jednocześnie zagasło krwawe światło ogniska, dym gęsty rozszedł się dokoła, i kilka nietoperzy z przeraźliwym piskiem wpadło w szczelinę, gdzie napół struchleli z przerażenia stali nasi znajomi.

— Sen-li to, czy jawa? — pytał, chwytając się za głowę, Paweł.

— Wielki Boże! — wołał pan Bonifacy, — tam ktoś jęczy!

— To głos mojego ojca!—odezwał się Grzegorz.

— Na pomoc tam śpieszmy!—wołał Paweł.

I, schwyciwszy rozpaloną pochodnię, śmiało wysunął się z ciasnej szczeliny w głąb groty, gdzie niedawno jeszcze odbywała się scena owego tajemniczego pojeźdnania.

Po kilkunastu krokach Paweł natrafił na leżącego na ziemi człowieka, który, jak martwy, nie dawał znaku życia.

Młodzieniec szybko uniósł światło pochodni nad leżącym i, oświetlając twarz jego, zawołał:

— To Wawrzyniec!.. Ach, cóż mu się stało!

Zaraz też zbliżyli się do Pawła pan Kalasanty i jego obaj towarzysze.

— Ojciec mój! — zawołał Grzegorz.—To oni... tatuś!—wołał, chwytając starca za rękę.

— Nie żyją!—zawołał po chwili.—Roch Ostatni ich zabił!

I wieśniak zaczął rozpaczać, lecz wnet pocieszył go pan Bonifacy, upewniając, że stary Wawrzyniec tylko zemdał.

Tak, życiu Wawrzyńca nie groziło niebezpieczeństwo. Starzec, wzruszony ostatnią sceną i przerażony hukiem, upadł na ziemię bez zmysłów, sam nie wiedząc, co się z nim stało. Na ciele jego nie widać było najmniejszych ran ani skaleczeń.

Pan Kalasanty i pan Bonifacy z jednej strony, a Grzegorz i Paweł z drugiej unieśli go z ziemi i wygo-

dnie posadzili na szerokim kamiennym złomie, podpierając go ze wszystkich stron. Starzec przychodził do siebie, oddychając z trudem, jakby po ciężkiej pracy.

— Tatusiu!—odezwał się Grzegorz,—co wam to?..

Starzec rozwarł powoli powieki i, ujrawszy koło siebie życzliwe mu grono osób, na chwilę rozjaśnił chmurne czoło.

— Bóg zapłać! Niech Pan Jezus wynagrodzi za pomoc!—mruzczał z cicha.

Wszyscy w milczeniu wysłuchali tych pierwszych słów odzyskującego przytomność wieśniaka, ciesząc się, że istotnie żadnego szwanku na ciele nie odniósł.

— Przez chwilę milczenie panowało w ponurem podziemiu, gdyż nikt nie życzył sobie zapytywać o cośkolwiek przynębionego nad wszelki wyraz i zmęczonego starca. Wtem on sam przerwał tę ciszę:

— Jeszcze raz powiadam: niech Pan Jezus wynagrodzi panom, że mnie, ubogiemu chłopkowi, taką pomoc niesiecie! Gdyby nie wasza pomoc, Bogu jedynemu wiadomo, leżałbym bez życia na dnie tego podziemia. Dziwne rzeczy dzieją się na świecie... mówię, że tak dziwne, iż rozum ludzki na nic się tu nie przyda. Prawda jeno jest wieczna i niezmienna; prawda zawsze na wierzch wypłynie...

Tu stary Wawrzyniec chwycił za rękę klęczącego przy nim Grzegorza i poprawił się na swem kamiennem siedzeniu. Oddychał ciężko, lecz widać było, że silny jego organizm przenosi wszystko, że znowu do pierwotnej siły przychodzi. Już teraz starzec o własnych siłach siedzi i ręką siwe włosy z boków twarzy odgarnia. Wzrok jego niespokojnie błyszczy z pod brwi nastrożonych, ręce drżą z lekka.

— To, co zapewne panowie słyszeli tutaj, to, co ten waryat, zwany Rochem Ostatnim, do mnie mówił, nie może zawierać w sobie ani odrobiny prawdy!.. to są brednie!—zaczął stary Wawrzyniec, spoglądając ponuro w twarz Pawła i pana Kalasantego.

— Więc ten starzec obłąkany nie jest waszym bratem?—zapytał pan Bonifacy.

Wawrzyniec rękę do czoła przyłożył, a później niechętnie nią machnął.

— Et, brednie plótl! przybłęda jakiś... włóczęga! — odrzekł, zapalając się gniewem.

Tu umilkł nagle, ściągając brwi groźnie.

Wtem Paweł wskazał ręką do góry, i wnet wszyscy, nie wyłączając nawet starego Wawrzyńca, wydali okrzyk zdumienia.

W powietrzu, tam, gdzie błyszczało owo ognisko, do którego początkowo dążyli nasi znajomi, ażeby je zagasić, w smudze migotliwego światła stał tajemniczy starzec, Roch Ostatni, wsparty na olbrzymim kilofie. Długa siwa broda spływała mu na piersi, a tuż obok niego stała para kóz, białych jak śnieg, a nieruchomych tak, jakby z kamienia wyrzeźbione były.

— W powietrzu się unosi czarownik! — wołał wystraszony Grzegorz.

— Na złomie stoi—tlómaczył pan Bonifacy.

Wtem stary Wawrzyniec podniósł się i, ciężko dysząc, zawołał:

— Czego ty chcesz? powiedz!.. Nie męcz mnie już!

Na wołanie to dał się słyszeć zaraz monotony, bezdźwięczny głos starca:

— Ja chcę, ażebyś zaraz opuścił te podziemia. Zabrałeś mi ojcowiznę, a teraz skarby chcesz zabrać? Nie!

Jam pan w tych lochach... Ja nie wypuszcę cię stąd! Nie zapieraj się, żem ja nie twoim bratem... O, ty wiesz, że oba jedną matkę i jednego mieliśmy ojca... Dalej... wyznaj prawdę!

Stary Wawrzyniec nagle zaczął płakać. Najwidoczniej głos i widok siwowłosego, przez wiek pochylonego starca wzruszał jego twarde serce, z oczu łzy wyciskał.

Naraz znowu dała się słyszeć owa piękna, nadziemską melodia, która tyle czaru miała w sobie, że wszyscysej kochając poczuli błogość w sercu.

Brzmiała tak blisko, że zdawało się, iż istota, która ją nuci, bezwarunkowo tylko o kilkanaście kroków gdzieś w głębi jaskini znajduje się, że za chwilę ukaże się oczom słuchaczy. Na dźwięk tej piosenki odwrócił się nagle starzec, stojący w górze, i jak widmo znikł, gasząc ognisko.

Widać nie życzył sobie, ażeby istotę, która tak pięknie śpiewa, jakiegokolwiek inne, nie jego oglądały oczy.

Lecz Paweł nagle zerwał się i pobiegł w głąb ciemnicy.

Porywczego usposobienia młodzieniec nie mógł już dłużej biernie przypatrywać się temu, co się w jaskini działo, i postanowił ścigać Rocha Ostatniego, zerwać raz śmiałą ręką tajemniczą zasłonę, którą się ten starzec otaczał.

Biegł szybko, a później, gdy grunt, po którym stąpał, ku górze prowadzić zaczął, chwycił rękami za chropowate ściany groty i wspinał się, wyężdżając siły i co chwila nad słuchując, czy nie odezwie się znowu owa nadziemsko-piękna melodia.

Lecz na próżno: głucha cisza panuje dokoła.

Nagle huk wielki rozległ się, taki sam, jaki niedawno po rozmowie Rocha Ostatniego ze starym Wawrzyniecem wstrząsnął grotą i przeraził ukrytych w szczelinie skalnej dobrych naszych znajomych.

Teraz Paweł rozpoznał, że huk ten pochodził od uderzenia wielkiej bryły kamiennej o twardą powierzchnię groty. Ktoś z wysokości rzucił wielki kamień na dół, i stąd ten huk ogłuszający, przez echo wśród korytarzy i kryjówek groty stokrotnie powtarzany.

Tak myślał Paweł i był pewny, że się nie mylił.

Wtem znowu rozległ się ów huk straszny, lecz tak blisko śmiałego młodzieńca, że ten mimowolnie cofnął się o kilka kroków, jednocześnie podnosząc w górę pochodnię, ażeby jak największą przestrzeń oświetlić nią przed sobą.

Istotnie, domysły Pawła były prawdziwe. Ogromny kamień toczył się po spadzistym gruncie, nieco skośnie od miejsca, na którym stał młodzieniec, zdziwiony, przerażony, nie mogąc sobie zdać sprawy, czy istota, która rzuciła ten głaz, co jak potwór toczy się na dół jaskini, godziła w niego, czy też było to rzeczą przypadku.

Chyba stało się to przypadkowo, bo w przeciwnym razie ten, co rzucał, postarałby się być zręczniejszym, nie trudziłby się nadaremnie. W każdym razie Paweł nie ulegnie; przecież nie tylko w celu zdemaskowania niepojętą tajemniczością okrywającego się starca zagłębia się w te straszne nory, lecz i w celu, godnym każdego szlachetniejszego serca, bo w celu niesienia pomocy biednemu zaginionemu Grzesiowi.

To chłopię, takie miłe, takie ukochane przez swych rodziców, ma-ż zginać marnie w tych ciemnych grotach, zawrotnym labiryntem ciągnących się pod uroczą doliną

Ojcowa? Nie, Paweł nigdy nie zgodzi się z tą myślą; dopóki tylko sił mu starczy, szukać będzie i nieść pomoc temu chłopcyźnie, chociażby to bardzo drogo przyplacić trzeba było. Poświęcić się dla szczęścia bliźnich było zawsze marzeniem każdego wznioślejszego umysłu i lepszego serca,—Paweł zaś miał takie serce i umysł. Przytem odwaga była znamiennym rysem jego charakteru. To też nie lęka się groźnych pocisków, przez niewidzialną rękę najoczywiściej przeciw niemu, skierowanych, lecz stara się zasłonić od nich, postępując ze zgaszoną pochodnią tuż przy samej ścianie ciasnego korytarza, w który nagle wkroczył. Idzie szybko, biegnie prawie i, choć wilgotne powietrze podziemia chłodnem jest, czuje, że pot spływa mu z czoła.

Wtem znowu w dali odezwały się pełne przedziwnej melodyi tony. Paweł mimowoli przystanął, bo zdawało mu się, że urocze tony piosenki tuż ponad głową jego płynęły. Wtem wznosił w podziwiew wielkim obie ręce do oczu, jakby chciał się przekonać, czy ma je w czole, czy nie zawodzą go. Widać było, że jak oczarowany stoi w miejscu i patrzy na coś, od czego nie tak łatwo wzrok odjąć.

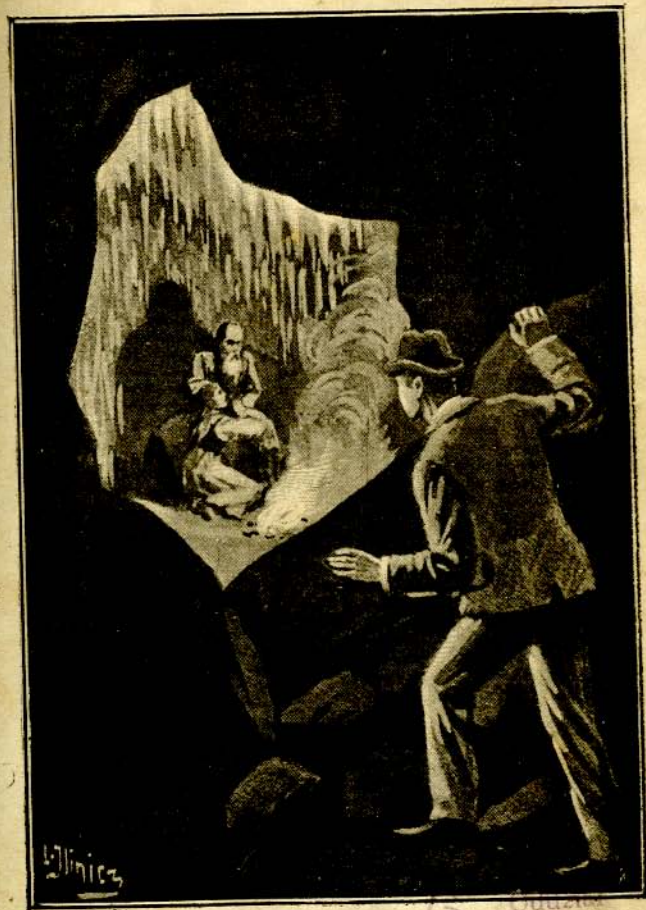
— Boże! czy to sen?..

I znowu, ręce nad czołem trzymając, patrzy przed siebie, ku górze, i znowu szepce:

— Nie, ja nie marzę... to rzeczywistość!

I cóż takiego ujrzał odważny młodzieniec, że zwykłą sobie dzielność utracił, że najzupełniej zapanowało nad nim uczucie wielkiego, obezwładniającego zdziwienia?

Oto widzi on, jak w baśni ludowej, kryształowy pokój, śnieżno-biały, płonącym ogniskiem jasno oświetlo-



— Boże! czy to sen?..



ny, a po środku niego na kamiennem wzniesieniu siedzi siwowłosy starzec, ten sam, którego zwano Rochem Ostatnim, i w jednej ręce trzyma ciężki żelazny kilof, podpierając się nim, a drugą głaszcze u stóp swych klęczącą jasnowłosą dziewczkę.

Właśnie Pawłowi zdaje się, że niegdyś widział już taką przeczysto-błądą twarzyczkę dziewczęcia, okoloną jasnymi włosami, jakby aureolą, i rozjaśnioną pełnemi smutku oczyma.

Widział już taką twarzyczkę i teraz wie, kiedy i gdzie: oto na obrazku w książeczce do nabożeństwa, którą mu matka ofiarowała. Była to kopia sławnego obrazu Św. Cecylii. Tak, też same rysy i ta sama dobroć w na pół rozwartych żrenicach.

Po zwiędłych, poźółkłych policzkach starca lzy płyną. Ręka jego, ciemnymi żyłami pokryta, spracowana i drżąca, głaszcze jasne włosy klęczącego dziewczęcia.

Młodzieniec dech zaparł w piersi, bo zdaje mu się, że dziwne te ~~dwie~~ postacie—siwowłosego starca i klęczącego dziewczęcia—coś mówią. Słysząc szepc, urywane słowa, westchnienia i ciche łkanie. Tak, Paweł słyszy kilkakrotnie powtarzane:

— Halinko!.. słyszysz, Halinko?..

A potem:

— Nie... Bóg nas nie opuści...

Te ostatnie słowa dźwięczą smutnie, lecz nie obco. Paweł słyszał już ten głos; to ten sam, który srebrnymi tony piosenki rozbrzmiewał niedawno w ponurych korytarzach i kryjówkach podziemia.

— Ty nie wiesz jeszcze, co to śmierć, Halinko? — dał się słyszeć smutny głos starca.

— Śmierć, ojcze?—powtórzył srebrzysty, lecz cichy głos dziewczątka.

— I nie wiesz, co życie...

— Życie, mój ojcze?

— Halinko moja, poznasz ludzi...

— Ludzi?

— A gdy ich poznasz, poznasz śmierć i życie...

— Mój ojcze, ja nie wiem, co ci się stało!

— Stało się to, że czuję, iż wkrótce nie będą cię głaskały moje wychudłe ręce, i uderzenia mego kilofa zamilkną w tych podziemiach.

— Więc co się stanie?

— Zniknę dla ciebie, Halinko, tak, jak znika ten oto ostatni płomyk dopalającego się luczywa.

— Ty, ojcze, tak znikniesz? Ja nic nie widzę; ja tylko czuję twoje ręce, takie chłodne...

— Nie widzisz, nic nie widzisz, Halinko?

— Nie, ojcze... tylko głos twój i ręce twoje drogie czuje.

— Biedna Halinko... dziecino moja!.. ty nic nie widzisz?

— A co to znaczy „widzieć“?

Starzec westchnął i, pochyliwszy się nad jasną główką dziewczeczki, pocałował ją w czoło, smutnie spoglądając w jej nieruchome na pół rozchylone oczy.

— Moje biedactwo!—szepnął.

Paweł, do głębi duszy przejęty tą sceną, stał oparty o ścianę grotu i czuł, że mało brakuje, ażeby i w jego oczach lzy zabłysły,—czuł, że ten starzec siwowłosej cierpi i że cierpienie to, jako szczere i wielkie, udziela się i jego sercu.

Starzec znów mówił głosem bezdźwięcznym, przytłumionym:

— Tu ludzie przyjdą, Halinko... Ty ich nie znasz, dziecinko droga; lecz poznasz, bo oni cię zabrają.

— Zabiorą, ojcze?.. I któż oni?

— Do mnie i do ciebie podobni.

— Mój ojcze!

— Ale to lepiej, bo i ja czuję, że odejść muszę. Tyle lat, tyle trudów przeżyłem! Czas mi do Boga... przed Jego majestat...

— O, mój ojcze!

— A teraz, Halinko, uważnie słuchaj, bo to, co usłyszysz, będzie dla ciebie wszystkim, co ci zostawię po sobie: Ty nie jesteś mojem dzieckiem... powinnaś to sobie zapamiętać, lecz jesteś dzieckiem mojego syna jedyne, Andrzeja Kosa...

Tu głos starca scichł i zadrzał pod siłą wewnętrznego wzruszenia.

— Syn mój jedyne, dzielny górnik olkuski, wraz z żoną zginął z niepojętego wyroku Boga śmiercią okrutną. Straszna to była noc... noc śmierci jego i jego żony, a po części i mojej śmierci... bo odtąd umysł mój nie jest takim, jak dawniej. Przychodzą na mnie chwile, że nie wiem, co się ze mną robi; że zdaje mi się, iż jestem jedynym posiadaczem wszystkich tych podziemi, co od Olkusza, Będzina do Ojcowca się ciągną; że skarby, które niegdyś z tych bogatych kopalń dobywano, do mnie należą, są moją własnością; że więcej ich znajdę, niż niegdyś znajdowano... Halinko moja! słuchaj mnie pilnie, dziecino! Straszna to była noc... ciemna... burzliwa!.. W kopalniach olkuskich pracowało nas kilkunastu starych górników. Ja wówczas marzy-

łem, że w przeznaczonej mi do kopania żył rudy cynkowej natrafie na warstwę rodzimego srebra. Przecież bardzo starzy ludzie pamiętali, jak za ich młodości mówiono, że z szybu Pileckiego i Ponikowskiego dobywano olbrzymią ilość czystego srebra... Mnie się właśnie zdawało, że odnajdę te pokłady, których ślad wskutek niepojętych przyczyn zagał. Ach, dziecino moja! odnaleźć te odwieczne żyły srebra, a może i złota, o których świetnej przeszłości starzy górnicy cuda opowiadali, było jedyną moją myślą, celem ciężkiej pracy w mrocznych podziemiach. Przy boku moim miałem syna, Andrzeja, również jak i ja zapalonego górnika. Obaj marzyliśmy o świetnej przyszłości dla naszych kopalń olkuskich, gdy nareszcie natrafimy na upragniony ślad żył srebroadajnych. Marzyliśmy... Ty właśnie zaczęłaś wówczas pierwsze stawiać kroki, i matka twoja cieszyła się, że jej mała Halinka sama stąpa po izbie. Gdy... Lecz niech odpoczne...

Starzec przerwał opowiadanie i jasną główkę dziewczęcia silnie do piersi przycisnął. Oddychał ciężko, jak ten, co bardzo, bardzo się utrudził.

Po chwili zaczął znowu:

— Straszna to była noc!.. Kopaliśmy z synem, a matka twoja, trzymając cię na ręku, stała obok nas i zapraszała na wieczerzę, na mleko i chleb świeży pszeniczny. Wtem nagle zagasły nam nasze latarki górnicze. Huk i szum, jakby zbliżającego się huraganu, napełnił wązką szyję szybu, w którym pracowaliśmy. „Woda! woda!“ — dało się słyszeć wołanie. Wtedy pojąłem, że stało się coś strasznego. Rzeczka Baba, a może tylko jej dopływy, przedarły się do naszego szybu. Ocalenia nie było. Widziałem, Halinko, przy ostatnim błysku ostatniej gasną-

cej pochodni, jak ojciec twój chwycił za rękę matkę twoją i usiłował obronić ją przed złowrogimi bałwanami. Ja ciebie chwyciłem i uniosłem wysoko ponad głowę. Ciemność nas ogarnęła, a z nią szum, huk i chłód strasznej powodzi... Straszna to była noc!.. Myślałem, że i ja wraz z tobą zginę; lecz Bóg nie chciał tego. Wzrost mój, nad miarę wyniósł, i siła ocaliły mnie. Gdy huk powodzi minął, gdy chłodne wód zastępy powstrzymały swą wściekłość, poczułem, że żyję i że tyś na mem ramieniu, że kwilisz, jak śmiertelnie zranione ptaszę. W godzinę później przekonałem się, że szyb, w którym przed chwilą pracowałem, woda napełniła mułem, gruzami i belkami drzew, z zewnątrz naniesionemi. Byliśmy żywcem pogrzebani. Szyb nasz już nie istniał, a natomiast niepokonana wód siła nowe korytarze wyzłobiła, nowe powyrywała przejścia.

— Straszna to była noc, dziecinko moja...—ciągnął dalej starzec.—I wówczas, gdym pojął, gdym zrozumiał tę straszną prawdę, że nie mam już syna, dobrej synowej, że nasz szyb zniszczony, wówczas uczulem ból wielki, niezmierny. I odtąd to, jak już powiedziałem, zmieniło się coś we mnie; odtąd począłem błądzić wśród tych podziemi, szukając skarbów... złota... srebra... Lecz słuchaj, Halinko moja, bo ostatni raz przemawiam do ciebie: Gdy podczas tej strasznej nocy przekonałem się, że szyb mój i kopalnie zniszczone zostały, że ukończony syn i synowa zginęli śmiercią straszną, przytulilem cię, dziecino, do serca mego i poczułem, że tyś mi tylko pozostała... ty jedna, sierotka bez ojca i matki, a przytem bardzo biedna, bez majątku, bez środków do życia... Wprawdzie w dolinie Ojcowa mieliśmy krewnych, nawet blizkich, lecz oni o mnie nic nie-wiedzieli, nie znali

mnie... Znał mnie wśród nich tylko jeden stary Wawrzyniec... On znał mnie dobrze... Lecz dzieliła nas przepaść tajemnicza krzywd wielkich, nawet zbrodni... O tem nie będę ci mówił, dziecino! Dowiesz się kiedyś o tych krzywdach, lecz z innych ust, nie z moich...

Starzec przerwał swe wyznania i ciężko odetchnął. Białe jego włosy spadały mu na oczy. Ręką pożąłką odgarnął je i przez chwilę zasłaniał nią swe przegasłe oczy. Łzy powoli stoczyły się z pod tej spracowanej ręki i na jasne czoło i włosy kłęzącego dziewczęcia upadły.

— O, mój ojczu! ty płaczesz? Poczekaj, ja cię pocieszę. Zanucę ci tę piękną piosenkę, którą tak bardzo lubisz... To cię uspokoi.

Starzec oddychał ciężko. Żelazny kilof, który prawą ręką trzymał, chwiał się... Cała postać starca pochylała się i, jakby pod brzemieniem ciężkich wspomnień, łamała się, i widać było, że życie w tym stuletnim górniku gasło tak, jak gasło ognisko u stóp jego, po środku grotu rozniecone.

Paweł, cały zasłuchany, z ręką przy czole, stał i z wielkiem skupieniem ducha wpatrywał się w tę niezwykłą scenę, oddech zapierając w piersi, bo nigdy tego, co słyszał, i tego, na co patrzył, ani usłyszeć ani ujrzeć nie spodziewał się. Niegdyś, dzieckiem będąc, słuchał baśni ludowych, przez staruszkę-babkę opowiadanych, baśni pięknych o zaklętych królewiczach i królownach, o pałacach podziemnych, o starcach-czarnoksiężnikach, i wtedy to, podczas tych opowiadań, takie właśnie niezwykle uczucie opanowywało go, jak obecnie, gdy patrzy na tego stuletniego starca i tę bladą twa-

rzyczkę dziewczeczki, zaczynającej nucić cudownie piękną piosenkę.

Tak, Paweł nie mylił się: to ta sama niewypowiedzianego uroku pieśń zadźwięczała w podziemiach, ta sama, którą niedawno kilkakrotnie słyszał, a która przez nieporównaną piękność melodii swej, przez serdeczną tęsknotę ponure podziemia zamieniała w zaczarowane pałace jakichś istot nadziemskich.

Z początku słów tej uroczej melodii Paweł nie mógł zrozumieć, chwytając tylko dźwięki i ciężkie starca westchnienia; pò chwili jednak pochwycił słuchem następujące zwrotki:

Najświętsza Maryo Panno,
Daj nam dzień wesoly;
Niech nad nami czuwają
Twe święte anioły.

Tyś jest królową Niebios,
Ty koisz tęsknoty;
O, przenajświętsza Pani,
Bądź matką sieroty!..

Wyraz „sieroty“ był zaśpiewany tak rzewnie i tak błagalnie zarazem, że Paweł uczuł się wzruszonym, i mimowoli stanęła mu w wyobraźni jego własna matka.

Tymczasem starzec pod wpływem śpiewu uspokajał się, zgarbioną swą postać nieco ku górze uniósł i, znowu głaszcząc jasną głowę dziewczęcia, głosem drżącym i słabym zaczął mówić:

— Halinko moja! śpiewaj mi jeszcze, śpiewaj jak najpiękniej, bo może to już ostatni raz twoje piosenki słyszę.

I dziewczę nuciło coraz to rzewniej, coraz to piękniej, jakby pragnąc rozpędzić i rozpogodzić ponure myśli starca.

Nagle ten porwał się z miejsca. Piosenka urwała się, a dziewczynka stanęła niepewna z główką ku górze wzniesioną.

— Co to, mój ojciec? — zabrzmiał jej głos srebrny.

Lecz starzec nic nie odrzekł, odwrócił się, podniósł w górę swój ciężki kilof górniczy i spuścił go na twardą powierzchnię groty. Po chwili rozległo się drugie uderzenie, później trzecie, czwarte, i widać było, że starzec znowu przypomniał sobie swój zawód górniczy.

— Tyś, Halinko moja, panią tych wszystkich skarbów, które się w podziemiach moich znajdują. Dla ciebie szukałem złota i srebra, dla ciebie, dziecię moje! — mówił starzec, uderzając z siłą swym wielkim kilofem w skały podziemia.

Wtem zachwiał się i przyklęknął na kolana, lecz zaraz powstał, groźnie wołając:

— Nie, nigdy was nie wpuszczę do moich podziemi! Jam tu panem; wszystko tu moje! Precz!.. nie wydierajcie mi moich skarbów i zostawcie mi moje ukochane dziecko! Halinko, czy słyszysz?.. oni przyszli po ciebie!..

Dziewczę chciało coś odpowiedzieć, posunęło się na przód, lecz starzec głosem wielkim wołał:

— Nikogo, nikogo nie wpuszczę tutaj!.. Jam tu sam panem i władcą... tu wszystko moje!

Uderzenia gwałtowne żelaznego kilofa, krzyk groźny i nazywanie skarbami zwykłych brył kamiennych wskazywały, że umysł starca nie był normalny.

Paweł, patrząc nań, jasno sobie zdawał sprawę, że ma przed sobą człowieka, który wskutek cierpienia, jakie nań spadły, uległ pomieszaniu zmysłów i tylko chwilowo przytomnie mówi i działa.

Najwidoczniejszą rzeczą było, iż ten stary górnik olkuski nie może się pogodzić z myślą opuszczenia podziemi, które przypominają mu dawne jego życie górnicze; nazbyt nawykł był niegdyś do swego podziemnego kopania i poszukiwania żył srebrnych, ażeby mógł rzucić je i z lekką myślą oddać się nowej dla siebie pracy na powierzchni ziemi, pod promieniami słońca.

Paweł najsilniej przekonany jest, że ten starzec chwilowo tylko zdaje sobie sprawę ze strasznego położenia, w jakim się znajduje.

Teraz właśnie znowu opanowują go szaleństwo, znowu miota nim, jak wichler jesienny pożółkłym liściem dębowym.

— Biedny człowiek! — szepce Paweł, patrząc na szamotanie się i wysiłki tego nieszczęśliwego, który wskutek nadzwyczajnego wypadku utracił zmysły.

Tymczasem starzec gniewnie miota się po grocie, odrzuca swój żelazny kilof i chwytając złomy kamienne, nazywając je złotem, skarbami swymi. Nagle staje wyprostowany, z głową do góry wzniesioną, i rzuca do garnącego się doń dziewczęcia:

— Halinko moja, bądź zdrowa! Ja czuję, że w żyłach moich ogień płonie. I nie od dziś to czuję... czułem to już dawniej; lecz dziś ostatnia godzina moja zbliża się. Żegnam cię... żegnam, moje drogie dziecię! Tu przyjdą ludzie i zabiorą cię. Nie opieraj się im, bądź posłuszną. Oni więcej ci zrobią dobrego, niż ja, i wiedz o tem, Halinko, że oni nie są ci obcy... oni są twymi krewnymi... O, moje dziecko, bądź im posłuszną... Kochaj ich, jak mnie kochałaś. Koniec się zbliża... Ja już nie mogę być tem dla ciebie, czem byłem; za mało na to mego ducha i mego rozumu. Oni ci pokażą, jak Boga chwalić, jak

ludzi kochać. Ja nie umiałbym, nie mógłbym nauczyć cię tego... Moja ukochana, najdroższa moja dziecino...

Tu lzy przerwały mu mowę. Dziewczę też łkało i z tem łkaniem serdecznem tuliło się do niego.

— Mój drogi ojcie, ja cię nie opuszczę... ja pójdę za tobą... pójdę wszędzie... Nie... nie... ja nie chcę rozstać się z tobą...

Starzec całował jasną główkę dziewczęcia.

— A jednak musisz, dziecino ukochana! musisz, bo nie można inaczej... wierzaj twemu dziadkowi, nie można. Rozłączyć się musimy, bo ja czuję w piersi ogień, który je pali i który je spali... I cóżbyś ty sama w tych ponurych podziemiach robiła?... co za życie byłoby tu twoje?... O, nie, nigdy!.. Ja pójdę tam, gdzie syn mój i córka zginęli, do szybu mojego, a ty wracaj tam, gdzie złote słoneczko świeci, wracaj do ludzi, którzy nauczą cię Boga Przedwiecznego chwalić i żyć ucziwie. I jakież los twój, dziecino droga, w tych podziemiach? Dzięki niech będą Panu nad panami, że rozum przywrócił mi chociaż na chwilę, i owocem tego będzie zapewnienie ci lepszego losu. Ja pozostanę tu, w moich kopalniach; jam górnik stary... dla mnie nie potrzeba słońca. Lecz ty, ty, dziecino, wracaj i ciesz się widokiem słońca jasnego, księżycy i gwiazd blaskami. Wróc na powierzchnię ziemi, gdzie białe chaty stoja, gdzie wierzyby smętnie szumią, topole, lipy i dęby gwarzą. Wróc tam i bądź szczęśliwa. Nie otoczą cię ludzie obcy... o, nie!.. Powiedz tylko te dwa słowa: „Nazywam się Halka Kosówna...“ Powiedz to, a znajdziesz dach, znajdziesz serca, które cię przygarną. Już ja wiem o tem. Uczyniłem wszystko, co było w mocy mojej, ażeby zapewnić ci szczęście... jak największe szczęście...

Tu starzec zachwiał się znowu i ręką za piersi schwytał. Krótko to trwało; siły znowu mu wróciły. Dzieweczka płakała.

— A teraz — zaczął znowu głosem urywanym — do serca mojego pójdź, dziecino moja, i ostatni raz uściskaj mię. Będzie to uścisk, który niech mi towarzyszy w lepsze światy...

A gdy dziewczeczka garnęła się do starca, z płaczem powtarzając: „Nie opuszczę cię, nigdy cię nie opuszczę!“, on wziął ją na ręce i następnie leciuteńko położył na mchami wysłanym olbrzymim głazie.

— Zostań tu, Halinko, spocznij. Ja idę szukać skarbów dla ciebie... Idę tam, gdzie syn mój, a ojciec twój umarł...

Słów tych domawiając, pochwyił głaz w pobliżu leżący i z olbrzymią siłą rzucił go w głąb' grotu. Huk wielki, jakby od wystrzału armatniego, rozległ się po wszystkich zakątkach podziemia, i dziewczeczka przestraszona zakryła ręką oczy swe i łkała.

W tej chwili starzec, trzymając w ręku swój kilof olbrzymi, przy krwawych blaskach dogasającego łuczywa oddalał się w głąb' ciemnej szyi podziemia, szepcąc jakieś niezrozumiałe słowa.

Wkrótce zniknął, i z oddali słyhać było tylko jego ciężkie kroki, a później uderzenia kilofa o kamienną powierzchnię grotu, aż wreszcie wszystko ucichło.

Od sufitu zerwało się stado nietoperzy, a za nimi dwa jakieś wielkie ptaki, których ślepie jak węgle błyszczały w ciemności, i prując powietrze silnemi skrzydłami, ze świstem i hałasem pofrunęły w ślad za nieszczęśliwym starcem.

Tymczasem ostatnie płomyki dogasającego łuczywa, nie podsycane przez nikogo, zgasły, i ciemność zaległa podziemie, ciemność, jakiej nie można doświadczyć na powierzchni ziemi: głucha, straszna, bez odrobiny światła i bez nadziei, że nad nią kiedykolwiek zapanuje promień słońca, gwiazd lub księżyca.

I w labiryncie podziemi znowu zapanowała ta cisza, im właściwa, ta cisza, tak wielka, że Paweł, mimo wolny świadek wszystkiego, słyszał uderzenia własnego serca i czyjś płacz cichy, nad wyraz rzewny, serdeczny...



ROZDZIAŁ XVIII.

Paweł wciąż stał i słuchał. Rękę podniósł do czoła i usiłował wzrokiem przejrzeć otaczające go ciemności i jeszcze raz przekonać się, czy to, na co patrzył, nie było złudzeniem tylko, igraszką wyobraźni. Stał, myślał i ręką czoło tarł. Jakkolwiek ciemność i cisza zupełna zaległy grocie, on jeszcze widział przed oczyma swej duszy wyniosłą postać starego górnik; w uszach dźwięczała mu piosnka dziewczeczki-sieroty i jej wzruszające pożegnanie się z tym, który się dziadkiem jej nazywał. Paweł dopiero teraz zrozumiał, kim był ten włóczęga, ten stuletni górnik olkuski,—dopiero teraz pojął, że był to człowiek bardzo nieszczęśliwy, liłości godny, lecz nigdy nie zasługujący na wzgardę.

Wreszcie młodzieniec był tak przejęty tem wszystkim, na co niedawno patrzył, że dokładnie mógł sobie odpowiedzieć na wiele wątpliwości, powstających w umyśle, nazbyt zmęczonym niezwykle wrażeniami. Ponad wszystkim, co widział niedawno w ponurych podziemiach, górowała postać starego górnik i jego jasnowłosej wnuczki, a w sercu odrywało się jakieś

nieokreślone uczucie żalu, które powstaje u nas wówczas, gdy coś szlachetnego, coś lepszego ginie marnie, i gdy nie możemy nic uczynić, ażeby tę stratę wynagrodzić sobie.

Chwilę tak stał Paweł, pogrążony w dziwnych rozmyśleniach, i już zamierzał rzucić się na przód, ażeby gonić stuletniego starca, gdy naraz powstrzymał się.

— Nie! — pomyślał, — byłoby to niegodne z mej strony zakłócać ostatnie chwile życia temu nieszczęśliwemu. Niech odejdzie w spokoju.

I młodzieniec zatrzymał się pod wpływem tej myśli, zwracając swe kroki w stronę, gdzie niedawno paliło się niewielkie ognisko. Tam miał nadzieję, że w pobliżu znajdzie ową jasnowłosą dziewczeczkę, której nad wyraz smutne losy wzruszyły go głęboko.

Wtem poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia i jednocześnie zapytał:

— To ty, Pawle?

Był to głos pana Bonifacego. Uczony zgubił swą pochodnię, wdzierając się po stromej powierzchni tam, gdzie dażył Paweł. On jeden zwyciężył przeszkody i wdarł się do tej tajemniczej kryjówki, którą niedawno przed nim odkrył Paweł.

Młodzieniec uściśnął rękę uczonego i żywo zapytał, czy ma przy sobie zapalki.

— Nie, nie mam — odparł pan Bonifacy.

A słysząc wielkie drżenie w głosie młodzieńca, zapytał:

— Co ci jest, na Boga?..

— Właściwie nic — odparł tenże.

— Dlaczego zgasiłes pochodnię?

— Ażeby niepostrzeżenie przyjrzeć się tajemniczemu starcowi, który nas tak bardzo zaciekawiał, który się taką tajemniczością otaczał.

— Więc dowiedziałeś się czegoś pewnego?

— Dowiedziałem się rzeczy, o których ani myślałem. Lecz ognia... ognia...

— Niestety, nie mam zapalek — odparł uczony, — a reszta naszych współtowarzyszy tej niezwyklej wycieczki w głąb' podziemi pozostała przy starym Wawrzyńcu, gdyż potrzebował on pomocy.

Naraz Paweł schwycił za rękę pana Bonifacego.

— Ciszej... ciszej!... — szepnął. — Czy pan słyszy?..

Uczony wyteżył słuch i po chwili rzekł:

— W oddali słyhać słabe uderzenia o powierzchnię podziemi...

— To on, to stary Roch pracuje jeszcze, choć już odchodzi... odchodzi, aby umrzeć...

— Aby umrzeć? — powtórzył Bonifacy zdumiony.

— Tak, aby umrzeć... — niby echo odszepnął Paweł.

— Mój chłopcze, mówisz do mnie tak, jakbyś z księżycą powrócił... Co? jak? gdzie? kto ma umrzeć?

Paweł milczał.

— Mów-że!.. Cóż ci się stało?.. Ty, zawsze wymowny i energiczny, dlaczego teraz zachowujesz się tak dziwnie?..

Zamiast odpowiedzi młodzieniec zapytał:

— Prawda, że nie słyhać łkania?.. prawda, że ucichło?..

Pan Bonifacy niecierpliwił się:

— Jakiego łkania?.. Mój chłopcze, tłómacz się jaśniej!..

— Proszę bardzo, niech mi pan wybaczy, lecz nie mogę w tej chwili być takim, jak zwykle; jestem bardzo, bardzo wzruszony...

Uczony zamilkł.

Cisza panowała dokoła, cisza taka, że trwoga chwyciła za serce.

— Jakto?—rzekł wreszcie, podnosząc głos Paweł,— więc wszystko, na co patrzyłem, znikło bezpowrotnie? Więc jak sen niezwykły, jako widziadło, które z rzeczywistością nie ma nic wspólnego, wspominać to będę?.. Nie! Pójdźmy w głąb' tych podziemi... zbadajmy wszystko i dowiedzmy się całej prawdy... Choćby najmniejszy cień niepewności zdręczy mnie. Ja muszę zbadać wszystko i poznać te dziwne postacie, które, jak na czarodziej-skie zaklęcie wieszczki z baśni ludowej, snują się przede mną. Pójdźmy na przód... pójdźmy w głąb' tych podziemi!..

Pan Bonifacy z trwogą spostrzegł, że młody jego towarzysz zaczyna opowiadać rzeczy takie, które bynajmniej nie potwierdzają ustalonego o jego umysłowości mniemania.

Dotychczas wiedział siwy uczony, że Paweł był młodzieńcem, trzeźwo biorącym wszystko, co umysł jego obejmował; dziś spostrzegł, że zaczyna domyślać się tego, czego by się dawniej był nigdy nie domyślał,— postanowił przeto wyprowadzić go z błędnego koła, w którym niezwykle bądź-co-bądź wypadki dnia uwikłały jego młody umysł.

— Pawle, proszę cię, opowiedz mi wszystko, coś tu widział, lecz opowiedz szczerze, a zaręczam ci, że wyjdzie to na korzyść nam wszystkim, którzy się po tych podziemiach snujemy.

Na taką prośbę ze strony powszechnie szanowanego człowieka Paweł powstrzymał się w swej gotowości udania się w głąb' tajemniczych podziemi i zaczął opowiadać głosem przytłumionym to wszystko, co niedawno słyszał i na co niedawno patrzył.

W końcu tego opowiadania, gdy młodzieniec powtarzał pożegnalne słowa starego górnika, pan Bonifacy rzekł nagle:

— Ależ to piękna postać!.. Uściskałbym tego starca!..

— I co za dziwne zrządzenie losu, że właśnie jest on rzeczywistym bratem starego Wawrzyńca!—dodał Paweł.

— Ten stary Wawrzyńiec nie podobał mi się od pierwszego spojrzenia. Pod jego chmurnie ściągniętymi brwiami nie widziałem nic takiego, co budziłoby doń zaufanie. Wzrok tego człowieka stwierdza, że spokój obcym jest jego duszy, a niejasne tłómaczenie się i gwałtowne zapieranie, iż nieszczęśliwy szaleniec, zwany Rochem Ostatnim, nie jest jego bratem, rzuca pewne podejrzenie, i to bardzo uzasadnione.

— Podejrzenie ciężkie!—dorzucił Paweł, ściskając dłoń pana Bonifacego.

Rozmowę powyższą, prowadzoną wśród ciemności i wśród wielkiej ciszy, zalegającej podziemia, przerwało nagle niewyraźne, bardzo dalekie szczekanie psa. Brzmiało ono, jak echo, i sprawiło wrażenie takie, że jak Paweł tak i pan Bonifacy drgnęli.

— Szczekanie psa?.. tutaj?..—dziwił się Paweł.

— Co to może znaczyć?—pytał uczony.

Niepewny, przytłumiony odgłos dalekiego szczekania ucichł nagle.

— Skąd słyhać było to echo? — pytał uczony.

— Tak jakby z góry... — odparł Paweł.

— Czyżby odgłos z powierzchni ziemi aż tu się zabląkał?..

— Wątpię...

— I ja również.

— A więc w tych podziemiach jeszcze nie wszystko zbadaliśmy — mówił uczony. — Ten głos psa każe się domyślać, że albo spotkamy się tu jeszcze z nowemi jankiemis osobistościami, albo też natrafimy niespodziewanie na wyjście, i to znajdujące się w pobliżu mieszkań ludzkich.

Przerwali znowu rozmowę i nasłuchiwali.

Pan Bonifacy rzekł:

— Jaka cisza!.. Nic, zupełnie nic nie słyszę...

— I ja także...

Wtem pan Bonifacy ścisnął silniej rękę Pawła.

— Mój chłopcze — rzekł, — zdaje mi się, żeśmy obydwu zapomnieli o obowiązkach, które na nas spadły.

— O obowiązkach? — powtórzył Paweł. — Ach, tak... tak... Odnaleźć musimy to jasnowłose, niewidome, jak się zdaje, dziewczę i losem jego się zająć...

— I nie tylko to dziewczę...

— Tak... to prawda. Toć i Grześ jest celem naszych poszukiwań...

— Musimy wrócić do swoich, którzy pozostali przy starym Wawrzyńcu, i naradzić się, jak dalej postępować wypada.

Paweł wstrząsnął głową.

— Nie, to być nie może... Każda chwila jest droga. I tak zbyt wiele straciliśmy czasu; trzeba nam było

natychmiast udać się za oddalającym się w głąb labiryntu nieszczęśliwym starcem.

Pan Bonifacy nie zgodził się na to.

— Mój Pawle — tłumaczył, — czyż bez pochodni poszukiwania nasze będą miały jakiegokolwiek znaczenie?.. Możemy tylko zablądzić wśród labiryntu przejść, sal i korytarzy... A przyznasz chyba, że ze względu na nas samych i na tych, którym pomoć nieść chcemy, byłaby to rzecz arcy-nieprzyjemna...

Trudno było nie uznać słuszności tych słów. To też, choć z żalem, Paweł zgodził się na powrót do reszty towarzyszków podziemnej wycieczki, ażeby wraz z nimi obmyśleć dalszy plan poszukiwań małego Grzesia i tej nieszczęśliwej nad wszelki wyraz dziewczeczki, która Roch Ostatni swą wnuczką nazywał.

Jednak nie cofnęli się jeszcze kilkunastu kroków, gdy Paweł rzekł do swego starszego towarzysza:

— Jeszcze raz, choć pociemku, będę szukał małej Halinki... Wszakże ją tutaj, niedaleko, na mchami wysłanym kamieniu złożył Roch Ostatni.

I Paweł wraz z panem Bonifacym wołał głośno dziewczeczki i szukał wokoło, ostrożnie wodząc rękami po chropowatych, zimnych gładkach. Nie znaleźli jej jednak; snadź udała się ona w głąb podziemi za swym tyloletnim opiekunem. Pomimo trwogi, jaką chciał rzucić na nią ten nieszczęśliwy starzec, widać poszła za nim.

— I nic dziwnego — mówił uczony, — gdyż prawdziwie wielkie przywiązanie, prawdziwa miłość niczego się nie lęka... To dziewczętko kocha swego opiekuna i zapewne nie opuściłoby go za żadne skarby świata.

— I ja tak myślę — dodał Paweł. — Jedno mnie tylko zastanawia, że tak, nawet bez najmniejszego sze-

lestu, zniknęła... Słyszałem przecież jej łkanie; wtem nagle wszystko ucichło, i jej nie znalazłem już, gdzie się znaleźć spodziewałem... A czy podziemia te zbadane są? — zapytał żywo uczonego; — czy wiadomo, gdzie i jak się ciągną?..

Pan Bonifacy westchnął.

— Otóż to, mój kochany chłopcze! — odrzekł z żalem; — muszę ci odpowiedzieć, i to ze wstydem, że nie tak, jakby być powinny... Są tu, powiadam ci, prawdziwe skarby dla nauki, lecz nie wyzyskane... Wprawdzie niektóre z grot tutejszych były badane przez ludzi, poważne stanowisko zajmujących w nauce, lecz niedostatecznie. Waga, Berdau, Jastrzębowski, Dietle, Osowski, Zawisza, Ślósarski i inni położyli niepożyte zasługi, badając pod względem przyrodniczym tutejszą okolicę; jednakże badania te nie wyczerpały przedmiotu. Przedewszystkiem groty Ojcowa nie są jeszcze we wszystkich swych rozgałęzieniach dokładnie znane.

— Szkoda! — zawołał Paweł, przerywając tok mowy uczonego. — Gdyby były znane, z łatwością odnaleźlibyśmy biednego Rocha, tego nieszczęśliwego górnika olkuskiego...

— Z jego nie mniej nieszczęśliwą wnuczką..

— Tę, mam nadzieję, że wkrótce znajdziemy... Stary Roch przecież pożegnał się z nią...

— Co za dziwne sceny! — rzekł półgłosem pan Bonifacy. — Choć jest to prawdziwe, jednak słucha się tego, jak bajki. Ten ponury Wawrzyniec jest bratem niezwykłego starca, i to bratem, który go krzywdził. Co za dziwny zbieg okoliczności, że właśnie my jesteśmy świadkami tragicznego rozwiązania tego dramatu rodzinnego!

Uczony mówił półgłosem, jakby jedynie dla siebie własne myśli chciał wypowiedzieć.

Paweł słuchał go, lecz w końcu zaczął naglić do powrotu po światło.

— O, gdybyśmy mieli światło — wołał z żalem, — moglibyśmy natychmiast podążyć w głąb' tych podziemi!..

— Cierpliwości, mój Pawle!.. — uspokajał pan Bonifacy porywczego młodzieńca.

— Drogi panie! — odrzekł Paweł, a nuta rzewnego żalu brzmiała w jego głosie, — mój drogi panie! my pójdziemy po światło, a ten nieszczęśliwy stuletni górnik umrzeć może... On potrzebuje ratunku; siły jego są wyczerpane... O, gdyby mu choć ostatnie chwile życia osłodzić!.. gdyby mógł umrzeć z tą pewnością, że ukochanej przez niego wnuczce nic złego się nie stanie... że znajdzie ona opiekę i ciepło rodzinnego ogniska!..

Paweł mówił wielce przejęty losami tych dwóch dziwnych istot, które poznał w tak wyjątkowych okolicznościach.

Wtem usłyszeli tuż blisko siebie czyjś przyspieszony oddech.

— Kto tu?.. — zapytał pan Bonifacy, opierając się o ścianę groty.

Odpowiedzi nie było.

— Pytamy, kto się zbliża? — powtórzył Paweł.

Ale i na jego zapytanie jedyną odpowiedzią był coraz to szybszy i głośniejszy oddech.

— To zwierz jakiś się zbliża... — rzekł z cicha pan Bonifacy.

Paweł mimowoli schylił się, szukając podatnego do obrony kamienia.

— Uspokój się, mój chłopcze! — szeptał mu nad uchem uczony; — mam wyborny sześciostrzałowy rewolwer i obecnie trzymam go w ręku.

— To bardzo dobrze; możemy stać spokojnie.

I stanęli blisko siebie, łowiąc słuchem ciche kroki i szybki oddech zwierzęcia.

— Niezbyt to wygodne będzie brać na cel naszego nieprzyjaciela w takiej ciemności — odezwał się Paweł żartobliwie.

— Masz słuszość... — odrzekł uczony. — Bądź-co-bądź jednak czujemy się bezpiecznie.

I stali dalej, pilnie wsłuchując się w ciszę.

— Dziwna rzecz! — szepnął Paweł — nic nie słyszę...

— I ja również.

— Słuchajmy jednak jeszcze; zwierz może przyczaił się, spostrzegłszy naszą obecność... Nie mogą tylko zdać sobie sprawy, coby to mogło być za zwierzę...

Nagle dało się słyszeć radosne skomlenie, i Paweł na piersiach swych poczuł dwie kosmate łapy, a przy twarzy gorący oddech.

— Nie strzelaj pan! — zawołał nagle, chwytając uczonego za rękę.

Ten opuścił broń ku ziemi.

— Co się stało?.. — zapytał.

Lecz na odpowiedź młodzieńca nie potrzebował czekać, gdyż wnet i na swoich piersiach poczuł przyjazne kosmate dwie łapy i usłyszał radosne skomlenie.

— Kruczek!.. poczciwa psina!.. — wołał Paweł.

Pan Bonifacy aż przyklął na ziemi, pieszcząc łaszącą się psinę.

— A ty skąd się wzięłeś, psisku? — pytał Paweł.

— Gdzieżeś to był?.. — pytał uczony, wyrażając żal, że takie wierne stworzenie nic nie może odpowiedzieć.

Z zachowania się jednak Kruczka łatwo wnioskować było można, że daleką odbył podróż; po radosnem powitaniu swych panów legł zaraz u nóg ich, ziając ze zmęczenia i robiąc bokami, jak mieszkciem od samowara.

— Zmęczony... — zrobił uwagę Paweł.

— I bardzo zmęczony... — potwierdził pan Bonifacy.

Mówiąc to, obaj głaskali poczciwego psa, a ten lizał im ręce i skomlał, jakby chcąc powiedzieć: „Jakżem rad, iż was odnalazłem“...

Gdy w kilkanaście minut pies odpoczął nieco, i Paweł z panem Bonifacym chcieli go wziąć z sobą, oparli się temu, żałośnie skomlać i szczekając.

— E!.. e!.. — odezwał się Paweł, — to wygląda tak, jakby nas to rozumne stworzenie chciało w głąb' groty za sobą poprowadzić... Czy pan czuje, jak się wyrwa?..

— Istotnie... to prawda! — mówił z wielkiem zdumieniem uczony.

I jak Paweł, tak pan Bonifacy jednomyślnie postanowili okazać się powolnymi tej niemej prośbie poczciwego zwierzęcia.

— Pójdźmy tam, gdzie nas powiedzie — szepnął Paweł. — Przecież ten pies był jedynym świadkiem wypadku, któremu uległ nieszczęśliwy pastuszek...

— Masz słuszość — odparł uczony; — może, dzięki instynktowi psa, do czegoś dojdziemy.

ROZDZIAŁ XIX.

Jeszcze kilkunastu kroków nie postąpiono na przód, gdy naraz rozległo się głośnie wołanie. Echo niosło je i powtarzało bez końca, tak, że nie można było rozpoznać, kto i kogo wołał.

Pan Bonifacy i Paweł zatrzymali się.

— Czyj to głos?—pytał młodzieniec.

— Jakoś znany mi...—odparł uczony.

I stali, lowiąc słuchem rozpierchłe echa dalekiego nawoływania.

— To tam, za nami, ktoś woła...—rzekł półgłosem Paweł.

— Za nami?.. Więc może to nasi pozostali w głębi groty współtowarzysze?

— Być może... Pójdziemy w tamtą stronę.

I, nie zwracając uwagi na niecierpliwie naszczekiwanie Kruczka, obaj powoli posuwali się z powrotem, starając się zawsze trzymać kierunku jednej ze ścian podziemia.

Wołanie znowu powtórzyło się, lecz tym razem brzmiało bliżej i wyraźniej.

— To nasi!—szepnął uradowany Paweł.

— Masz słuszność... — odrzekł pan Bonifacy. — Zdaje mi się, że jestto głos Grzegorza i pana Kalasantego.

Zamilkli. Na chwilę cisza zapanowała w grocie, i tylko kiedy-niekiedy przerywało ją szczekanie i ciche skowyczenie niecierpliwego Kruczka, łaszącego się u nóg Pawła.

Wtem w oddali błysnęło światło.

Teraz nie było wątpliwości, że ktoś się zbliża. Ale kto?..

— Nasi zbliżają się!—zawołał radośnie Paweł.

— I ja tak sądzę—dodał pan Bonifacy.

Domysły te potwierdziło nagłe zerwanie się Kruczka, który z radosnem szczekaniem pobiegł w głąb groty.

— Poznał swoich...—szepnął Paweł.

— Cieszy mnie to, że znowu połączymy się... Jakto dobrze, że przybywają!..

Mówiąc to, Paweł wraz ze swym starszym towarzyszem udali się już szybszym i pewniejszym krokiem naprzeciw błyszczącym w oddali światłom.

Wkrótce przy blaskach jaskrawo płonących pochodni ujrzeli tych, których oczekiwali.

Stary Wawrzyniec szedł pierwszy z głową pochyloną, jakby pod nadmiarem nieszczęścia; w jednej ręce trzymał płonącą pochodnię, drugą opierał się o ścianę groty. Tuż za nim z pochodniami, w górę wzniesionymi, postępowali pan Kalasanty i Grzegorz.

Wystarczyło jednego rzutu oka, ażeby Paweł spostrzegł, iż po woskowego koloru policzkach starego Wawrzyńca lzy spływały.

— Płacze... — pomyślał młodzieniec.—Ten starzec twardej, żelaznej natury lzy ma w oczach...

I usunął się na stronę, pozostawiając panu Bonifacemu wypowiedzenie pierwszych słów z powodu niespodziewanego spotkania się.

— Mój Boże! jakże to dobrze, że jak na panicza Pawła, tak i na wielmożnego pana Bonifacego natrafiliśmy! — mówił Grzegorz. — Ja myślałem, że się tak prędko nie spotkamy w tych ciemnych lochach.

Rzekłszy to, schylił się i obiema rękami głaskał wiernego Kruczka, który z radosnem skowyczeniem lasił się, pelzając u nóg jego.

Tymczasem stary Wawrzyniec oparł się o jeden z wysoko sterczących glazów i ponuro patrzył przed siebie. Wzrok jego już nie był zasłonięty łzami, oblicze nie wyrażało bólu i zgryzoty.

— Jakże się czujecie?... — zapytał starca pan Bonifacy.

— Teraz silniejszym... — odrzekł spokojnie.

— Pójdziecie więc z nami w głąb tych podziemi?

— A jużcić pójdę...

— Czy tylko nie zaszkodzi to waszemu zdrowiu?...

Wasz wiek podeszły...

— E, to nic, proszę wielmożnego pana!... — przerwał starzec, ożywiając się. — Gorzej byłoby, gdybyśmy oto mojego sokolika, mojego Grzesia nie znaleźli... Bóg jeden widzi, jak ja to dziecko kocham... Szkoda, wielka szkoda byłaby, gdybyśmy go nie znaleźli... Takie nieszczęście zabiłoby mnie... Niechże Matka Najświętsza uchowa od tego!...

Pan Bonifacy z podziwem zauważył, że stary Wawrzyniec zaczyna zwracać się w mowie swej do Boga i Najświętszej Matki, czego dawniej nigdy nie czynił.

Uczony chciał jeszcze prowadzić rozmowę ze starym Wawrzyńcem, gdy naraz przerwał ją pan Kalasanty, który od pierwszej chwili spotkania się żywo rozmawiał z Pawłem.

— Zdaje mi się, że niedługo wyjaśni się wszystko, co nas w naszych dzisiejszych przygodach do pewnego stopnia zdumieniem i zaciekawieniem przejmowało.

Stary Wawrzyniec drgnął i z niepokojem w oczach spojrział na mówiącego.

— Zdaje mi się — mówił dalej pan Kalasanty, — że niedługo odnajdziemy małego Grzesia... Spójrzcie tylko na to pocziwe stworzenie.

Mówiąc to, staruszek wskazał na cierpliwie naszczekującego Kruczka, który całem zachowaniem się swoim okazywał, że pragnąłby gdzieś w głąb grotty patrzących nań zaprowadzić.

Stary Wawrzyniec pierwszy ruszył z miejsca.

Kruczek, widząc to, zaraz głośniejszą począł szczekać i w głąb grotty pobiegł.

— Oto najoczywistsza rzecz — mówił pan Kalasanty, — że ten pies zaprowadzi nas do miejsca, gdzie znajduje się zaginiony Grześ-pastuszek...

— W tenże sam sposób nad jar nas przyprowadził — mówił pan Kalasanty.

— Instykt tego zwierzęcia jest nieoszacowany — dodał Paweł i szybko za starym Wawrzyńcem ruszył w głąb grotty.

— O, mój Boże kochany! bylebym tylko zdrowe moje drogie dziecko znalazł... mego Grzesia serdeczniego! — szeptał z cicha nieszczęśliwy ojciec zaginionego...

Szli dalej w milczeniu, mając przed sobą starego Wawrzyńca, który żwawo za prowadzającym go rozumnym zwierzęciem postępował.

Dotąd obszerna grota wiodła ich ku temu nieznanemu miejscu, gdzie miał się znajdować mały Grześ. Nagle szyja tej groty zwięzać się poczęła i wreszcie stała się tak wąską, że stary Wawrzyniec zatrzymał się, nie mogąc postępować dalej.

— Dalej iść niepodobna!.. — rzekł gniewnie.

— Tymczasem nasza psina koniecznie tam zmierza — odezwał się pan Kalasanty. — O, proszę słuchać, jak niecierpliwie szczeka...

— Trzeba koniecznie precyzyjnie się przez ten otwór — radził pan Bonifacy. — Pawle — rzekł, zwracając się do idącego za nim młodzieńca, — idź na przód...

— Wybornie! — odparł tenże i, wyprzedzając starego Wawrzyńca, żwawo wcisnął się w ciasne przejście, ciągnące się między dwiema chropowatymi ścianami.

Wierny pies głośno, radośnie począł skowyczeć i szczekać, jak gdyby go wielce ucieszył postępek Pawła.

— A to rozumna psina!.. — odezwał się pan Kalasanty.

— A jużci prawda, wielmożny panie! — potwierdził Grzegorz: — przytem jest to pies bardzo do chaty naszej i do nas samych przywiązany... Z Grzesiem to oni się bardzo, bardzo lubili...

Pan Kalasanty przypomniał sobie, że niedawno sam był świadkiem, jak na podwórzu, owego pamiętnego ranka, gdy mały Grześ po ostatni raz przed swym zniknięciem wypędzał owce w pole; Kruczek bawił się ze swym małym panem, — jak co chwila za-

głądał mu w oczy, będąc gotowym na pierwsze skinięcie spełnić każdy rozkaz, każdą wolę zwinnego pastuszka. Właśnie teraz panu Kalasantemu przyszła na myśl ta scena i głośno dodał:

— Tak, ten pies do Grzesia bardzo jest przywiązany.

— Stąd łatwo wnosić — wtrącił pan Bonifacy, — że zaprowadzi nas na miejsce wypadku...

Słowo „wypadku“ wymówił głosem przyciszonym, tak, że idący przed nim Grzegorz nie mógł go dosłyszeć...

Teraz wszyscy znaleźli się w ciasnym przejściu i przeciskali się między wilgotnymi jego ścianami.

Nagle wstrzymali się.

— Co tam takiego? — zapytał pan Bonifacy.

Odpowiedzi nie było.

— Hej, Pawle! — zawołał pan Kalasanty.

— Niespodzianka! — odrzekł tenże, a z brzmienia jego głosu można było wnosić, że znacznie dalej posunął się w głąb przejścia, niż jego starsi towarzysze.

— Pawle!

— Co za niespodzianka?

— Odezwijże się... — wołali naprzemian pan Bonifacy i pan Kalasanty.

Lecz dość długo żadnej odpowiedzi nie było, tylko radosne psa skowyczenie słyszeć się dawało.

— Ani na krok posunąć się nie można, bo przejście bardzo ciasne — narzekał Grzegorz.

I stali wszyscy, niepewni, co dalej począć.

Wtem dał się słyszeć głos Pawła:

— Jesteśmy swobodni!.. Olbrzymia sala przed nami. Nareszcie przedarłem się do niej pomiędzy ciasnymi ścianami groty...

— Że on się przedarł, to nic dziwnego — myślał pan Bonifacy,—ale jak ja się tam dostanę?...

Istotnie obawy te były słuszne. Dość ciasne przejście stawało się jeszcze ciasniejszym. Niekiedy napoprzek stawały głazy dziwaczne, bardzo przypominające postacie ludzkie; to mnich skulony, to żebrak, to rycerz jakiś, to znowu inne fantastyczne figury co chwila stawały na drodze i zatrzymywały naszych znajomych.

— Dziwna grota!..—mruknął pan Kalasanty.

— Nie chciałbym ja się tu sam znaleźć...—szepnął zabobonny Grzegorz, z obawą przesuając się koło dziwacznych kamieni, które, zdawało mu się, że patrzają na niego.

Tylko stary Wawrzyniec milczał, starając się jak najprędzej postępować w głąb' tajemniczego podziemia.

W kilka minut wszyscy znaleźli się w obszernym przedsionku, przylegającym do ogromnej sali, i wtedy dopiero zrozumieli, co znaczył pełen podziwu wykrzyknik Pawła: „Niespodzianka!”

I rzeczywiście niespodzianką była dla naszego grona olbrzymia sala, niemal śnieżno-biała, której szczytu oko dojrzeć nie mogło. Białe filary, w dziwaczne koronki i figurki stalagmitowe przybrane, strzelały w górę, jak w starych świątyniach gotyckich. Szeregi mniejszych komnat, niekiedy do kaplic podobnych, ciągnęły się z obu stron olbrzymiej sali. Pod filarami i pod ścianami widać było, jakby pomniki, jakieś olbrzymie stalagmitowe nacieki, a dalej, niby grobowce, le-

żały szerokie głazy, nieraz o wielce fantastycznych kształtach.

Skupiwszy się, w zdumieniu poglądało grono naszych znajomych w głąb' tej świątyni, ręką natury utworzonej.

Dziwnie przejmujące wrażenie ośwładnęło zuchwałą gromadką, która wtargnęła tam, gdzie dotąd prawdopodobnie nigdy noga ludzka nie powstała. Zdawało się wszystkim, że nie tylko oni tu przyszli, lecz, że i z za tych białych filarów, z głębi tych nisz i pomniejszych komnat wystąpią inne jakieś istoty i zaczęną się modlić...

Ciszę, panującą w tej olbrzymiej grocie, do świątyni podobnej, przerywały monotonne jakieś dźwięki. Podobne one były do dźwięku, jaki wydaje kropla wody, ze znacznej wysokości na kamień spadająca.

Tu i owdzie odzywały się te ciche dźwięki, raz głośniej, to znowu słabiej; po środku zaś olbrzymiej sali słychać było słaby plusk wody, podobny do szmeru, który sprawia mała fontanna.

Niepodobna opisać, jakim dziwnym urokiem przemawiały serca obecnych te ciche odgłosy, te niby szepty, odzywające się w mrocznych głębiach olbrzymiej śnieżno-białej groty.

— Niby szepty modlitwy—zaczął z cicha pan Kalasanty, — odzywają się te dźwięki spadających kropel wody.

— A te dziwaczne postacie kamienne — ciągnął dalej Paweł—w świetle naszych pochodni wyglądają, jak rzeźbione posągi bóstw jakichś prastarych...

I umilkli, bo jakoś rozmowa nie szła.

Tajemniczość, niepojęty urok i majestat olbrzymiej śnieżno-białej grotty działały na nich w sposób niewytlomaczony.

Stali, kupiąc się do siebie, a Grzegorz zdjął kapełusz i pobożnie się przeżegnał.

O posuwaniu się dalej nikt jakoś nie myślał.

Wszyscy stali, jakby oczekując na coś, jakby obawiając się wstąpić samowolnie w głąb' majestatycznej grotty.

Paweł doznawał takiego uczucia, jakby stanął po środku świątyni wobec katafalku z ciałem Rocha Ostatniego. Młodzieniec słyszał pożegnalne słowa starego górnik, słyszał jego zapowiedź, że odchodzi w ciemną dal swych grot, ażeby już nigdy nie wrócić. I z tego to właśnie powodu Pawłowi się zdaje, jakby oddawał ostatnią posługę kościelną nieszczęśliwemu starcowi.

Ciche szepty i cichy plusk sączącej się gdzieś w głębi korytarzy wody jeszcze bardziej nastrajały młodzieńca do podobnych rozmyślań.

— Idźmy dalej...—rzekł ktoś z cicha.

Paweł ocknął się z zamyślenia.

— Ach! to pan, panie profesorze?...—rzekł z uśmiechem.

Uczony wziął młodzieńca za rękę i prawie szeptem mówił:

— Pan Kalasanty przygotowuje starego Wawrzyńca do niespodzianej dlań wiadomości... Starzec ten nie wie jeszcze, że nie tylko wnuczka, lecz i wnuczkę odnajdzie w tych pełnych dziwnego majestatu podziemiach.

Paweł spojrział przed siebie i przy migotliwych blaskach pochodni spostrzegł podpartego o filar grotty

starego Wawrzyńca, a przy nim z wielkiem przejęciem się przemawiającego pana Kalasantego.

Wtem coś białego przesunęło się tuż u stóp tych dwóch zajętych sobą starców.

Paweł zwrócił w tę stronę światło swej pochodni i naraz usłyszał głośny okrzyk Grzegorza:

— Maciuś!.. to on... Maciuś!..

Paweł coś sobie przypominał, że kiedyś słyszał już ten okrzyk z ust poczciwego Grzegorza.

Radosny uśmiech rozpogodził mu czoło.

Przy blasku pochodni widział już teraz pięknego małego baranka, na którym szerść była śnieżno-biała, a na szyi widniała przepaska z niebieskiej tasiemki.

— To on!..—zaczął głośno Paweł,—to ten poczciwy Maciuś, którego niegdyś na podwórku mały Grześpastuszek tak nam przedstawiał: „To jest bardzo zabawny baranek... o... o... ten biały... On na nas już patrzy... Żeby pan wiedział, jak na niego zawołam: „Maciuś!“ zaraz leci i zaczyna ze mną figlować...”

Paweł przypomina sobie tę scenę i te słowa,— przypomina też sobie, że, kiedy owce same z Kru czkiem bez swego pastuszka wróciły przed ową pamiętną burzą, nad wieczorem spostrzeżono, że między nimi nie było białego Maciusia. Jeszcze wówczas przypuszczała Grzegorzowa, że Maciuś był przyczyną zniknięcia małego Grześia i że chłopak szuka go po lesie i wśród parowów. Okazało się później zupełnie co innego. Lecz nie tylko Pawła ucieszyło niespodziewane zjawienie się niewinnego stworzenia, ale i wszystkich obecnych. Grzegorz głaskał baranka, na ręce go brał, pieścił i śmiał się z radości.

Nawet ponury Wawrzyniec rozpogodził się nieco.

— Dzięki Przedwiecznemu!—rzekł, schylając czoło.—Teraz nadzieja wielka w mem sercu, że mały Grześ zdrów i cały...

— Z czego tak wnioskujecie?.. — zapytał pan Kalasanty.

— A choćby z tego, wielmożny panie, że temu stworzeniu nic się nie stało. Jeśli Maciuś cały, to i Grześ nasz cały... Oni zawsze z sobą...—mówił z uśmiechem ojciec zaginionego.

Trudno było nie przyznać racji tym sądom obu wieśniaków, i pan Kalasanty zamilkł.

— Puśćcież tego baranka na ziemię — odezwał się Paweł,—niech nas prowadzi do swego pana.

Dopiero teraz wszystkim na myśl przyszedł Kruczek; toć on dotychczas prowadził wszystkich wśród podziemi. Uderzeni niezwykłym majestatem groty, znajomi nasi zapomnieli na chwilę o swym dotychczasowym przewodniku.

Tymczasem Maciuś, uwolniony z serdecznie witających go dłoni, pobiegł przed siebie w wązki korytarz, z boku wspaniałej groty leżący. Stworzenie biegło pewnie, tak, jakby te miejsca znało dobrze.

— Patrzcie!—mówił pan Kalasanty,—mamy. nowego przewodnika, z tą tylko różnicą, że tamten był czarny, a ten jest śnieżno-biały.

— No, i z tą jeszcze—dodał Paweł,—że ma zamiar prowadzić nas przez wygodniejsze przejścia.

Istotnie korytarz, do którego wbiegł biały Maciuś, i przez który szli teraz nasi znajomi, był szeroki, wygodny, o powierzchni zupełnie równej. Ściany tylko były

jakby przydymione, a w wielu miejscach zupełnie okopcone.

— Ten korytarz wygląda, jakby ktoś przez niego często z zapaloną pochodnią przechodził...—zwrócił uwagę obecnych Paweł.

— Masz słuszość—potwierdził pan Kalasanty.

Szli dalej w milczeniu, gdy naraz usłyszeli głośne szczenie.

— Kruczek!—zawołał Grzegorz.

— Znowu się znalazł...—dodał Paweł.

— Byłem tego pewny, że ten pies jest gdzieś blisko nas... — rzekł stary Wawrzyniec, podnosząc w górę pochodnię.

Szli dalej, nie zwracając uwagi, że pan Bonifacy odłączył się od nich. Uczony tak był zaciekawiony niezwykłymi naciekami stalagmitowymi, które w ogromnem bogactwie znalazł w wielkiej wspaniałej grocie, że nie mógł się od nich oderwać; pozostał więc sam przy jednym filarze i badał jego powierzchnię.

Tymczasem towarzysze jego postępowali wciąż na przód.

Korytarz prowadził ich w dal ciemną, która jednakże dla nich miała ten urok, że spodziewali się wśród jej ciemności odnaleźć niewinną, drogą sobie dziecinę.

Wszystko przemawiało za tem, że mały Grześ w pobliżu się znajduje.

— Czy tylko żyw?.. — zadawał sobie każdy pytanie.

Niecierpliwy Paweł wysunął się na przód i wyprzedził o kilkadziesiąt kroków starszych swych towarzyszków. Pochodnia jego błyszczała w oddali, jak płomyk świecy.

— Hej! niespodzianka!..—zawołał nagle donośnym głosem.

— Co za niespodzianka, paniczu?... — zapytał równie donośnie Grzegorz.

— Drzwi!..—brzmiała odpowiedź.

Znowu zdziwienie ogarnęło gromadkę.

Co za drzwi?.. dokąd prowadzą?..—myśleli wszyscy, a pan Ka'asanty zapytał głośno:

— A czy te drzwi otwierają się?..

Przez chwilę odpowiedzi nie było.

Wszyscy przyśpieszyli kroku i wkrótce znaleźli się tuż obok Pawła.

Przy świetle pochodni widniały drzwi dziwaczne, z belek i desek zbite, mniej-więcej podobne do tych, przez które do tego podziemia weszli nasi znajomi.

Drzwi te zasłaniały niskie wejście—wyżłobione ręką natury w skalistej ścianie, kończącej ciemny korytarz.

Paweł właśnie próbował je otworzyć, lecz wysiłki jego na nic się nie zdały; ciężkie drzwi ani drgnęły.

— A gdzie Maciuś?—zapytał Grzegorz.

— W tej chwili był tuż obok mnie... — odrzekł Paweł.

Poświecili pochodniami i wkrótce przekonali się, że Maciuś przez wąską szczelinę dostał się poza drzwi tajemnicze.

Tam też właśnie rozlegało się uporczywe szczykanie Kruczka.

Grzegorz i stary Wawrzyniec poczęli uważnie oglądać deski i bale, z których owe drzwi tajemnicze były zbite.

— Toć one są zamknięte na drewnianą zaśuwkę..—mruczał Grzegorz.

— Odsuńcie ją zaraz!..—nalegał Paweł.

— E!.. paniczu! — mruczał dalej chłopiec, i widać było z jego miny, że nie miał wielkiej ochoty do tej czynności.

— Jak widzę — zawołał Paweł, — to odwagą nie grzeszycie.

Mówiąc to, chciał chwycić za zasuwę, gdy nagle uprzedził go w tem stary Wawrzyniec.

Po chwili wielkie drewniane drzwi uchyliły się, i poszukujący ujrzeli przy blaskach pochodni dość obszerną grotę, która miała podobieństwo do wnętrza wielkiej sieni.

Po środku tej sieni stały dwie białe kozy i, łebki ciekawie podniósłszy, przyglądały się nieznanym sobie osobom. Zwierzątka żuły siano, a może trawę jakąś, której niewielkie wiązki leżały przed nimi.

Chwilę tak patrzyły, aż nareszcie, trwożnie łebkam wstrząsnawszy, zawróciły na miejscu i co żywo umknęły w głąb podziemi.

Stary Wawrzyniec i Paweł zaraz w ślad za nimi poszli, a pan Kalasanty i Grzegorz, poprawiając swoje pochodnie, nieco za nimi pozostali.

Wtem pan Kalasanty spostrzegł, że pochodnia w rękę Grzegorza drży, jakby na sprężynach.

Jedno spojrzenie wystarczało, ażeby się przekonać, że poczciwy chłopiec bał się.

— Czego wy drżycie?.. Wierzajcie mi, żadnych strachów niema na świecie...

Grzegorz przymrużył oczy i ręką poprawił kapelusza na głowie.

— Już cię prawda, wielmożny panie...— odrzekł.

— A więc czegoż się trwożycie?..

— A... bo te kozy...

— Eh! co tam kozy!.. Chowa je ktoś w podziemiu, i nic więcej.

Grzegorz odważnie spojrział przed siebie, lecz zaraz chwycił za rękę pocziwego staruszka.

— Wielmożny panie!.. o... o!..

Mówiąc to, wskazywał coś poza sobą.

Pan Kalasanty spojrział i umilkł, bo hałas i pisk jakiś powstał przy wielkich drzwiach drewnianych, przez które dopiero co weszli do tej groty.

— Ktoś drzwi zamyka—szepnął wylekniiony chłopak.—Żywcem nas tu chcą przyłapać. Olaboga!

Istotnie u wejścia coś niedobrego się działo. Hałas, pisk i nareszcie głuchy wykrzyknik: „A, mam cię nakoniec!“ zmieszał nawet pana Kalasantego.

— Szkoda, że nie mam rewolweru — szepnął staruszek. — Niedawno oddałem go panu Bonifacemu, gdy udawał się w głąb' podziemi za Pawłem.

Tymczasem hałas ucichł, tylko słaby pisk słyszeć się dawał.

Grzegorz ujrzał naraz, że jakaś wysoka postać, trzymając w obu rękach jakieś straszdyło, zbliżać się ode drzwi ku niemu zaczęła, i tak się tem zatrwożył, że pan Bonifacy nie wiedział, co począć.

— A, to tchórz zawołany!..— mruzczał gniewnie.

— Mam cię nareszcie!—dał się znowu słyszeć tenże sam wykrzyknik, na którego dźwięk Grzegorz za-

szczękał zębami, a pan Kalasanty nagle serdecznie się rozśmiał.

Zagadkową postacią, która takiego przestachu nabawiła Grzegorza, był nie kto inny, tylko pan Bonifacy.

Uczony trzymał w rękę ogromnego puhacza.

— Mam cię nakoniec! — wołał, dźwigając olbrzymiego ptaka i kładąc go u stóp pana Kalasantego.—Wyobraźcie sobie, takiego okazu nie widziałem jeszcze. Co za zdobycz!..

— Tej pięknej wycieczki dzisiejszej nigdy nie zapomnę — mówił dalej pan Bonifacy. — Skarby świata zwierzęcego i mineralnego tu się znajdują. O, ja tu wrócę jeszcze... zaraz jutro wrócę; albo nie... ja tu jeszcze dziś zostanę sam... Ach, co za wspaniały puhacz!..

Tu pan Bonifacy pochylił się nad rozciągniętym na ziemi ptakiem, którego skrzydła i nogi mocno były w walce z uczonym nadwyrężone.

Wkrótce związano ptaka i powierzono go pieczy pocziwego Grzegorza. Wieśniak już sam się śmiał ze swego tchórzostwa.

Tymczasem w głębi groty dało się słyszeć wołanie Pawła:

— Prosimy do nas!.. panie Kalasanty!.. Grzegorzu!..

Głos Pawła brzmiał radośnie... Widać nic złego nie zaszło, nie przykrego się nie przytrafiło.

— Może panicz Paweł znalazł Grzesia?.. — zaczął pocziwy wieśniak, zbliżając się do pana Kalasantego.

— Wszystko jest w ręku Boga, moi drodzy... Jeśli nie znalazł, to przynajmniej to nas w tym nieszczęśliwym wypadku pocieszy, żeśmy sumiennie spełnili, co do nas należało. Poszukiwań lepszych nad te, któreśmy przedsięwzięli, trudno wymagać...

Szli szybko, nie zwracając bynajmniej uwagi na pana Bonifacego, który pozostał w tyle.

Uczony znowu gonił jakiegoś nietoperza, który, snadź nie przewidując w nim wielkiego wroga, zataczał mu tuż nad głową szerokie łuki i koła.

Wtem w dali błysnęło światło i jednocześnie głos Pawła znowu zabrzmiał w podziemiach:

— Hej, panie Kalasanty!..—wołał młodzieniec.

— Jestem, jestem tutaj. Ale dlaczego ci tak pilno?.. Dawniej obywał się beze mnie...

— Nie...spó...dzianka!..—brzmiała odpowiedź.

Staruszek ręką machnął.

— Eh! już ja mam po uszy tych niespodzianek!.. Ale co tam masz takiego?.. może krokodyla albo wieloryba.. he?.. Tu wszystkiego spodziewać się można...

Pan Kalasanty czuł się już zmęczonym. Wędrowka podziemna, do której się bynajmniej nie przygotował i której, ze względu na swój wiek, nie byłby przedsięwziął, teraz dopiero dawała mu się odczuć. Starzec czuł ból w nogach i utrudzenie.

— Gdyby tak kieliszek wina!—myślał, idąc w kierunku, gdzie błyszczało światło.—No, i gdyby jak najprędzej wracać do domu...

Tymczasem podziemna wycieczka bynajmniej nie miała się ku końcowi. Gdyby nawet znaleźli Grzesia, to sam powrót zajmie ze dwie godziny drogi.

Wyrzekając w duchu na wątpliwość swych sił, pan Kalasanty szedł szybko na przód; tuż obok niego postępował Grzegorz, pełen radosnego oczekiwania.

— Jeśli panicz Paweł czeka na nas i z radością nas woła, to chyba nic innego, tylko mojego Grzesia znalazł... Jużcić to chyba prawda?..

Pan Kalasanty wzruszył ramionami.

— Może znalazł, a może i nie znalazł — odrzekł z cicha. — Panicz Paweł tak samo cieszyłby się, gdyby na przykład nie małego Grzesia, lecz stuletniego Rocha znalazł...

— Rocha?.. — powtórzył chłopiec. — A niechże Bóg broni!..

Z tonu tej odpowiedzi łatwo się było domyśleć, że Grzegorz bał się starego, zdziwaczałego górnika. Szli dalej, już nic z sobą nie rozmawiając.

Nagle światło, w dali przed nimi błyszczące, zamigotało, i panu Kalasantemu wydawało się, jakby ku niemu poczęło się ono zbliżać. Spozstrzeżenie swoje głośno wypowiedział Grzegorzowi.

— A jużcić, prawda — odparł tenże.

Naraz korytarz stał się tak wązkim, że trzeba było iść bardzo blisko osoba przy osobie.

— To Paweł zbliża się do nas — rzekł znowu pan Kalasanty.

Istotnie tak było.

Młodzieniec zbliżał się, przyświecając sobie jasno płonąca pochodnią, której światło widzieli z oddali pan Kalasanty i Grzegorz.

W chwilę potem młodzieniec spojrział w oczy panu Kalasantemu.

Staruszek uśmiechnął się.

— A tobie co się stało?

Zamiast odpowiedzi, Paweł pocałował pocziwego staruszka w oba policzki. Z całego zachowania się i z miny rozjaśnionej młodzieńca widać było, że radosne przynosi nowiny.

— Gadajże mi! — zaczął staruszek, — cóż ty w takiej niepojętej dla mnie metamorfozie?.. Gdzieżeś podział starego Wawrzyńca?...hę?..

Młodzieniec znowu, zamiast odpowiedzi, począł ścisnąć staruszka.

— Mój biedny panie!.. Pan bardzo utrudzony... O, tej wyprawy podziemnej nigdy nie zapomnimy! — mówił młodzieniec, biorąc starca pod ramię.

Ten, niby to gniewnie, zaczął znowu:

— Mów mi zaraz, skąd wracasz i dlaczego takiś ucieszony... No, mów zaraz!..

Ale Paweł jakoś nie miał ochoty odpowiadać wprost na zadawane mu pytania.

— Niespodzianka! — zawołał znowu, lecz tak głośno, że echo po trzykroć powtórzyło ten wyraz.

Staruszek zachnął się.

— Ej, daj pokój!.. Prawdę mówiąc, to twoje zachowanie się dla mnie w tej chwili największą jest niespodzianką...

Wtem przystanęli, bo naraz głośny wykrzyknik zabrzmiał wśród podziemi:

— O, mój Boże! to Grześ!.. to moje dziecko!..

Wątpliwości nie było żadnej, że to Grzegorza radosne wołanie zatrzymało Pawła i pana Kalasantego.

Dopiero teraz okazało się, że Grzegorz, idąc przodem, znacznie wyprzedził swych zajętych rozmową towarzyszy.

Zdziwiony i uradowany niespodzianym wykrzyknikiem wieśniaka, pan Kalasanty szybko podążył na przód.

ROZDZIAŁ XX.

Na niewielkiej, mchem zielonym zasłanej powierzchni, w głębi groty, której wnętrze przypominało izdebkę wieśniaczą, siedział starzec, a przy nim dwoje dzieci.

W głębi, na złomie skalistym, który wielce przypominał szeroki komin wiejski, paliło się smolne łuczywo. Przy świetle jego widać było szyję wązkiego korytarza. Powierzchnia tego korytarza pokryta była mchami, zielonym i sianem, którego miły zapach unosił się w powietrzu.

Dwie śnieżno-białe kozy spoczywały tam, co chwila wychylając swe łebki, ażeby chwycić nieco siana, które smacznie żuły. Tuż u stóp starca leżał pies o szerokiej błyszczącej, oparłszy zgrabny łebek na kolanach małego chłopczyka, a nieco dalej stał biały baranek z niebieską wstążką na szyi i zwracał się co chwila ku smacznie zajadającym świeże siano śnieżno-białym kożom.

Przy ścianach groty leżały kamienne bryły, niektóre kształtami swymi podobne do krzesel, ław i stołów. Na jednym z takich stołów leżał pęk kwiatów polnych. Dalej w ścianie widniały półki niby szafy jakiejś; na półkach tych bielili się ser, stały garnki z jakimś napo-

jem, a nieco niżej widać było bochenki chleba. Migotliwe światło łuczywa to gasło, to coraz jaśniej płonęło i wówczas oświecało całe to podziemne mieszkanko, którego ściany gdzie-niegdzie lśniły się jeszcze pierwotną alabastrową białością.

Padało też światło łuczywa i na jeden kąt podziemnej izdebki, gdzie widniała obszerna ława ze stalagmitowych nacieków, za łóżko służyć mogąca. Ławę tę pokrywały skóry wilcze i lisie, a ponad nią przyczepiony do ściany wisiał krzyż duży, z dwóch okrągłych gałęzi dębowych zrobiony. Nieco dalej w ciemnej niszy siedziały dwa jakieś wielkie ptaki, widocznie oswojone, bo spokojnie rozglądały się po wnętrzu tej czarodziejskiej izdebki.

Bez wątpienia — taką izdebkę mógł zamieszkiwać albo pustelnik, co zerwał wszelkie związki ze światem, albo też dziwak jakiś, któremu przyszło do głowy nasładować średniowiecznych czarodziejów i wróżbitów.

Kilka wązkich korytarzy wyciągało w różnych kątach groty-izdebki swe ciemne szyje; niektóre z nich były zaopatrzone w drzwi drewniane, z balów i chróstu sporządzone. Dokąd te korytarze wiodły?.. trudno na to odpowiedzieć...

Tajemniczość jakaś biła od tej groty, tajemniczość i cisza, a zarazem i pewność, że źli ludzie jej nie zamieszkiwali; ten krzyż, zawieszony na ścianie, nad łóżem, wilczemi i lisiemi skórąmi zasłanem, aż nadto świadczył o tem.

Starzec, siedzący na mchami zasłanym glazie, tułący do siebie dwie małe dzieci, również musiał nie być złym człowiekiem, bo oto, pochylony nad jasną główką dziewczęcia, płacze.

Słysząc cichy głos jego, i choć dźwięk tego głosu szorstki nieco, lecz żal serdeczny łagodzi tę szorstkość.

— Już ja ci krzywdy żadnej nie zrobię, dziecino moja... Już ja cię wychowam tak, jak Bóg Najwyższy przez usta Syna Swego objawił... Niechże przez to choć w części stanie się zadość sprawiedliwości Bożej!..

Jasnowłose dziewczę też płacze; z pod spuszczonej powiek płyną sznureczki łez perłowych.

Widzi to starzec i, starając się o jak najserdeczniejszy ton głosu, przemawia:

— Uspokój się, dziecinko... pogódź się z wola Boga... Widać Jego niezbadane wyroki oddały cię w moje ręce, ażebym zmył przez to z duszy i serca mego plamę, która się w krwawą ranę zamieniła... Życie twoje, dziecino, będzie teraz inne, niż dotąd... Ani wiesz, co za cuda wkrótce zobaczysz...

Dzieweczka przez łzy uśmiechnęła się.

Spostrzegł to starzec i silniej przycisnął jej jasną główkę do piersi.

— Zobaczysz, dziecinko, słońce, gwiazdy, księżyc... usłyszysz ptaków śpiewanie, szum drzew i z poblizkiego kościoła radosne dzwonicie, co na modlitwie ludzi zwołuje...

Dzieweczka z lekka uśmiechnęła się, lecz zaraz szybko rączkami oczy zasłoniła. Płakała znowu.

— A mój dziadek?... gdzie jest mój dziadek, co opiekunem mi był dotąd?... Ach, któż jemu teraz śpiewać będzie, gdy smutek czarny nań spadnie?... Gdzie on odszedł?... dlaczego na zawsze pożegnał się ze mną?..

Starzec uspokajał skarżącą się dziecinę.

— On poszedł tam, gdzie go Bóg powołał — rzekł głosem przekonywującym, — a ty, dziecino, powinnaś

szanować tę wolę Bożą i powinnaś pamiętać na to, co ci w godzinę pożegnania się z tobą powiedział...

Słowa te odniosły nadspodziewany skutek.

Dzieweczka otarła oczy i już mniej drżała z bólu serdecznego i z większą ufnością spojrziała w pochyloną nad sobą twarz starca.

Tymczasem z głębi jednego korytarza dało się słyszeć czyjeś stapanie.

Starzec drgnął, otarł szybko oczy i powstał z siedzenia.

Stapanie coraz to wyraźniej słysząc było. Widośnie ktoś zbliżał się do czarodziejskiej izdebki; jeszcze chwila, a stanie w jej kamiennych progach. Starzec wyprostował się i postąpił kilka kroków na przód.

Wtem głośny okrzyk radości zabrzmiał wśród podziemi:

— To Grześ!.. to moje dziecko ukochane!..

Jednocześnie postać jakaś chwyciła w ramiona siedzące na mchu zielonym pacholę i tuliła je do piersi, powtarzając radosny okrzyk:

— To Grześ!.. to moje dziecko ukochane!..

I znowu w ciemnym korytarzu rozległy się czyjeś kroki; snadź kilka osób zbliżało się do ustronnej podziemnej izdebki.

Postać, tuląca do piersi pacholę, i starzec, trzymający za rękę jasnowłose dziewczę, nie byli bynajmniej zdziwieni, że ktoś za chwilę stanie wśród nich, — owszem, wydawało się, jakby na tych przybyszów niecierpliwie oczekiwali.

A tymczasem nie tylko stapanie, lecz i odgłosy jakiejś rozmowy echo niosło i powtarzało bez końca.

W ciemnej głębi korytarza nagle zabłysło światelko, potem ukazało się drugie, wreszcie trzecie...

— To nasi!—szepnął starzec.

— To oni!—powtórzył jego towarzysz.

Na progu izdebki ukazały się w blaskach pochodni trzy sylwetki ludzi, którzy z radością wkroczyli w jej tajemnicze wnętrze.

Jednogłośny okrzyk radosny wstrząsnął powietrzem odwiecznych podziemi:

— Niech żyje mały Grześ-pastuszek!.. —zabrzmiął głos młodzieńczy.

— Niech żyje biedna sierotka!.. — zawtórował mu głos starca.

I wszystkie te postacie, radością jakąś wielką ożywione, skupiły się, tworząc w migotliwych blaskach pochodni i dopalającego się lucywa fantastyczny obraz.

Wreszcie starzec, trzymający za rękę jasnowłose dziewczę, uklął i głosem wzruszonym modlił się głośno; inni słuchali tej modlitwy w skupieniu ducha i w pokorze serca, a gdy modlący się wyrzekł: „Dzięki Ci, Boże Wiekuisty, żeś mi wskazał drogę pokuty!“ i pobożnie bił się w piersi, wszyscy obecni pochylili głowy w uznaniu potęgi i niezbadanych wyroków Tego, który panuje nad światami i którego oko opatrzone przenika najskrytsze ciemności.



ROZDZIAŁ XXI.

Ponad okolicą Ojcowa przesuwa się okrągły księżyc srebrzysty i rozsiewa na wzgórze, na skały, na doliny i wartkie wody Prądnika swe światło nadziemskie, takie łagodne, pociągające i dla wszystkiego, co żyje, miłe, że każde serce niem się cieszy.

Pogodna letnia noc, pełna aromatu ziół rozlicznych, ciepłych powiewów i cichych szeptów rozwijających się kwiatów, napelnia wszystkimi swymi czarami niebo i ziemię. W noc taką zdaje się sercu ludzkiemu, że w błękitnej dali słyszy modlitwę gwiazd, hymny Aniołów, i że podwoje niebios rozchylają się ku niemu.

Taka to właśnie pogodna, piękna noc letnia otuliła uroczą dolinę Ojcowa, gdy pocziwa Grzegorzowa i jasnowłosy Janek siedzieli u stóp fantastycznych głazów, sterczących nad jarem, oczekując na tych, którzy się w głąb tajemniczych podziemi udali, ażeby szukać zaginionego Grzesia.

Janek na miękkim pościeliu z liści i mchów usnął tak smacznie, jak jeszcze nigdy nie spał na wygodnym łóżku i na puchowej pościeli.



Pocziwa Grzegorzowa za to nie tylko usnąć, lecz i uspokoić się, pogodniej na świat spojrzeć nie mogła, gdyż serce jej macierzyńskie o los dziecka wielki smutek obejmował.

Już kilka godzin u stóp skał nad jarem siedzi, w ciemny otwór, do podziemi wiodący, spoziera i nadaremnie nadstawia uszu, czy nie usłyszy czasem głosów znanych sobie osób.

Niestety, chwila za chwilą upływa, a ciemna czełuść, w której niedawno zniknęli jej ukochani, wciąż niema, milcząca i jakaś groźna.

Wzdycha pocziwa kobiecina i na wschód patrzy, bo tam już blado-różowa zorza wstaje, a złote gwiazdy bledną i nikną, jak perły, w modrą powierzchnię wód rzucane.

Śpiący obok chłopczyk przebudził się, spojrział do koła i niespokojnie zapytał:

— Wrócili już?..

— Nie jeszcze, paniczku!..

— A, to długo ich nie widać...

— Juźcić strasznie długo, paniczku... aż się boję, czy ich tam co złego nie spotkało...

Chłopczyk wstał i zbliżył się do ciemnego u stóp skały otworu.

— Wiecie, Grzegorzowo! słyszę... najwyraźniej słyszę czyjeś kroki... stąpanie... głosy urywane...

Kobieta porwała się z miejsca, uradowana.

— A, niech Bóg da zdrowie paniczowi za tę nowinę!...

I sama, pochyliwszy się nad ciemnym otworem, słuchać zaczęła.

— To oni!.. o, mój Boże... to oni!.. — zawołała naraz.

I znowu słuchała.

— O!..—krzyknęła radośnie,—teraz to jakby głos mego Grzesia doleciał do mnie... Boże Wielki... żebym się też to nie omyliła!..

— A ja wyraźnie usłyszałem głos Pawła i pana Kalasantego — upewniał jasnowłosy Janek i naraz począł skakać z radości wielkiej.

Jak jasnowłosy Janek, tak i pocziwa Grzegorzowa nie mylili się w swych przypuszczeniach.

Rzeczywiście i dziesięciu minut nie upłynęło, jak w głębi otworu błysnęły pochodnie, i nagle na białym piasku i na mchach zielonych stanęło grono dobrze nam znanych osób. Nikogo nie brakło, nawet białego Maciusia-baranka, a na samym ostatku ukazał się pan Bonifacy, dźwigający w połach palta mnóstwo jakichś kamieni i kości.

Grzegorz trzymał jedną ręką odnalezionego Grzesia-pastuszka, a w drugiej miał na sznurku ogromnego puhacza.

Z jaką radością Grzegorzowa przycisnęła do serca ukochanego swego Grzesia, prawie cudownie odnalezionego, opisać trudno; każde szlachetne serce i bez tego odczuje tę chwilę radosną w życiu pocziwej wieśniaczki.

— A uściskajże i tę dziecinę, bo ona już nasza... — dał się słyszeć głos starego Wawrzyńca.

I starzec podprowadził do zdumionej Grzegorzowej piękne jasnowłose dziewczętko i znowu rzekł głosem wzruszonym:

— Uściskaj i ją, jak swego Grzesia uściskałaś, bo odtąd będzie ci ona córką...

A gdy kobiecina wahała się, dodał:

— To nasza blizka krewna. Później opowiem wam, jak się to stało, żeśmy jej dotąd nie znali...

Tu smutnie westchnął, a Grzegorzowa już przygarnęła do siebie drżące dziewczę.

— To sierotka, a imię jej Halinka... — mówił dalej stary Wawrzyniec.

I gdy tak stali wszyscy uradowani w blaskach wschodzącej zorzy porannej i zachodzącego księżyca, podobni byli do tego grona, które się niedawno w tajemniczej izdebce podziemnej znajdowało. I nic dziwnego, bo, jak się czytelnicy domyślają, są to rzeczywiście jedne i te same osoby.

Paweł i pan Kalasanty, posiadzszy tajemnicę, jaka łączyła starego Wawrzyńca z biednym dziwakiem, zwanym Rochem Ostatnim, już wszystkim tak kierowali, ażeby rzeczy jak najpomyślniejszy obrót wzięły.

Nastąpił powrót do zagrody Kosów.

Przodem, radośnie kręcąc ogonem, biegł wierny i przywiązany do małego Grzesia Kruczek, za nim biały Maciuś, a na końcu dopiero szedł Grzegorz, niosąc na rękę cudownie niemal odnalezionego syna.

— I coś ty tam robił w tych lochach? — pytał małego pastuszka.

Ten odrzekł pośpiesznie:

— A to, co wam, tatusiu, już raz opowiadałem. Najpierw, jakem wpadł do owej ciemnej groty, zaraz jakiś dziad stary na ręce mnie pochwycił i zapytał, jak się nazywam. Jużcić powiedziałem mu, że Grzesz Kosów. On zaraz pogłaskał mnie po głowie i zaniósł do tej izdeb-

ki podziemnej, gdzieżeście mnie, tatusiu, znaleźli. Jakem wpadł do owej groty, tom sobie nogi bardzo potłukł; teraz jeszcze nie mógłbym ustać o własnych siłach. Starzec położył mnie na posłaniu z mchu miękkiego i zawołał Halinki, żeby mi śpiewała. Jak ona śpiewać pięknie zaczęła, to ja, chociaż z początku płakałem ze strachu, od razu poweselałem. Starzec też o długiej siwej brodzie rozmowniejszy się zrobił, mleka koziego dał mi się napić i powiedział, żebym nigdy nic złego Halince nie zrobił, żebym ją kochał jak siostrę... Tego starca bałem się okrutnie, ale wnet ten strach przeszedł... O, on był bardzo dla mnie dobry... Tylko, że długo przy nas nie był; wkrótce poszedł z ogromnym kilofem w rękę kopać w głębi podziemi, mnie z Halinką zostawiając samych. Ona zaraz zaczęła pięknie nucić, tak pięknie, że mi się serce rozradowało. Już się niczego nie bałem, a gdy jeszcze Kruczek zjawił się przy mnie i zaczął się łąsić, pomyślałem sobie: „Tatuś w ślad za tym wiernym psem pójdą i mnie odnajdą“. No, i tak się też stało...

— I niebardzo płakałeś? nie martwiłeś się?

— Jużcić nie. Starzec o długiej brodzie dobry był dla mnie... a przytem czegóżbym się miał lękać przy Halince? Wiedziałem zresztą, że tatuś mnie znajdzie...

— A gdy ona od ciebie odeszła?

— To i wtedy nie bałem się. Mówiłem sobie „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko“, bo wiedziałem od matysi, że ta modlitwa ode złego broni.

Grzegorz rad był z syna.

— Dzielnym z ciebie chłopak! — mruknął zadowolony.

Mały Grzesz uśmiechnął się i rzekł głośno:

— Ale, tatusiu, raz o mało nie umarłem ze strachu: starzec z kilofem w rękę zaczął groźnie krzyczeć, że nikomu nic nie da, że wszystko dokoła należy do niego i że wszystkie wejścia do jaskini zawali. O, wtedy tom się bardzo, bardzo bał o siebie i o małą Halinkę...

Tuż za tą rozmawiającą parą szła Grzegorzowa, prowadząc za rękę małą Halinkę.

Sierotka, która pierwszy raz w życiu ujrzała świat zewnętrzny, co chwila wydawała głośne okrzyki zdumienia.

Wzrok jej, przywykły do ciemności, nie mógł znieść nawet łagodnego światła zachodzącego księżyca i wschodzącej zorzy porannej.

— A co to dopiero będzie, gdy słońce i dzień biały zobaczy!...—mówiła poczciwa Grzegorzowa.

Stary Wawrzyniec trzymał Halinkę za drugą rękę i szedł tuż obok, tłumacząc jej, że niebo nie jest z kamienia, tak, jak sklepienie grotu, i że gwiazdy, bynajmniej nie są tak nisko nad lasem zawieszane, ażeby je można było ręką dostać. Dzieweczka słuchała uważnie i z rozkoszą oddychała wonnem powietrzem letniej nocy.

— O, mój Boże, mój Boże! jak to tu pięknie... jak bardzo pięknie!.. I czy to zawsze tak będzie?—szczebiotała, zwracając się do starego Wawrzyńca.

Ten kiwał głową i odpowiadał z uśmiechem:

— Jak słońce wejdzie, to jeszcze piękniej będzie. Teraz przecie dopiero świta.

Dzieweczka nie wszystko rozumiała, co do niej mówiono, lecz widok tylu nieznanymi rzeczy tak ją zachwycał, że ciągle to o to, to o owo zapytywała.

Pan Kalasanty szedł, opierając się na ramieniu Pawła, a jasnowłosy Janek przy panu Bonifacym.

— Jednakże nigdy nie zapomnę tego dziwnego zdarzenia, w którym mimowoli tak ważną odegraliśmy rolę—mówił Paweł do utrudzonego niezwykłą wycieczką staruszka.

— I ja tak samo, mój drogi Pawle!

— I co za tajemnica rozdzieliła tych dwóch braci: starego Wawrzyńca i Rocha Ostatniego?

— Zapewne Wawrzyniec skrzywdził tego nieszczęśliwego górnika olkuskiego; prawdopodobnie podstępnie zabrał mu ojcowiznę, i stąd tajemnicza przyczyna długoletniej rozłąki oraz zacieklej nienawiści. Teraz wnuczę tego od da, co jemu zabrał.

— I dlaczego ten nieszczęśliwy górnik olkuski wzbraniał nam przystępu do podziemi?

— Bo nie ma zdrowych zmysłów. Czyżes nie słyszał, jak mówił, że skarby w nich posiada, że jeszcze większe odnajdzie. Ten stuletni górnik tak przywykł do swego żelaznego kilofa i do ciemnych podziemi, że inaczej nie mógłby wyżyć. Resztę on sam już wszystko o sobie powiedział, gdy żegnał się z ukochaną przez się Halinką; wszak opowiadałeś mi o tej wzruszającej scenie.

Paweł w zamyśleniu westchnął głęboko.

— Żal mi, serdecznie mi żal tego biednego starca! Jeśli kiedykolwiek podczas pobytu mojego spostrzegę go w Ojcowie, to zaraz zatrzymam go i zajmę się polepszeniem jego losu.

— Czy tylko go spotkasz?..

— A przecież wiem o owym otworze, o owych drzwiach drewnianych, które sobie urządził, aby zabez-

pieczyć swą kryjówkę od oka ludzkiego; udam się przez ten otwór, ażeby Rocha odnaleźć i zmusić do powrotu pomiędzy ludzi...

Jeszcze młodzieniec nie dokończył swych słów, pełnych energii, gdy głośny huk wstrząsnął powietrzem.

Wszyscy zatrzymali się zadziwieni.

— To tam nad jarem coś huknęło—zaczął Grzegorz.

— Jakby kto z fuzyi wystrzelił—dodała jego żona.

— I to nie z jednej, lecz z dziesięciu — odezwał się mały Janek.

I zanim ci ochłonęli z podziwu, już Paweł pobiegł z powrotem nad jar, ażeby zobaczyć, co było przyczyną zagadkowego huk.

W kilka minut powrócił i głosem przerywanym ze zmęczenia rzekł:

— Niepojęta rzecz! Huk pochodził z obruszenia się i osunięcia kilku skał nad jarem. Otworu i drzwi drewnianych ani śladu... tylko olbrzymie głazy sterczą dżiko w górę, pokrywszy go sobą. Dziwny wypadek, trudny do pojęcia!..

Pan Bonifacy i pan Kalasanty, usłyszawszy to, zaraz zawrócili nad jar, ażeby na własne oczy przekonać się o prawdziwości słów Pawła.

Istotnie tak było, jak dzielny młodzieniec mówił.

Otworu i drzwi drewnianych ani śladu. Olbrzymie głazy znowu miały pozór, jakby od wieków stały nieporuszone.

Na próżno wszyscy obchodzili jar dokoła,—nigdzie ani śladu dawniejszych otworów nie było.

— Czyżby Roch Ostatni w ten sposób zamknął za sobą swe tajemnicze podziemne komnaty? — myślał Paweł. A pan Kalasanty rzekł głośno:

— Zapewne ręka ludzka, i to ręka tak doświadczona w tego rodzaju robotach, jak starego górnika, pozbawiła równowagi te odwieczne głazy; trudno albowiem przypuścić, ażeby to było dziełem ślepego trafu.

— A, Bóg tam raczy wiedzieć, jak było. Ja wam tylko radzę, moi drodzy, wracajmy do domów, ażeby z utrudzenia i głodu Janek, Halinka i mały Grzesz nie pochorowali się. Ot, o co się troszczmy.

Rady tej trzeba było posłuchać,—bo wreszcie cóż pozostało więcej do czynienia nad dzikim skalistym jarem?..

To też wkrótce wszyscy zniknęli w gęstym sosnowym lesie, którego wnętrze napelniało się srebrzystozłotem i błękitnem światłem wczesnego poranku.

Gdy po długiej przez las przeprawie ujrzano nareszcie słomianą strzechę Kosów, wszyscy szczerze się ucieszyli.

— Dom!.. dom!..—zawołał Grzesz radośnie.

— Nareszcie skończyły się moje niepokoje! — rzekła Grzegorzowa.

Stary Wawrzyniec milczał, z miłością spoglądając na jasnowłosą Halinkę.

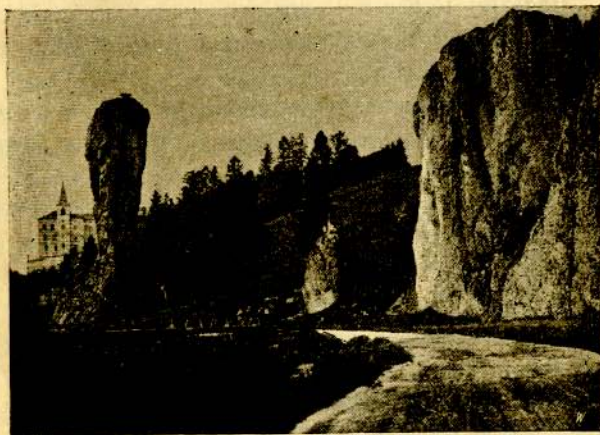
— Za krzywdę, którą wyrządziłem twemu dziadkowi i twoim rodzicom, zabierając im ojcowiznę — szepnął głosem, którego nikt dosłyszeć nie mógł,—ciebie, nieszczęśliwa sierotko, wychowam i wyposażę... Niech się tym sposobem stanie zadość Boskiej sprawiedliwości.

Słońce właśnie wschodziło, i pierwsze jego promienie wydostały się ponad okoliczne szczyty, gdy starzec w skrusze serca żałował za swe dawne grzechy.

Znużeni niezwyklej wycieczką, znajomi nasi pożegnali się, śpiesząc odpocząć po trudach, jakie przebyli.

Dalszy pobyt wakacyjny w uroczym Ojcowie scho-
dził już Jankowi i Pawłowi, jak piękny sen, na urozmai-
conych wycieczkach i zabawach.

Na tem kończymy nasze opowiadanie, nadmie-
niając, że odtąd nikt nigdzie i nigdy ani w okolicach,
ani w grotach, ani w dolinach nie widział, ani nie spo-



tkał starego, stuletniego górnika olkuskiego, zwanego
Rochem Ostatnim.

Gdzie się podział?..

Chybaby na to pytanie odpowiedź dać mogły
nie zbadane dotąd grotty uroczego Ojcowia i jego pię-
knych dolin...

K O N I E C .

89 696

T. U. R.

